DEBATA „DO RZECZY”

Co dziś jest zdradą Polski? – polemika Piotra Semki

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 10/363 2–8 MARCA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Zagadka szefowej sztabu prezydenta Dudy

JAK WIELKIE EPIDEMIE ZMIENIAŁY HISTORIĘ ŚWIATA

Łukasz Warzecha kontra Krzysztof Bosak

Śledztwo „Do Rzeczy”

KULISY ATAKU NA ZBIGNIEWA ZIOBRĘ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 69,5 tys. egzemplarzy

HONOROWY PATRONAT

Ministerstwo Zdrowia

AGENCJA BADAŃ MEDYCZNYCH

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

WIZJONERZY
ZDROWIA 2020

24 marca 2020 r. Warszawa

KONFERENCJA
„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2020–2023"

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD
„WIZJONERZY ZDROWIA 2020"

Laureatami nagrody są wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, ludzie, którzy zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

ORGANIZATOR

DO RZECZY

PARTNERZY MERYTORYCZNI

Polskie Towarzystwo Diabetologiczne

FUNDACJA OnkoCafe RAZEM LEPIEJ

Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

FUNDACJA CARITA

POLSKIE STOWARZYSZENIE DIABETYKÓW

ALIVIA

Federacja Pacjentów Polskich

eprasa.pl a01f6cfe92

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Grupa pościgowa w natarciu

Kampania prezydencka z każdym dniem nabiera rumieńców. Wiem, zwrot to nieco wyświechtany, ale nie znajduję lepszego. Przed tygodniem wspomniałem o różnych słabościach kampanii obecnego prezydenta – jeśli wierzyć doniesieniom medialnym, to nie tylko ja je dostrzegam. Wygląda na to, że do zwarcia szeregów i pracy wezwał wszystkich polityków prawicy Jarosław Kaczyński. Może przyniesie to efekty. Jednak nadal nie mogę pozbyć się wrażenia, że media poświęcają więcej uwagi szefowej kampanii Andrzeja Dudy, pani Jolancie Turczynowicz-Kieryłło, niż jemu samemu. I że wcale to jej nie przeszkadza. Jak już napisałem, wybór to był bardzo ryzykowny. Ten, kto w tak ważnej roli obsadza osobę do tej pory szerzej opinii publicznej nieznaną, prosi się o kłopoty.

Wiadomo, że w każdej kampanii znaczenie ma nie tylko to, jaką samemu kampanię się prowadzi, lecz także to, co robią konkurenci. Z tego punktu widzenia prezydent Duda może mówić o dużym szczęściu. Jak piszą nawet media sprzyjające opozycji, główną cechą kandydatki PO Małgorzaty Kidawy-Błońskiej jest to, że nie wzbudza ona specjalnych kontrowersji. Została namaszczona na kandydata właściwie przez zasiedzenie: tak długo zajmowała miejsce w drugim szeregu, że niejako naturalnie przesunęła się, po kolejnych zmianach i odejściach, do pierwszego. Ma to swoje zalety, ale też widoczne wady. W spotkaniach z wyborcami sobie nie radzi. Jest często zbyt nerwowa, reaguje przesadnie, łatwo daje sobą manipulować. Głosząc pojednanie i zasypywanie podziałów, potrafiła podejść do grupy hejterów w Pucku i im podziękować za to, że obrzucali prezydenta wyzwiskami i zagłuszali jego wystąpienie podczas uroczystości państwowych. Gdyby nie wpadka PiS ze słynnym gestem w Sejmie, marszałek Kidawa-Błońska byłaby w znacznie poważniejszych tarapatach. Uderza też główne przesłanie kandydatki: politycy PO twierdzą, że wybór marszałek przyczyni się do zasypania podziałów w Polsce. Łatwo zauważyć absurdalność tego przekazu. Wybór marszałek Kidawy-Błońskiej na prezydenta na pewno przyczyniłby się do eskalacji wojny politycznej. Głos na nią to głos za wzrostem, a nie spadkiem napięcia politycznego.

Do roli gołąbka pokoju i człowieka porozumienia wszystkich ze wszystkimi znacznie lepiej pasują czy to Szymon Hołownia, czy Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL. I jeden, i drugi są mistrzami w wypowiadaniu okrągłych słówek. Pod tym względem bardziej zaskoczył mnie, szczerze mówiąc, Szymon Hołownia. Dawno już nie słyszałem tylu banałów podanych w równie mdłym sosie. Najciekawsze, że kandydat zdaje się tego nie dostrzegać. Przecież odpowiadając na każde istotne pytanie, że będzie pytał ludzi, robi z siebie… no, nie chcę być niegrzeczny. Podziwiam jednak skalę miłości własnej i narcyzm. W przypadku lidera PSL stopień wyrachowania jest większy, podobnie jak doświadczenie. Kto wie – gdyby się przedarł do drugiej tury, mógłby nieźle namieszać. Wielu Polaków naprawdę wierzy w „porozumienie ponad podziałami" i „zasypywanie rowów". Zdziwiliby się, gdyby zobaczyli, jak to wygląda w praktyce. Chociaż chyba nie będą mieli takiej szansy.

Powyżej 10 proc. poparcia osiąga w niektórych sondażach również Robert Biedroń. Jego gwiazda zgasła, zanim zdążyła na dobre rozbłysnąć. Minoderyjność i fircykowatość kandydata, w połączeniu z jego jawnym występowaniem przeciw interesom własnego państwa na forum europejskim, to jednak nawet dla kogoś, kto jest przekonany o braku praworządności w Polsce, trochę za dużo. Lewica będzie musiała jeszcze na swojego proroka poczekać.

Podsumowując: przeciwnicy wielkiej szkody Andrzejowi Dudzie nie narobią. Jeśli do któregoś mimo to miałoby się uśmiechnąć szczęście, to tylko wskutek błędów obecnego prezydenta. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl a01f6cfe92

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ ZBORALSKI
UDERZENIE „BRODĄ"
Kulisy ataku na najważniejsze osoby w prokuraturze

KRAJ

22 ROZMOWA Z ADAMEM BIELANEM
TO PLATFORMA MA PROBLEM Z KOSINIAKIEM-KAMYSZEM
Rzecznik sztabu wyborczego Andrzeja Dudy o kampanii prezydenckiej

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PREZYDENT TOTALNY?

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SZEFOWA SZTABU W ŚWIETLE REFLEKTORÓW

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CIEŃ SOROSA NAD TRYBUNAŁEM

32 TOMASZ ROWIŃSKI
ZAMIESZANIE WOKÓŁ ARCYBISKUPA LENGI

34 BLANKA ALEKSOWSKA
STAROŚĆ U SIEBIE

RAPORT „DO RZECZY"

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA, PIOTR WŁOCZYK
ZARAŻENI PANIKĄ
Nadmierny strach przed koronawirusem

42 MACIEJ ROSALAK
ZARAZY – PLAGI LUDZKOŚCI

KULTURA

46 PIOTR GOCIEK
RATUJCIE SWOJE DUSZE
Fred Rogers – pastor, który zmieniał świat na lepsze

50 TOMASZ ROWIŃSKI
GDZIE JEST MŁODZIENIEC?

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM
PIS NIE RZĄDZI DZIŚ SAMODZIELNIE
Polacy szybko się nużą rządzącymi

62 PIOTR SEMKA
LEPIEJ BRONIĆ SUWERENNOŚCI NIŻ SZAFOWAĆ ETYKIETKAMI

65 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM
SCENARIUSZ BRYTYJSKI JEST MOŻLIWY

HISTORIA

68 ROZMOWA Z ANDRZEJEM FEDOROWICZEM
SETKA DLA POKRZEPIENIA SERC
Wynalazki II RP

ŚWIAT

72 JACEK PRZYBYLSKI
„BOLSZEWIK" PODBIJE AMERYKĘ?
Sanders nawołuje do rewolucji

76 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
SEKS, MISTYKA I SPRAWA JEANA VANIERA

78 OLIVIER BAULT
OSKARŻANIE MATTEO SALVINIEGO – PROCES POLITYCZNEJ POPRAWNOŚCI

80 MAŁGORZATA WOŁCZYK
DZIEŃ KOBIET W CIENIU ABORCJI

EKONOMIA

82 JAKUB WOZINSKI
BRUKSELA PRZECIWKO AMERYKAŃSKIEMU LNG
Unijne obostrzenia korzystne dla Rosji?

84 ANDRZEJ STRUPCZEWSKI
PRAWO DO ATOMU

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
NIEMIŁA HISTORIA SWETERKA
Jak kaszmir stał się masowy

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (70), WARZECHA (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (96), NOWAK (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl a01f6cfe92

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselo)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Dominski/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 69,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

pocztę elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Jakże piękna korona!", Krzysztof Masłoń, „DRz" 8/2020

W swoim niedawnym artykule pan redaktor Krzysztof Masłoń zwrócił uwagę na bardzo ważny problem, czyli świadomość historyczną Polaków. Przez wiele lat dzieje ojczyste były deprecjonowane ze wszystkich sił, najpierw przez moskiewskich namiestników spod znaku PRL, a następnie przez „elity" III RP. W obecnych czasach skala tego zjawiska wcale nie maleje, a może nawet wzrasta. [...] Efekt [...] jest łatwy do przewidzenia – Polacy nie cenią własnej przeszłości. Historia naszego kraju postrzegana jest jako pasmo klęsk, niepowodzeń i upokorzeń. Na pierwszy plan zawsze wysuwane są samowola szlachecka, przegrane powstania lub czasy niewoli i okupacji.

[...] Oczywiście nie neguję sensu ani konieczności wspominania tragicznych wydarzeń. Niemniej jednak uważam, że obrońcy Głogowa, rycerstwo spod Płowiec i Grunwaldu oraz husarze spod Kircholmu i Kłuszyna zasługują na naszą pamięć równie mocno co powstańcy warszawscy i obrońcy Westerplatte.

Jak słusznie zauważył autor artykułu, historia Polski jest fascynująca i pełna wspaniałych wydarzeń. Nasi przodkowie potrafili zbudować sprawny organizm państwowy, który wzbudził podziw samego cesarza Ottona III. Udało się zjednoczyć państwo polskie mimo wielu lat rozbicia dzielnicowego i problemów zewnętrznych. Dzieło Władysława Łokietka było wyczynem równie godnym uznania co odbudowa niepodległości w 1918 r. W czasach Kazimierza Wielkiego postawiliśmy pierwsze kroki ku mocarstwowości, do której doprowadzili nas potomkowie Władysława Jagiełły. Dynastia Jagiellonów urosła do miana jednej z najpotężniejszych na kontynencie, a jej przedstawiciele zasiadali na tronach Polski, Litwy, Czech i Węgier. W kolejnych latach po raz pierwszy w historii udało nam się stworzyć coś, co dzisiaj nieudolnie próbuje odtworzyć Unia Europejska – zjednoczyliśmy pod jednym berłem trwałą wspólnotę wielu kultur i narodów, opartą na wzajemnym szacunku i poszanowaniu wszelkich różnic. Rzeczpospolita Obojga Narodów była pierwszoligowym graczem politycznym w Europie. Mówiąc kolokwialnie, to my rozdawaliśmy karty w tej części świata. Kultura i tolerancja wyznaniowa ojczyzny obojga narodów przewyższały ówczesne dokonania „cywilizowanego" Zachodu, gdzie innowiercy płonęli na stosach. Hetmani koronni i litewscy zwyciężali na terenie „od morza do morza", czyli od Inflant do Mołdawii. Polska sztuka wojenna o kilka długości wyprzedzała wówczas możliwości militarne Wschodu i Zachodu. Jan Karol Chodkiewicz, zwycięzca spod Kircholmu, otrzymał gratulacje od króla Anglii i szacha Persji. Stanisław Koniecpolski wielokrotnie pokonał Gustawa Adolfa, szwedzkiego króla, który był wówczas uznawany za najwybitniejszego wodza w Europie. Wreszcie przed królami Polski klękać musieli mistrz zakonu krzyżackiego w 1525 r. oraz moskiewski car w 1611 r. Nie ustrzegliśmy się błędów i zapłaciliśmy za nie cenę najwyższą – nasze państwo przestało istnieć. Spadliśmy jednak z wysokiego piedestału, na który uprzednio weszliśmy własnymi siłami.

Właśnie dlatego jestem pełen uznania dla obecnych władz TVP za stworzenie serialu „Korona królów". Można różnie oceniać tę produkcję pod kątem czysto filmowym. Być może nie jest to dzieło najwyższych lotów – choć nie można zaprzeczyć temu, że obecna trzecia seria jest znacznie lepsza od początków tego serialu. Poziom kinematografii nie jest tu jednak najważniejszy. Taka produkcja oczywiście nie nauczy nikogo historii, ale być może rozbudzi zainteresowanie ojczystymi dziejami. [...]

Załączam wyrazy uznania i pozdrowienia dla całej redakcji.

Bartłomiej Wójcik

Wyjaśnienie

W artykule „Michael Willmann, czyli śląski Rembrandt" („Do Rzeczy" 9/2020) pomyliłem imię pani Grażyny Bastek, która w tekście pojawiła się jako Barbara Bastek. Za błąd przepraszam.

Piotr Semka

eprasa.pl a01f6cfe92

NA PIERWSZY OGIEŃ

Polityka to jednak dziki mustang

PIOTR SEMKA

Ja ich nie oceniam i nie chcę oceniać negatywnie. Jedynym ich źródłem informacji o świecie i o Polsce jest tzw. Telewizja Publiczna. Jedynym źródłem. Te osoby nie czytają gazet, nie korzystają z Internetu" – tak o wyborcach PiS wypowiedziała się niedawno Małgorzata Kidawa-Błońska. Wypowiedź spotkała się nie tylko z krytyką z prawej strony, lecz także irytacją bardziej racjonalnych zwolenników Platformy. A ja, słysząc takie wywody, zastanawiam się, ile okazały się warte zapowiedzi Borysa Budki, że PO pod jego kierownictwem przestanie obrażać elektorat PiS. Małgorzata Kidawa-Błońska w polityce jest już 19 lat – do Platformy wstąpiła w 2001 r. Wydawałoby się, że pełniąc w tym czasie rozmaite wysokie funkcje, powinna się czegoś nauczyć i nie popełniać błędów lekceważenia wyborców. A jednak arogancja okazuje się silniejsza nawet od wyrachowania.

Arogancja Kidawy-Błońskiej okazuje się silniejsza nawet od wyrachowania

A co w obozie lewicy? Oto Robert Biedroń ogłasza, że wraz ze swym partnerem Krzysztofem Śmiszkiem wyjeżdżają na zimowy wypoczynek do Chin. „Byliśmy ostatnio w Kenii, a w sumie odbyliśmy już około 60 podróży zagranicznych! Nasze plany podróżnicze to teraz Chiny. Jedziemy tam. Jest tanio, bo nikt tam teraz nie kursuje z uwagi na koronawirusa, a my tam pojedziemy" – powiedział w rozmowie z „Super Expressem" kandydat prezydencki lewicy. „Trzymajcie za nas kciuki" – dodał polityk. I znów cały pomysł zdumiewa. Do końca kampanii są nieco ponad dwa miesiące, ale nawyk spędzania egzotycznych wakacji jest silniejszy niż walka o choćby przyzwoity wynik. Robert Biedroń przywykł do dalekich podróży i nic go nie powstrzyma.

A teraz zajrzyjmy do obozu Szymona Hołowni. Parę dni temu, po udzieleniu wywiadu Onetowi, celebryta lub jego sztabowcy, otrzymawszy tekst wywiadu, napisali go niemal na nowo. Co więcej, poprawili nawet pytania dziennikarzy. Każdy człowiek mediów wie, że takie rzeczy doprowadzają żurnalistów do furii. Dziennikarze Onetu opublikowali wywiad w oryginale i Hołownia nie wypadł za dobrze. Dlaczego polityk Hołownia nie zauważył nic nagannego w czymś, co ileś lat wcześniej zirytowałoby dziennikarza Hołownię?

I na koniec kwiatek z obozu PiS. Rządząca partia postanowiła wyznaczyć Joannę Lichocką na posła sprawozdawcę przygotowywanej uchwały Sejmu potępiającej ordynarne zachowanie się demonstrantów wobec prezydenta Andrzeja Dudy w Pucku. Ostatecznie z tej koncepcji się wycofano, ale zachodzę w głowę, kto mógł wpaść na pomysł, który pozwoliłby wielu mediom przypominać słynny obraźliwy gest posłanki przez najbliższy tydzień lub dwa? Czy to miała być demonstracja w stylu „mamy gdzieś, co o nas piszą"?

Tych wszystkich, którzy dowodzą, że dziś polityka to domena wyspecjalizowanych spin doktorów dbających o każdy gest i słowa w kampanii prezydenckiej, warto spytać o te cztery przypadki. Ciekawy jestem, co by odpowiedzieli? ©℗

FOT. CAMERON SPENCER/GETTY IMAGES

POŻEGNANIE Z SZARAPOWĄ

Najpiękniejsza rosyjska tenisistka 32-letnia Maria Szarapowa ogłosiła pod koniec lutego, że kończy sportową karierę. Zdobywczyni pięciu tytułów wielkoszlemowych oraz zwyciężczyni 36 turniejów rangi WTA zarobiła na korcie ponad 38 mln dol. Szarapowa fantastycznie zarabiała jednak nie tylko na korcie. Była również królową reklam najbardziej znanych światowych gigantów. Magazyn „Forbes" szacuje, że zarobiła na nich w sumie ponad 285 mln dol. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Podziemny front

Warszawski Teatr Powszechny wspólnie z lożą B'nai B'rith urządzili dyskusję „Jak być mniejszością w Polsce? Od słów do czynów – od mowy nienawiści do nienawiści". Przydługi tytuł sugerował, że spotkanie demaskować miało przechodzenie od mowy nienawiści do nienawiści żyjących w Polsce mniejszości, w ogłoszeniu dodano więc jeszcze zajawkę: „Jak jest naprawdę? Polska mowa nienawiści karmi się antysemityzmem – jest on wspólnym językiem dla wszelkich ksenofobów, ale fizycznie zagrożeni są też pozostali, ci o »odmiennym« kolorze skóry, osoby LGBT+, ludzie wyraziście »obcy«" [interpunkcja jak w oryginale – RAZ].

Już jest dobrze, prawda? Prawdziwe „clou" to lista dyskutantów: dr hab. Michał Bilewicz z tzw. Centrum Badań nad Uprzedzeniami, jednej z najbardziej grantożerczych instytucji w polskim światku akademickim, zadymiara Ewa Podleśna, znana z burd pod TVP i na trasie Marszu Niepodległości oraz rabin Michael Schudrich. Z ramienia B'nai B'rith prowadził spotkanie m.in. Sergiusz Kowalski, współautor kuriozalnej książki o „mowie nienawiści", wskazującej takie przejawy polskiego antysemityzmu jak np. nazywanie Unii Europejskiej eurokołchozem.

Taka zapowiedź i taki zestaw dyskutantów gwarantowali solidną rozrywkę, i to za jedną symboliczną złotówkę, bo stawiał podatnik. Bawiąc na wakacjach, nie mogłem skorzystać, ale jako że zaproszenie było bardzo niszowe, podpromowałem je w sieci i paru moich obserwujących skorzystało i… dowiedzieli się, że nie są mile widziani, ale jak już przyszli, to nie wolno im nic nagrywać, „strimować" ani w żaden sposób uwieczniać celem upowszechnienia.

Nie, nie szło o prawa autorskie – sami organizatorzy też tego nie robili. Najwyraźniej nawet pani Podleśna, która ponoć jak lwica rzuciła się na internetową kamerkę, nie mówiąc o pozostałych, rozumiała, że skutkiem upowszechnienia tego, co wygadywali, byłaby w najlepszym wypadku tzw. beka. A w gorszym, być może, oburzenie i konieczność tłumaczenia się z kalumnii, oszczerstw i bzdur.

W sumie to dobry znak, że organizatorzy takich hucp zaczynają się ich wstydzić, schodzą do podziemia i zamykają w gronie sprawdzonych wyznawców. Szkoda tylko, że konspirują za moje i państwa pieniądze. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Jak zebra na pasach

Pojawiam się i znikam" – mógłby wesoło zaśpiewać Donald Tusk, gdyby było mu do śmiechu. Notowania publicznego zaufania raczej nie mogą nastrajać go optymistyczne, a kolejne deklaracje o braku zaangażowania (lub wręcz przeciwnie) w prezydencką kampanię wyborczą przyjmowane są ironicznymi komentarzami. Także w PO, gdzie do aktywistów zaczyna docierać, że przestaje on być dla samej partii wartością dodaną.

Przede wszystkim jednak to Platforma nie jest siłą, która mogłaby być motorem napędowym dalszej politycznej kariery Tuska, zaś jego deklaracja o gotowości wsparcia Małgorzaty Kidawy-Błońskiej to bardziej sygnał: „Ja jeszcze żyję"; aneks do deklaracji z grudnia 2019 r., kiedy to obecny przewodniczący EPL mówił o budowie nowej siły politycznej.

Sygnałów, że Tusk stawia krzyżyk na Platformie, nie brakuje, począwszy od przecieków, które miały wysondować jego osobistą polityczną atrakcyjność: rzekome próby stworzenia ruchu 4 lipca, spacery po Warszawie, spotkania z wyborcami. Doszły kolejne – udział współpracowników Tuska w sztabie i kampanii Szymona Hołowni, podpisanie przez prezydent Gdańska Aleksandrę Dulkiewicz listy poparcia dla Hołowni, wreszcie nieśmiałe sugestie Władysława Kosiniaka-Kamysza próbującego stawiać Tuska w roli politycznego mentora dla części środowiska.

Były premier z dalekiej Brukseli nie tylko nie zauważył zmian społecznych, lecz także, a może przede wszystkim: pokoleniowych, które zaszły w Polsce. A dla młodych wyborców jest on już tylko starszym panem z Brukseli umieszczającym groteskowo brzmiące wpisy na Twitterze. I tak z każdym takim wpisem Tusk będzie się pojawiał, by chwilę później znów zniknąć. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zaczadzonych postępową religią

Epidemia koronawirusa w Italii ukazała horrendalne rozmiary spustoszenia, które w postępowych, lewicowych umysłach dokonała inna groźna choroba naszych czasów: poprawność polityczna.

We Włoszech mieszka ponad 300 tys. Chińczyków. Ich największe skupisko, ok. 40 tys., to Prato w Toskanii, gdzie udało im się przejąć od Włochów przemysł tekstylny. Wielu z nich pojechało do ojczyzny świętować Chiński Nowy Rok, który przypadał 25 stycznia. W Italii pojawiły się propozycje opozycji, by z powodu koronawirusa poddać wszystkich wracających z Chin kwarantannie. Postępowcy podnieśli ogromny krzyk, że byłby to gest rasistowski i manifestacja sinofobii, bo w praktyce kwarantanna dotknęłaby niemal wyłącznie włoskich Chińczyków. Nie zrobiono zatem nic.

Z tego samego powodu gubernator Toskanii, Enrico Rossi, modelowy, zacietrzewiony postępowiec lewicy, nie zgodził się, by w Prato dzieci i młodzież powracające z Chin dwa tygodnie spędziły w domu i nie pojawiały się w szkole. Dodał przy tym, że tego rodzaju propozycje mogły się wylęgnąć jedynie w głowach ignorantów i faszystolegistów. „Faszystolegiści" to najnowszy termin, który wszedł do słownika włoskich postępowców, odnoszący się do członków i sympatyków dalece najpopularniejszej partii politycznej we Włoszech, Ligi Matteo Salviniego (po włosku: Lega). Gubernatorowi wtórowali postępowi politycy i przytłaczająca większość włoskich mediów.

A włoscy Chińczycy, którzy powrócili z ojczyzny do Prato, na ten wykwit zideologizowanego idiotyzmu zareagowali mądrością godną Konfucjusza: autokwarantanną. Z własnej inicjatywy zamknęli się na dwa tygodnie we własnych mieszkaniach.

Stało się jasne, że odmóżdżeni włoscy postępowcy z gubernatorem Rossim na czele, w imię dogmatów fanatycznie wyznawanej religii – poprawności politycznej – gotowi byli wydać swoich rodaków na pastwę koronawirusa, wyzywając opierających się od faszystów. Ręce i piersi opadają. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Empatyczni i zaszczepieni

„Powiedzieć, że start kampanii Andrzeja Dudy nie należał do wymarzonych, to jedno, natomiast obserwować, jak za jej szefową »zabrały się« media, to osobna historia. »Gazeta Wyborcza« sięgnęła dzisiaj bruku. Stanęła po stronie damskiego boksera przeciwko matce broniącej dziecko. Ukryła opinie lekarskie, że sprawca mnie dusił. Zataiła, że zaatakował nas zawodowy hejter, opisywany w mediach ogólnopolskich" – ujawniła Jolanta Turczynowicz-Kieryłło, którą oskarżono o roznoszenie ulotek po ciszy wyborczej. Nie brutalna reakcja mężczyzny, ale to, że kobieta ugryzła go w samoobronie, stało się jednak głównym tematem empatycznych komentarzy twitterowej opozycji.

„Szefowa kampanii prezydenckiej, która wzywa do zaprzestania hejtu, pogryzła mieszkańca Milanówka. Świetnie więc pasuje do prezydenta, który przysięgał stać na straży konstytucji, a ją łamie. Dziennikarze w dudabusie, uważajcie na siebie!" – stwierdziła na przykład Renata Grochal z „Newsweeka". „Powinni się zaszczepić" – dodał były minister Waldemar Kuczyński. „Trzeba wszystkich zaszczepić, to byłaby dobra akcja PR" – wtórowała mu publicystka Karolina Korwin-Piotrowska.

Podobnym troskom nie było końca. „Szefowa sztabu walcząca zębami i pazurami to atut prezydenta Dudy" – skomentował Paweł Wroński z „Wyborczej": „O pazurach nic jeszcze nie wiemy, na razie tylko środkowy palec i zęby :D" – odparła Grochal. „Gdzie można kupić tabliczki: »Uwaga! Zły mecenas! Wchodzisz na własną odpowiedzialność«? Dla mieszkańców Milanówka pytam" – pytał zaciekawiony Szymon Komorowski.

Z wrodzonym sobie obiektywizmem i dystansem do afery odniósł się również Wojciech Sadurski. „Nie jest newsem, gdy pies pogryzie człowieka. Jest newsem, gdy człowiek pogryzie psa. Albo innego człowieka. Prawdziwie istotne pytanie brzmi: czy gryząca była szczepiona na wściekliznę?" – dociekał profesor. „Do maja mecenas grizzly wgryzie się w temat kampanii" – pocieszał sztab prezydenta Tomasz Lis. Tacy obrońcy demokracji to prawdziwy skarb. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

Józef Pinior skazany

Sąd Rejonowy dla Wrocławia-Śródmieścia skazał Józefa Piniora na 1,5 roku bezwzględnego pozbawienia wolności. Ma też zapłacić 5 tys. zł grzywny. Sąd uznał, że legendarny działacz Solidarności i były senator Platformy Obywatelskiej jest winny przyjmowania korzyści majątkowych od biznesmenów w zamian za pomoc w uzyskaniu pomyślnych dla nich decyzji w ministerstwach środowiska i infrastruktury. Decyzje dotyczyły budowy galerii handlowej w Jeleniej Górze oraz prowadzenia kopalni w Lądku-Zdroju. Wyrok jest nieprawomocny.

Były senator nie przyznaje się do winy. Twierdzi, że nagrania rozmów telefonicznych, które są dowodem w tej sprawie, zostały zmanipulowane. Przekonuje też, że pieniądze, które otrzymał, to nie łapówki, ale pożyczki. Sędzia uznał jednak na rozprawie, że powołany do sprawy biegły nie stwierdził ingerowania w nagrania. Sąd nie dał też wiary w to, że przekazywane Piniorowi pożyczki były jedynie pożyczkami, które on i jego asystent mieliby zamiar spłacić. Asystent Piniora Jarosław W. został skazany na 1,5 roku więzienia i 3 tys. zł grzywny. Wyroki pozbawienia wolności usłyszeli też biznesmeni, którym z Piniorem pomagali. Tomasz G. został skazany na rok więzienia, a Krystian S. na 10 miesięcy. ***(luz)*** ©℗

FOT. MAGDA PASIEWICZ/EAST NEWS

TURCJA GROZI EUROPIE ZALEWEM IMIGRANTÓW

Turcja otworzyła granicę z Syrią na 72 godziny i zezwoliła armii uchodźców z tego kraju na przedostanie się do Europy. To reakcja na czwartkowy atak wspieranych przez Rosję syryjskich sił rządowych, do którego doszło w prowincji Idlib na północy Syrii. W ataku zginęło co najmniej 33 tureckich żołnierzy. Władze w Ankarze – wspierające militarnie przeciwników reżimu w Damaszku – oznajmiły, że w odpowiedzi przeprowadziły ataki na 200 celów, w wyniku których „zneutralizowały" 309 żołnierzy wroga.

UE ostrzegła, że eskalacja walk może doprowadzić do otwartego konfliktu międzynarodowego. W piątek prezydenci Turcji oraz Rosji rozmawiali telefonicznie o działaniach zmierzających do normalizacji sytuacji. Jednocześnie tureckie władze ostrzegły Europę, że oczekują od społeczności międzynarodowej wzięcia pełnej odpowiedzialności za sytuację w Idlibie. Ankara ostrzegła też, że nie będzie zatrzymywać na swym terytorium uchodźców z Syrii, którzy podejmą próbę, by drogą morską lub lądową dostać się do Europy. Tymczasem wśród miliona uchodźców mogą ukrywać się terroryści i bojownicy Państwa Islamskiego. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. PAWEŁ GROMADA

NIE MA TO JAK LEKKI DOWCIP

Celebrytopiosenkarz Rafał Brzozowski prowadził swego czasu w TVP reaktywowany po latach teleturniej „Koło fortuny". Szło mu drętwo, więc w nagrodę przeniesiono go do prowadzenia innego teleturnieju „Jaka to melodia" na miejsce Roberta Janowskiego. W rozmowie z „Faktem" Brzozowski postanowił opowiedzieć, jak wygląda jego praca w tym muzycznym programie.

– Przygotowania zaczynam od wyboru stroju, w czym pomaga mi stylistka. Potem mam robiony makijaż i układaną fryzurę. Wszystko zajmuje ok. 15 minut – relacjonuje. – Potem spotykam się z reżyserem i scenarzystą, przegadujemy mój tekst, następnie redaguję go po swojemu i jestem gotowy do pracy – dodaje. Mówi też, że czasem jego zadaniem jest odstresowanie zdenerwowanych uczestników show.

FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

– Bywa, że debiutanci bardzo się denerwują. W takich wypadkach pomagam im rozładować stres, żartuję z nimi, wygłupiam się, opowiadam dowcipy. To sprawia, że atmosfera w studiu od razu robi się lżejsza – opowiada. Oglądalność pewnie też.

LEGENDARNA ODWAGA

Biedna Kinga Rusin po aferze, która rozpętała się po jej słynnej już na całym świecie relacji z zamkniętej imprezy Beyoncé i Jaya-Z, musiała wyjechać na jakiś czas, by odpocząć. Oznajmiła więc, że niczego nie żałuje, bo taka jest cena pisania tekstów „insiderskich", i podkreśliła, jak wielką odwagą musiała się wykazać, by tak się wszystkim narazić. Aby powrócić do równowagi po tych mrożących krew w żyłach wydarzeniach, Kinga wybrała się w Alpy na narty. Niestety z żalem poinformowała swoich fanów, że musiała nieco zmienić plany urlopowe z powodu koronawirusa, który szaleje we Włoszech, ale nie poddała się i urlopu nie odwołała. – Wprawdzie jeszcze dwa dni temu smarowałam narty i robiłam przysiady, szykując się do treningów na tyczkach, ale świat wokół zawirował... Szwajcarzy i Austriacy rozważają zamykanie granic, a Włosi zaczęli panikować. Zrobiło się nieprzyjemnie... Przejechaliśmy więc Włochy w poprzek (bez postoju) i teraz pozdrawiam Was z... Francji – pochwaliła się na Instagramie, po raz kolejny dowodząc swojej legendarnej już odwagi. Nie będzie jakiś tam koronawirus psuł jej urlopu!

WYMIANA MYŚLI

Monika Richardson-Zamachowska po odejściu z „Pytania na śniadanie" cały czas poszukuje nowej pracy. Najlepiej w telewizji albo szerzej rozumianym show-biznesie. Dodała też, że po utracie pracy w telewizji śniadaniowej nie ma poczucia wielkiej straty, bo to nie była jej zdaniem zbyt ambitna praca. – Moja kariera jest na bocznym torze od wielu lat. Moje poletko to była telewizja śniadaniowa, a to nie jest szczególnie ambitna działka, więc nie mogę powiedzieć, że zeszłam z pozycji „solistki operowej". Jakoś nie odczuwam ogromnej rewolucji w swoim życiu – wyznała w rozmowie z serwisem Newseria. Na pytanie, czy tęskni za telewizją, odpowiedziała: – Nie oglądam telewizji, przyznam szczerze, ale brakuje mi takiego kontaktu, wymiany myśli – zdradza. Widzom też bardzo brakuje tej wymiany myśli. Najbardziej widać to po tym, że dużo chętniej oglądają teraz „Pytanie na śniadanie".

TO NIE BYŁ DOBRY FILM

Kontrowersyjny reżyser Patryk Vega wyznał, że jeden z ostatnich głośnych filmów, ten, którego premiera tuż przed wyborami miała zakończyć rządy PiS, to „nie był dobry film", a zrobił go „tylko dla kasy". Chodzi o film „Polityka".

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

– Byłem chyba ostatnim reżyserem, który powinien taki film robić, a to za sprawą tego, że byłem właśnie raz w życiu na wyborach, nie czytam gazet, nie śledzę mediów – oświadczył w przypływie szczerości w Radiu Zet. – Nie jest tak, że można zainteresować ludzi czymś, co nas nie interesuje. W momencie, gdy dla mnie temat jest pasywny i kręci mnie co najwyżej od strony handlowej, marketingowej. No nie da się z czegoś takiego zrobić dobrego filmu i to nie był dobry film – dodał. Tak jakby wszystkie pozostałe były dobre i robione z potrzeby serca, a nie „dla kasy". ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż koronawirusoosoba dotarła już do Włoch, w Polsce wybuchła panika, iż niedługo dotrze on/ona także do nas. Trąci nam to ksenofobią i lękiem przed obcym, ale naszym zdaniem jeszcze bardziej niebezpieczne jest inne zjawisko. Otósh w aptekach zaczyna brakować maseczek. Opinia i presja publiczna domagają się, iżby osoby chore albo takie, które wzbudzają podejrzenia, iż mogą być chore, były izolowane lub nosiły maseczki.

To straszny przejaw stygmatyzowania i dyskryminacji ze względu na stan zdrowia. Co będzie następne? Jeśli ktoś założy maseczkę, to dostanie zakaz wstępu do tramwaju, kina lub restauracji? Postulujemy więc delegalizację maseczek i wszelkich innych przejawów histerycznej wirusofobii.

Naszym zdaniem prawdziwymi niebezpieczeństwami są bowiem ksenofobia, rasizm, uprzedzenia i segregacja ze względu na stan zdrowia. I tak naprawdę odpowiedzialne władze państwowe powinny walczyć z tymi zjawiskami!

Przenieśmy się do Szkocji, z której jest taki postępowy kraj, iż aż szkoda, że na mocy brexitu nie jest już w Europie. Fallusoosoby noszą tam spódniczki, a teraz jeszcze parlament uznał, iż waginoosoby będą dostawały produkty higieniczne takie jak tampony i podpaski za darmo.

Szkocka polityczka Monica Lennon uznała nawet, iż jest to „kamień milowy na drodze do normalizacji menstruacji w Szkocji".

Mamy tylko nadzieję, iż Szkoci oraz Szkotki mają gotowe rozwiązanie dla osób niebinarnych, których dotyka zjawisko menstruacji, a także dla wszystkich osób, których płeć kulturowa nie jest kompatybilna z płcią biologiczną (która nie istnieje).

Lepszym rozwiązaniem byłoby więc zapewnienie odpowiednich produktów dla wszystkich, ale wówczas jednak istniałoby ryzyko, iż dla tzw. beki chcieliby z nich korzystać biali, heteronormatywni mężczyźni, a oni, jak wiadomo, są uprzywilejowani, więc jeśli chcą podpaskę, to mogą ją sobie po prostu kupić.

Jak tak sobie myślimy o pensjach minimalnych, emeryturach minimalnych, gwarantowanym dochodzie podstawowym, to dochodzimy do wniosku, iż tym, co przeszkadza wprowadzać idee równościowe w praktyce, są pieniądze.

Jeśli więc przeprowadzimy daleko idącą reformę pieniądza, to możemy zniwelować różnice pomiędzy informatykiem, który za 10 tys. miesięcznie klika w komputerze jakieś losowe znaczki i cyferki, a młodymi absolwentami wiedzy o teatrze, zdanymi na łaskę państwa i pozbawionymi prawa do zasiłku lub chociażby grantów na radykalnie twórcze projekty.

Zastanawiamy się tylko, w jaki sposób będzie wówczas wypłacane wynagrodzenie – może więc po prostu niektóre firmy zamiast mamić przyszłych pracowników czymś w rodzaju pensji, wprost zaproponują pracę w zamian za pozytywną energię młodego zespołu, owocowe wtorki i możliwość realizacji ambitnych projektów w międzynarodowym środowisku? To przecież też ma swoją realną wartość. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Dozowanie wiedzy

No i jak tam ci idzie z Małgośką, Igor?
Daj spokój, Donald. Ja powinienem w takich warunkach trzy razy tyle zarabiać.

Aż tak źle jest?
Źle? Dramat to jest. Na przykład wczoraj. Mówię jej: „Musimy poćwiczyć mycie rąk". A ona do mnie: „Po co? Ja myję ręce, odkąd miałam trzy lata". No to jej tłumaczę, że chodzi o to antywirusowe mycie, żeby nie było wpadki jak u Grodzkiego, że paparazzi będą teraz fotografować, jak VIP-y myją ręce. Pół godziny tłumaczenia. Zgodziła się. Potem drugie pół, żeby jej wyjaśnić, że musi jeszcze się nauczyć o tym opowiadać.

Czekaj. O czym? O wpadce Grodzkiego? Bo się pogubiłem.
No, jak ręce się myje. Żeby ludzie wiedzieli. Zgodziła się. Stawiam dozownik, a ta normalnie paluchami naciska. Mówię: „Rób jak Karczewski, on dobrze pokazywał". A ta do mnie: „Karczewski mnie nie będzie uczył, on jest z PiS".

Co ja ci mogę powiedzieć? Wiesz, że z Bronkiem jeszcze gorzej było? Tydzień go namawiali, żeby w ogóle z pałacu nos wyściubił. I może lepiej by było, tak sobie teraz myślę, jakby go nie namówili. A co z tym myciem rąk?
Nico. Dziś mamy trzecią lekcję. Pięć dozowników już poszło. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ten koronawirus tak naprawdę dla obozu PiS spadł z nieba jak prezent bożonarodzeniowy w środku lutego".

***JOANNA SCHEURING-WIELGUS**, posłanka Lewicy, w Polsat News*

eprasa.pl a01f6cfe92

eprasa.pl a0116cle92

ZWYCIĘSKI POMNIK BITWY WARSZAWSKIEJ

Projekt pracowni Nizio Design International zajął pierwsze miejsce w ogłoszonym w grudniu 2019 r. konkursie architektoniczno-rzeźbiarskim na koncepcję pomnika Bitwy Warszawskiej 1920. Spośród 58 zgłoszonych projektów jury niemal jednogłośnie wybrało przygotowaną przez Mirosława Nizio koncepcję, zakładającą powstanie monumentalnego obelisku, dla którego ramy urbanistyczne tworzy gwiaździsty układ warszawskiego placu Na Rozdrożu.

23-metrowy monument z gwiaździstą fontanną zostanie wykonany z betonu architektonicznego o strukturze kamienia. Obrócenie bryły w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara ma symbolizować odwrócenie biegu historii dzięki czynom i odwadze Polaków oraz zwycięstwo nad niemożliwymi do pokonania siłami czasu i historii.

U podnóża obelisku zaprojektowano fontannę w formie okręgu przeciętego przez 12 linii. Liczba ta odwołuje się m.in. do cyklu kalendarzowego, a także do globalnego i ogólnoeuropejskiego aspektu Bitwy Warszawskiej jako wydarzenia, które zmieniło bieg historii. ***(jap)*** © ®

FOT. NIZIO DESIGN INTERNATIONAL

dwaj panowie g

No i minęło jak z bicza trzasł! Co? Sto dni nowego rządu, który jest też w sumie starym rządem. Miało być tak: ministrowie pójdą (jak każe tradycja), by opowiadać w mediach, co tam dobrego się udało zrobić w sto dni, a na końcu jest event medialny, na którym uczyni to premier Mateusz. Niestety, koronawirus zmienił hierarchię priorytetów.

Coś tam jednak się podziało, zanim przestawiono zwrotnicę na koronawirusa. Kilkoro ministrów powędrowało do mediów, ale i tak zamiast o stu dniach musieli mówić o koronawirusie albo o prezydencie Andrzeju Sebastianie.

Zdradzimy tajemnicę: mniejsi koalicjanci PiS w ramach Zjednoczonej Prawicy uważają, że notowania sondażowe ZP i różne rankingi zaufania byłyby dużo lepsze, gdyby nie to, że na nową kadencję powstał gabinet, w którym za wiele jest noł nejmów. Większość znanych nejmów trafiła bowiem do Brukseli. Głupia sprawa, zdarzają się nawet takie sytuacje: ważny polityk prawicy na spotkaniu mówi: – No i właśnie za to odpowiada minister (tu pada nejm jakiegoś noł nejma). – Sala odpowiada: – Ale że kto?

Bądźmy szczerzy, najważniejsze i tak jest to, co mówi Kaczor Dyktator. A ten dwukrotnie podkreślił w ubiegłym tygodniu arcyważną rzecz. W wywiadach dla „GazPola" i Polskiego Radia zaznaczył, że nie ma mowy o przedterminowych wyborach parlamentarnych, nawet gdyby Andrzej Sebastian przegrał. Mówimy całkiem serio – to najważniejsza wypowiedź roku.

Już wyjaśniamy. Dotychczas od najważniejszych polityków PiS i koalicjantów słyszeliśmy, że przedterminowe wybory są w przypadku przegranej prezydentury oczywistą oczywistością. Była też druga koncepcja, o której pisaliśmy jakiś czas temu – rząd atakuje przez trzy lata rozmaitymi ustawami, a potem pokazuje wyborcom, ile dobrego miało ich spotkać, ale nie spotka z powodu weta złego nowego prezydenta. Jak widać, z woli Kaczora Dyktatora wygrała właśnie ta ostatnia koncepcja.

Znacie prawników i ich zamiłowanie do łaciny. Powiemy coś i my: „quidquid Latine dictum sit, altum videtur"

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w Jachrance. Na wyjazdowym posiedzeniu klubu, które było wielką odprawą mobilizacyjną, wydarzyła się taka oto historia. Kaczor Dyktator w swym wystąpieniu rzekł między innymi: „Wyborczy walec ma iść równo!". Kiedy po nim występował premier Mateusz, postanowił nawiązać twórczo i rzekł do zebranych: „Zatem zapraszam państwa do walca!". Chociaż nie planowano wcześniej wystąpienia Joachima JoJo Brudzińskiego, także on wygoniony został na scenę. Nie mając przygotowanego wystąpienia, skorzystał z gotowca. „I ja zapraszam państwa do walca!".

Per aspera ad astra" to z kolei cytat z przemówienia szefowej sztabu prezydenta Andrzeja Sebastiana, czyli mecenas Jolanty Turczynowicz-Kieryłło. Tak mówiła podczas spotkania w Jachrance. Znacie prawników i ich zamiłowanie do łaciny. Powiemy coś i my. Sprawdźcie sobie w słowniku: „quidquid Latine dictum sit, altum videtur".

Tymczasem w Eine Totalopposition. Jeszcze nim zaczęła się sobotnia konwencja kandydacicy na prezydencicę Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, wiewiórki z PeŁo dostarczyły nam jej specjalną gazetkę przygotowaną na konwencję i na kampanię. Jesteśmy skonfundowani. Przecież zdaniem Kidawy wyborcy PiS nie czytają gazet. No to po co drukować – dla swoich?

Gazetka ma osiem stron, wygląda jak skrzyżowanie „Faktu" z „Superakiem" i nosi tytuł „Polska". Zgodnie z zapowiedzią merytorycznej kampanii i walki na programy zawiera słowo „PiS" jakiś bimbalion razy. Znalazły się w niej tytuły: „Drożyzna rujnuje Polaków", „Zabije nas rosyjski smog", „USA daleko, a polski rząd kłóci się z Europą" oraz zdjęcie Lichockiej z palcem.

Najbardziej zaciekawiła nas czysta poezja w tekście o tym, że KRS jest zła i nie wiadomo, kto za nią stoi (jak widać, gazetka Kidawy jest też nieco przeterminowana, bo listy poparcia ujawniono). „Nie wiadomo, kto stoi za wyborem KRS, więc skąd mam wiedzieć, że jest wiarygodna? To tak, jakby stolarz bez referencji polecił mi szewca. Nie wiem, kim jest ten pierwszy, nie wiem więc też, kim jest ten drugi". Czekamy na

kolejne numery z niecierpliwością. Chcielibyśmy też poznać szewca Kidawy oraz jej stolarza.

Tymczasem w świecie służb. Ostatkowy bal w Kiejkutach, na który nas nie zaproszono, a który zgromadził świat służb specjalnych i przyległości, udał się znakomicie. Zenka co prawda nie było, ale dzięki naszym źródłom osobowym wiemy, że było tańczone „Przez twe oczy zielone". Absencję zaliczył tylko jeden szef służby specjalnej, czyli Andrzej Stróżny. Był jednak usprawiedliwiony, bo właśnie obejmuje schedę po Erneście Bejdzie.

Faktem jest jednak, że gdyby Stróżny się pojawił, to nuta discopolowa byłaby wykluczona. Nowy szef CBA znany jest bowiem jako wielbiciel brzmień ciężkich. Jego podwładni po cichu nazywają go nawet pankowcem. I to nie tylko dlatego, że urodził się w Pankach koło Kłobucka, lecz także dlatego, że nieźle wymiata na gitarze, pisze i komponuje.

Jest tylko jeden problem – otóż pana Daviesa na tym spotkaniu nie było. Był co prawda zaproszony, ale nie przyszedł

Nawiasem mówiąc, nie jest to jedyny taki przypadek w CBA. Opowiadano nam o funkcjonariuszu, który relaksuje się przed wejściami o godz. 6, ćwicząc „Passacaglię" oraz „Wariacje Goldbergowskie" autorstwa Jana Sebastiana Bacha. Jakbyście nie wiedzieli, Bach to ten gościu, który robi takie popularne dzwonki do komórek. Nam się podoba, choć gdyby to nas wyciągano z łóżka o świcie, wolelibyśmy dla pobudzenia „Cwał Walkirii" Wagnera.

Polacy mieszkający w Londynie mawiają, że gdy chcą poczytać „Wyborczą" po angielsku, kupują „Guardiana". Myśleliśmy, że to przesada, ale zmieniliśmy zdanie. Dlaczego? Otóż

niedawno Christian Davies, pracujący dla tego tytułu, w Warszawie został zaproszony na spotkanie korespondentów zagranicznych z premierem Mateuszem. Swoją relację zamieścił również w „Gazecie Wyborczej" pt. „Englishman in Warsaw". „Podczas briefingu zauważyłem jednak, że gospodarz zdaje się nie mieć pojęcia, jak z nami rozmawiać. Traktował nas jak głupków, którzy tego ranka po raz pierwszy postawili stopę na polskiej ziemi" – relacjonował. Jest tylko jeden problem – otóż pana Daviesa na tym spotkaniu nie było. Był co prawda zaproszony, ale nie przyszedł.

Przed wojną był też podobny przypadek. Otóż pewien dziennikarz okrutnie skrytykował w recenzji premierę pewnego przedstawienia. Widzowie byli zdumieni. Sęk w tym, że premiera się nie odbyła, bo rozchorował się główny wykonawca. Recenzent wyleciał więc na zbity pysk. O los pana Daviesa jesteśmy jednak spokojni. Nie takie rzeczy wybaczała „Wyborcza" pod warunkiem, że da się czegoś użyć w rubryce „jak my nienawidzimy PiS", publikowanej dla niepoznaki pod neutralnym nadtytułem „cudzoziemcy piszo o Polsce".

Apropos „Wyborczej". Uruchomiła w związku z koronawirusem specjalny newsletter, o czym powiadomiła prenumeratorów słowami: „W końcu każdy chce dbać o zdrowie i chronić swoich bliskich. Niestety widzimy, że część mediów żeruje na tej potrzebie, publikując niesprawdzone informacje lub opinie podsycające lęki odbiorców". Nie wiedzieliśmy, że można nazwać polityków Eine Totalopposition „mediami". To, że żerują, było dla nas z kolei oczywiste.

Ujawniamy. Tak, to PiS wyhodował koronawirusa. Stało się to w tajnym laboratorium CIA/CBA ukrytym pod szczytem Trzech Koron w Pieninach. Stąd nazwa. Ponieważ korony są trzy, wyhodowano po jednym koronawirusie na każdą z nich. Pozostałe dwa zostaną użyte przeciwko gejom oraz osobnikom żyjącym bez ślubu kościelnego. Honorarium za stworzenie kolejnej okładki „Newsweeka" prosimy przesyłać na adres redakcji.

Bardzo zaintrygowało nas zaproszenie na briefing Lewicy poświęcony jej inicjatywom w sprawie koronawirusa. Naszym zdaniem briefing nie był potrzebny, bo recepty lewicy są znane od dekad. 1. Teza: „koronawirus zrzucany jest z samolotów przez amerykańskich imperialistów i syjonistów". 2. Antyteza: „najlepszym sposobem walki z koronawirusem jest wysłanie do chorych majora Baumana z bronią u pasa (oraz innych byłych pracowników korpusu bezpieczeństwa)". 3. Synteza (na prośbę Stanisława Cioska, kiedyś doradcy Jaruzela, dziś Biedronela): „polski sejm potępia syjonizm i imperializm". W końcu Izrael odwołał wycieczki dzieci do Polski, nieprawdaż?

Apropos Biedronela, znaczy kandydata Robika Biedronia. „Nasze plany podróżnicze to teraz Chiny. Jedziemy tam. Jest tanio, bo nikt tam teraz nie kursuje z uwagi na koronawirusa, a my tam pojedziemy" – ogłosił w imieniu swoim i Śmiszka. Przypominamy, że pasażerom wracającym z Chin rządowi siepacze mierzą na lotniskach temperaturę. Chcielibyśmy to zobaczyć. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

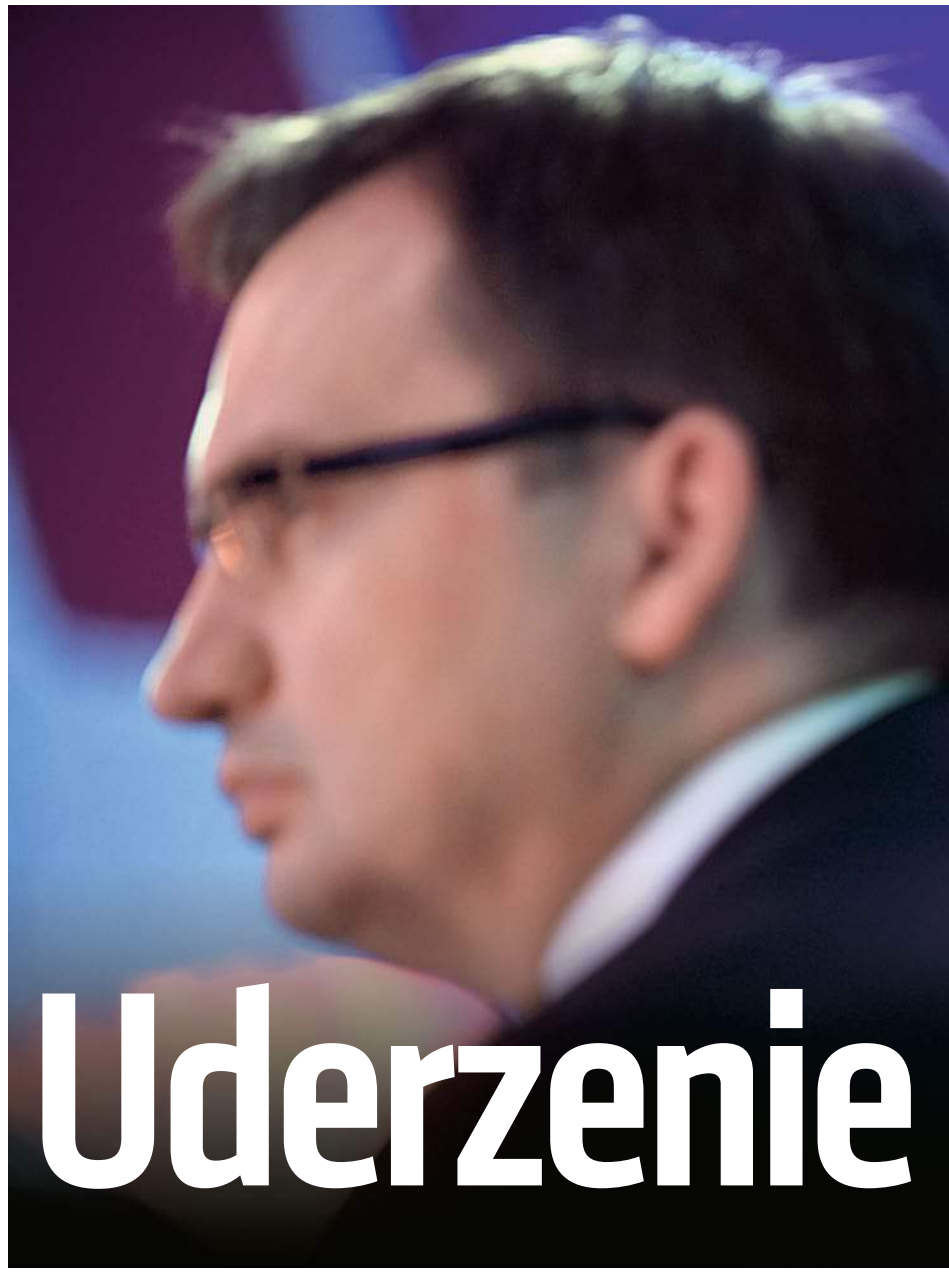

Uderzenie

Łukasz Zboralski

Gangster, którego fałszywe materiały i zeznania sprzed lat posłużyły do ataku na ministra sprawiedliwości i jego żonę, wiele razy został przez śledczych złapany na kłamstwie i obciążaniu niewinnych osób

Pod koniec ubiegłego roku Zbigniew S. – który przedstawia się jako biznesmen czy nawet dziennikarz, a ma na koncie kilkanaście wyroków skazujących – opublikował w Internecie pornograficzne ujęcia, które miały rzekomo przedstawiać Patrycję Kotecką, żonę ministra Zbigniewa Ziobry. Materiały dostał od przestępcy Piotra K., pseudonim Broda, który sugerował, że żona prokuratora generalnego w przeszłości miała związki z mafią i że to bandyci zbliżyli ją do Ziobry.

Zbigniew S. opublikował też inne zdjęcia od „Brody". Gangster twierdził, że na tych erotycznych fotografiach jest z kolei zastępca prokuratora generalnego do spraw przestępczości zorganizowanej i korupcji Beata Marczak.

Na te fałszywki nikt się nie dał nabrać, atak potępili nawet dziennikarze, których trudno posądzać o sympatię dla polityków PiS, ponieważ znają Kotecką od lat i od razu rozpoznali, że to nie ona jest na zdjęciach.

Biegli z krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna analizowali fotografie, które miały przedstawiać Kotecką. Nie mieli wątpliwości, że to nie ją przedstawiają. W dodatku ich zdaniem na zdjęciach podpisanych jej nazwiskiem były dwie różne kobiety o nieustalonej tożsamości.

Nie ma też wątpliwości, że kobieta na innych zdjęciach erotycznych wrzuconych do Internetu to nie prokurator Marczak, choć może ją przypominać.

W ubiegłym tygodniu Zbigniew S. opublikował fragment zeznań „Brody" dotyczących rzekomych związków Patrycji Koteckiej z gangsterami. Kilka dni później tekst na ten temat opublikowała „Gazeta Wyborcza". Opisano zeznania „Brody", w których oskarżył żonę ministra sprawiedliwości o związki z mafią.

Tymczasem ta i wiele innych opowieści tego kryminalisty, który przesiedział w więzieniach prawie 30 lat (od 1981 do 2010 r.; z przerwami, w tym jedną 10-letnią), uznawane były za niewiarygodne przez prokuraturę i to także w czasach rządów PO-PSL. Wiele z takich wątków nie zostało potwierdzonych procesowo.

Dotarliśmy do analizy jego zeznań, które nawet utrudniły prokuraturze dochodzenie do prawdy w sprawie zabójstwa szefa policji gen. Marka Papały. Piotr K. przyznał się w końcu, że nie ma rzetelnych informacji i zeznania „podkolorował".

„Do Rzeczy" ustaliło też, skąd pochodziły fałszywe materiały rozpowszechniane w Internecie, którymi gangster próbował zdyskredytować najważniejsze osoby w prokuraturze.

ŻYCIE Z KŁAMSTW

Zbigniew S., który ostatecznie opublikował w sieci fałszywe materiały od „Brody", wymagałby oddzielnej opowieści. To człowiek skazywany w przeszłości na kary więzienia. Obecnie ma ponad 100 zarzutów prokuratorskich, m.in. o przywłaszczenie blisko 1 mln zł z prowadzonej przez siebie fundacji i prania brudnych pieniędzy.

eprasa.pl a01f6cfe92

Ukrywający się na Ukrainie Piotr K. próbował zdyskredytować Patrycję Kotecką, żonę ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

„Brodą"

Groził też niedawno śmiercią Zbigniewowi Ziobrze, jego matce i dziecku. Prokuratura Krajowa tak oceniła jego działania: „Miały one na celu wymuszenie na prokuratorze generalnym podjęcia działań zmierzających do polecenia prokuratorom i funkcjonariuszom organów ścigania zaniechanie czynności służbowych związanych z prowadzeniem postępowań przeciwko członkom rodziny Zbigniewa S.".

W styczniu pula zarzutów się powiększyła. Doszły te związane z rozpowszechnianiem – wspólnie i w porozumieniu z „Brodą" – fałszywych wiadomości naruszających cześć i godność prokurator Marczak, ministra Ziobry i jego żony.

Ważniejsza jest jednak historia Piotra K. To człowiek, który miał niezwykły talent do okłamywania innych. W swoim życiu bywał dyplomatą, księdzem, tajnym agentem. Wodził za nos policję, prokuraturę i kobiety. Przechwalał się, że uwiódł ich ok. 300 (naciągając na różne kwoty pieniędzy). Ba, twierdził nawet, że to na podstawie jego życia nakręcono głośny w PRL serial „Tulipan". Tymczasem powstał on na podstawie historii oszusta i uwodziciela Jerzego Kalibabki, a „Broda" w tych czasach był nastolatkiem.

Dzięki talentowi do mówienia nieprawdy „Broda" kilka razy próbował wydostać się zza krat. Pierwsze podejście zrobił w 2000 r. To wówczas za sprawą wojny wypowiedzianej zorganizowanej przestępczości przez śp. Lecha Kaczyńskiego, u którego boku za politykę karną odpowiadał Zbigniew Ziobro, prokuratura aresztowała jedną z grup przestępczych. „Broda" wpadł w te sidła. Zgłosił się do śledczych i zaoferował, że w zamian za status świadka koronnego albo złagodzenie kary pokaże miejsca przebywania tzw. zarządu pruszkowskiej mafii. Oficerowie CBŚ sprawdzili wszystkie wskazane przez niego miejsca i nic się nie potwierdziło. Już wówczas uznany został za konfabulanta.

Nie dawał jednak za wygraną. I co jakiś czas przedstawiał się prokuratorom jako ten, który może dostarczyć ważnych informacji, m.in. w sprawie niewyjaśnionego do dziś zabójstwa generała policji Marka Papały, do którego doszło w 1998 r.

W 2002 r. nadal próbował szczęścia z takimi opowieściami. W Prokuraturze Apelacyjnej w Łodzi przepytywał go prokurator Kazimierz Olejnik. „Broda" opowiadał, że ma kasety z nagraniami rozmów dotyczących planowania zabójstwa generała policji. Śledczy uznał go za niewiarygodnego. Rok później gangster przepytywany przez innego śledczego w Prokuraturze Rejonowej w Pabianicach twierdził już, że... nagrania były, ale ich nie ma, bo po rozmowie z prokuratorem Olejnikiem miał je skasować.

WRABIANIE DRZEWIECKIEJ

W 2010 r. „Brodzie" udało się w końcu uzyskać status świadka koronnego. Otrzymał go w śledztwie ówczesnej Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach. Dzięki jego zeznaniom udało się zatrzymać i osądzić kilku gangsterów.

W tym czasie zeznanie złożył również w Prokuraturze Apelacyjnej w Łodzi, w śledztwie dotyczącym zabójstwa Marka Papały. Jednak w tej sprawie nie pomógł. Gdy sprawę Papały przekazano w ręce dociekliwego prokuratora Jarosława Szuberta, wykrył on, że „Broda" w tej sprawie zmyśla.

Piotr K. chwalił się kontaktami z przestępcami ze Wschodu. Przedstawiał siebie jako pewnego rodzaju pośrednika polskich mafii, nawet w dostarczaniu broni. Słabo jednak radził sobie nawet z określaniem części pistoletu.

eprasa.pl a01f6cfe92

W zeznaniach z 2002 r. Piotr K. twierdził, że Papałę zabił przysłany z Sankt Petersburga rosyjski płatny zabójca Aleksander, którego miał poznać w hotelu Holiday w Warszawie w 1998 r. „Broda" zarzekał się, że wie na sto procent, iż to właśnie ten człowiek zastrzelił generała policji. Mówił, że potrafi to udowodnić. Niezbyt precyzyjnie opisywał jednak tok przygotowań i samego zabójstwa, za to brnął w wiele szczegółów, m.in. dotyczących kołpaków do łady Niva załatwianych i przekazywanych w prezentach.

Utrzymywał, że zlecenie zabójstwa bezpośrednio miała przekazać Nina Drzewiecka (żona późniejszego ministra sportu z PO Mirosława Drzewieckiego – przyp. red.), a Aleksander nagrał tę rozmowę. Gangster twierdził, że skopiował nagrania rosyjskiego „killera" i ma dwie kasety z rozmowami między Aleksandrem i Drzewiecką. Jedna miała zawierać wymianę zdań na temat zabójstwa Papały i rozliczeń po wykonaniu zlecenia. „Broda" oferował te taśmy prokuraturze w zamian za zwolnienie z odbycia reszty kary. Z więzienia się tą opowieścią nie wydostał. Potem twierdził już, że kasety zniszczył. Wersje tej historii wielokrotnie później zmieniał, by w końcu przyznać podczas przesłuchania w łódzkiej prokuraturze, że większość informacji przekazanych prokuratorowi Olejnikowi była kłamstwem.

Sugerując w 2002 r. w zeznaniach udział Drzewieckiej w sprawie Papały, opowiadał np. o prowadzonej przez nią restauracji w Łodzi, gdzie miał bywać Aleksander. Gangster twierdził, że Drzewiecka miała z Rosjaninem romans. Przekonywał też, że Drzewiecka miała również romans z Papałą. Prokuratorzy nie znaleźli żadnych dowodów nie tylko na romans żony polityka z szefem policji, lecz także nie znaleźli dowodów, że tych dwoje ludzi kiedykolwiek się w życiu spotkało. Nie potwierdzały tego żadne dokumenty, billingi telefonów, a nawet logowania aparatów telefonii komórkowej do masztów BTS (które mogą wskazać, że dwa aparaty telefonów znajdowały się w zasięgu jednego nadajnika).

Złapany na tym gangster próbował udowadniać rzecz pośrednio. Twierdził, że dysponuje numerem telefonicznym do Papały. A ten miał podejrzeć, gdy sam utrzymywał z Niną Drzewiecką bliskie kontakty i podczas jednego ze wspólnych wyjazdów przejrzał jej rzeczy osobiste, a także zawartość telefonu. Śledczy poprosili o notes gangstera z celi i rzeczywiście widniał w nim numer telefonu do Papały. Pechowo dla „Brody" zauważono jednak, że ten sam notes był już kserowany do akt cztery lata wcześniej, przy okazji śledztwa prowadzonego w innej jednostce. Sprawdzono to. Numeru telefonu do Papały w nim wówczas nie było. Prokuratorzy ustalili, że „Broda" go po prostu dopisał – nie było to trudne, bo po latach numer komórkowy Papały przewijał się nawet w publikacjach w mediach. Wiadomo było już więc też, że „Broda" nie miał skrupułów, by tworzyć fałszywe dowody wikłające w zabójstwo niewinną osobę.

„Broda" wymyślał także, że Nina Drzewiecka rozmawiała z Rosjanami nie tylko o zabiciu gen. Papały, lecz także swojego męża. Te informacje również okazały się wyssane z palca.

Polska rozpoczęła starania o ekstradycję Piotra K. ps. Broda. Utraci status świadka koronnego

POGRĄŻANIE „PITBULLA"

W swoich opowieściach dotyczących morderstwa Papały „Broda" umieszczał też Sławomira Opalę, znanego oficera Wydziału Zabójstw Komendy Stołecznej Policji. Opala był pierwowzorem postaci jednego z bohaterów serialu „Pitbull", sławę przyniósł mu dokumentalny serial emitowany w TVP „Prawdziwe psy". Dał się wówczas poznać jako polska wersja Brudnego Harry'ego – policjanta, który chwyta się czasem niekonwencjonalnych metod, by dopaść przestępców. Infiltrował świat gangsterów i mafii, by zdobywać informacje.

Opala został wyrzucony z pracy w 2003 r. po incydencie z bronią i swoją partnerką w ciąży. Jednak naprawdę pogrążył go „Broda", bo to zeznania gangstera w 2011 r. doprowadziły do postawienia Opali zarzutów m.in. brania łapówek od ludzi z półświatka w zamian za przekazywanie informacji.

Piotr K. opowiadał też, że to Opala na jego polecenie odbierał Rosjan zamieszanych w zabójstwo Papały z lotniska. Zdaniem gangstera oficer policji miał też zawieźć jednego z Rosjan do hotelu Victoria, gdzie przez trzy godziny obserwowali osoby wchodzące i opuszczające recepcję. Tam mieli widzieć wówczas m.in. Marka Papałę. Gangster twierdził też, że w nocy po zabójstwie komendanta głównego policji dzwonił do niego Sławomir Opala. I że się spotkali, a Opala miał krzyczeć, że „został wrobiony w zabójstwo komendanta i że generała zabili Rosjanie". Policjant miał mu także opowiadać, że był z rzekomym zabójcą w mieszkaniu na Mokotowie i że przejrzał wówczas jego plecak, w którym znajdowała się broń.

Później i w tej historii śledczy wyłapali sprzeczności, bo „Broda" innym razem twierdził, że inaczej dowiedział się o zabójstwie, zmieniał też wersje dotyczące kalibru broni, którą rzekomo miał widzieć w plecaku Rosjanina Sławomir Opala.

Odbył się nawet eksperyment procesowy, podczas którego gangster miał wskazać mieszkanie, które w 1998 r. zajmował Sławomir Opala i w którym rzekomo w dniu zabójstwa Papały miał przebywać rosyjski killer. Gangster wskazał dwie lokalizacje w Warszawie. „[...] pod adresami wskazanymi przez Piotra K. w przebiegu pierwszej części eksperymentu procesowego w Warszawie zameldowane są osoby fizyczne od lat 60. i 70. ub. wieku" – odnotowali potem śledczy.

Sławomir Opala nie przyznał się do zarzucanych mu przestępstw. Zgodził się dobrowolnie na 2,5 roku więzienia. Rok po wyjściu na wolność – w 2014 r. – popełnił samobójstwo.

Dotarliśmy do materiałów, z których wynika, że gangster sam się przyznawał, iż w sprawie Opali kłamał śledczym tak samo jak w ogóle w sprawie całego zabójstwa Papały. „Pomimo wcześniejszych kategorycznych deklaracji składanych przed prok. Kazimierzem Olejnikiem, iż zna okoliczności zabójstwa gen. Marka

eprasa.pl a01f6cfe92

W sprawie zabójstwa gen. Marka Papały (zdjęcie z miejsca zbrodni w 1998 r.) „Broda" kłamliwie obciążał niewinne osoby FOT. MACIEJ FIGURSKI/FORUM

Papały, oświadczył on w trakcie rozpytania [...], iż nie posiada rzetelnych informacji co do przyczyn zamordowania Marka Papały" – czytamy w dokumencie. W innym jego fragmencie napisano, że „Broda" przyznał, iż „podkoloryzował" informację na temat Sławomira Opali i jego związku z zabójstwem gen. Marka Papały, gdyż uważał go za zagrożenie dla siebie i chciał go w ten sposób wyeliminować.

Analiza materiałów procesowych w wątku „B" śledztwa w sprawie zabójstwa Marka Papały sporządzona przez prokuratora Jarosława Szuberta powinna trafić do podręczników dla prokuratorów, którzy mogą w kraju decydować o przyznawaniu statusu świadka koronnego. Śledczy drobiazgowo wyliczył 23 przypadki „odmienności relacji" podawanych przez Piotra K. w tych samych częściach jego historii lub „wzbogacania relacji".

Prokurator odnotował, że Piotr K. jest osobą sprytną, która niezwłocznie (choć nie zawsze skutecznie) reaguje na pojawiające się wątpliwości co do spójności lub prawdziwości jego relacji. Potrafi sprawnie wprowadzać dodatkowe elementy historii, których wcześniej sam nie zauważał albo które dostrzegł poprzez zadawane mu pytania. Dla sprawnego śledczego nie było też wątpliwości, że „Broda" jest „urodzonym gawędziarzem", który celowo buduje rozległe narracje. Robi to zwłaszcza w momentach, gdy jest przypierany konkretnymi pytaniami. Wówczas unika udzielania odpowiedzi, rozwodząc się szczegółowo o wątkach pobocznych i twierdzi, że właśnie takiej odpowiedzi udzielił. Ale nie jest arcymistrzem. „[...] budując relację, nie zawsze potrafi dostrzec sprzeczności w jej treści bądź brak zgodności elementów relacji z doświadczeniem życiowym i zasadami logicznego rozumowania" – czytamy w materiałach.

„Broda" często potykał się też na szczegółach, np. mylił nazwę wschodniej mafii. Rosyjską grupę sołncewską określał grupą słonczyńskich. Twierdził też, że rezydował jakiś czas w stolicy Kirgizji i nazywał miejscowość Biszpekiem, choć prawidłowa nazwa to Biszkek.

OFENSYWA Z UKRAINY

Piotr K. stracił ochronę, mieszkanie i pieniądze na utrzymanie, gdy już jako świadek koronny dopuścił się przestępstwa i został skazany na cztery lata więzienia na przełomie lat 2014–2015. To wtedy zbiegł na Ukrainę. Tam został zatrzymany m.in. pod zarzutem gwałtu, kradzieży i rozboju. Jest jednocześnie ścigany przez Interpol dwoma listami gończymi.

W czasie, gdy do sieci trafiły materiały szkalujące Zbigniewa Ziobrę i jego rodzinę, z gangsterem spotkał się dziennikarz śledczy Janusz Szostak. O kulisach tego spotkania opowiadał w Radiu Wnet. Szostak wybierał się z żoną do Lwowa, więc skorzystał z okazji, by pokazać, jak łatwo znaleźć gangstera. „Broda" spotkał się z nim na przejściu granicznym w Medyce. Starym samochodem zawiózł Szostaka i jego małżonkę do hotelu. Po drodze opowiadał, że ma świetnego mercedesa, ale nie zdążył w nim wymienić opon na zimowe. – Wychodził z pokoju załatwiać nam żelazko, wracał, znów wychodził, ostrzegał, że musimy uważać, zamykać pokój na klucz, bo tu rzekomo kradną. I rzeczywiście, kiedy wyszedł, okazało się, że z portfela zniknęły również nasze pieniądze – opowiadał w radiu dziennikarz. – Mieliśmy się spotkać tego samego dnia wieczorem, ale już straciłem z nim kontakt. Nie pojawił się na kolacji, nie udało się go odnaleźć. Mówił, że jedzie jeszcze raz na przejście graniczne, spotkać się z kimś. Jestem przekonany, że spotykał się z kimś od S., od którego udało mu się wyciągnąć pieniądze za rzekome rewelacje – dodawał.

Można zakładać, że ostatnie kłamstwa „Brody", te rozpowszechniane już po ucieczce, to próba ratowania skóry. Prawdopodobnie dlatego uderzył tak wysoko i m.in. próbował skompromitować zastępcę prokuratora generalnego. Tu

eprasa.pl a01f6cfe92

pomogły mu jego spostrzegawczość i przestępstwo z przeszłości, bo zdjęcia, które do sieci wrzucono jako rzekome fotografie prokurator Marczak, w rzeczywistości przedstawiają kobietę, która w 2011 r. zgłosiła na policję oszustwo.

To pani z południa Polski, która poznała Piotra K. przez portal randkowy. Przedstawił się jej jako Aleksander. Na pierwszym spotkaniu wyznał, że tak naprawdę jest ze służb specjalnych. Dowód? Wiedział, ile kobieta ma punktów karnych jako kierowca. To ją przekonało. Pokazywał jej też dwa zdjęcia, na których wyglądał inaczej, i twierdził, że w godzinę potrafi zmienić wygląd, gdy wymaga tego akcja specjalna. Zaprosił ją do mieszkania w Kielcach, opowiadał, że to mieszkanie służbowe. Pokazywał filmy z akcji CBŚ na YouTube i twierdził, że brał w nich udział.

Podczas jednego ze spotkań kobieta podzieliła się z Aleksandrem muzyką. Dała mu pendrive'a, by przegrał sobie piosenki. Oszust przejrzał dysk i znalazł folder ze zdjęciami. „Zaczął je przeglądać i zobaczył, że mam zdjęcia zrobione w bieliźnie, gdzie byłam powiązana i przywiązana do haka w futrynie. Mimo moich protestów zdjęcia te przegrał na swój komputer – laptop, mówiąc, że mu się podobają i że zostawi je sobie na pamiątkę" – opowiadała kobieta policjantom. To właśnie te zdjęcia, które pod koniec grudnia „Broda" przekazał Zbigniewowi S. jako rzekome fotografie prokurator Barbary Marczak.

W pewnym momencie przestępca wziął od niej telefon komórkowy. Twierdził, że musi sprawdzić jej kontakty. To był aparat warty ok. 40 zł. Kobieta już go nie odzyskała. Gdy jeszcze wierzyła Aleksandrowi ze służb specjalnych, ten nadal ciągnął tę bajkę. Pewnego razu przyznawał, że wpadł w kłopoty. Miano go pomówić o łapówkę przy załatwianiu pracy w służbach specjalnych. Twierdził, że to uderzenie w niego oparło się o ministerstwo, bo jest jednym z niewielu specjalistów w polskich służbach. W pewnym momencie poprosił kobietę o zakup telefonu na jej nazwisko – tłumaczył, że potrzebuje takiego bezpiecznego urządzenia, z którego jeszcze nikt nie korzystał. A że akurat nie miał przy sobie dokumentów, aparat wraz z abonamentem (50 zł miesięcznie) kupiła na siebie jego ofiara. Nigdy jej za to nie zapłacił, telefonu już też nie zobaczyła.

Podczas innego ze spotkań Aleksander wymyślił kolejną historię – tym razem miał wpaść w kłopoty, bo przeszukano mu mieszkanie i znaleziono kamizelkę kuloodporną z napisem „Policja" oraz jego dokumenty. Jako agent specjalny miał je oczywiście na nieistniejącą osobę. Tłumaczył, że zwykli policjanci nie mają dostępu do takich danych, więc teraz ma problem. Przekonywał, że nie może skorzystać z własnej karty bankowej, bo „mogliby dojść, gdzie on jest". Dlatego poprosił kobietę o pożyczenie 600 zł. Ta wypłaciła z bankomatu 400 zł, które mu dała. Następnego dnia kontakt z Aleksandrem się urwał. Nie odbierał telefonów, nie było go już w mieszkaniu w Kielcach.

Wtedy kobieta zaczęła podejrzewać, że padła ofiarą oszusta. Na portalu randkowym zaczepiła inną panią, która utrzymywała kontakty z Aleksandrem. Przez telefon dowiedziała się, że i tamta została oszukana. Jej też gangster opowiadał, że pracuje w służbach specjalnych. Ona straciła pieniądze i zegarek.

Oszukana przez „Brodę" poszła też do ludzi, przy których posesji widziała kiedyś rozmowę kryminalisty z nimi. Okazało się, że nachodził ich, żądając pieniędzy. Już wtedy pokazywał im jej erotyczne zdjęcia, które zgrał z komputera. Sprawę zgłosiła na policję.

Trudno odmówić „Brodzie" sprytu, gdy zauważył, że zdjęcia jego ofiary przypominają prokurator, która od 20 lat walczy z przestępczością zorganizowaną. Stały się dla niego prawdopodobnie jeszcze jednym narzędziem, którego łapał się, by uciec przed Temidą. Polskie władze bowiem – jak ustaliliśmy – już prowadzą pertrak-

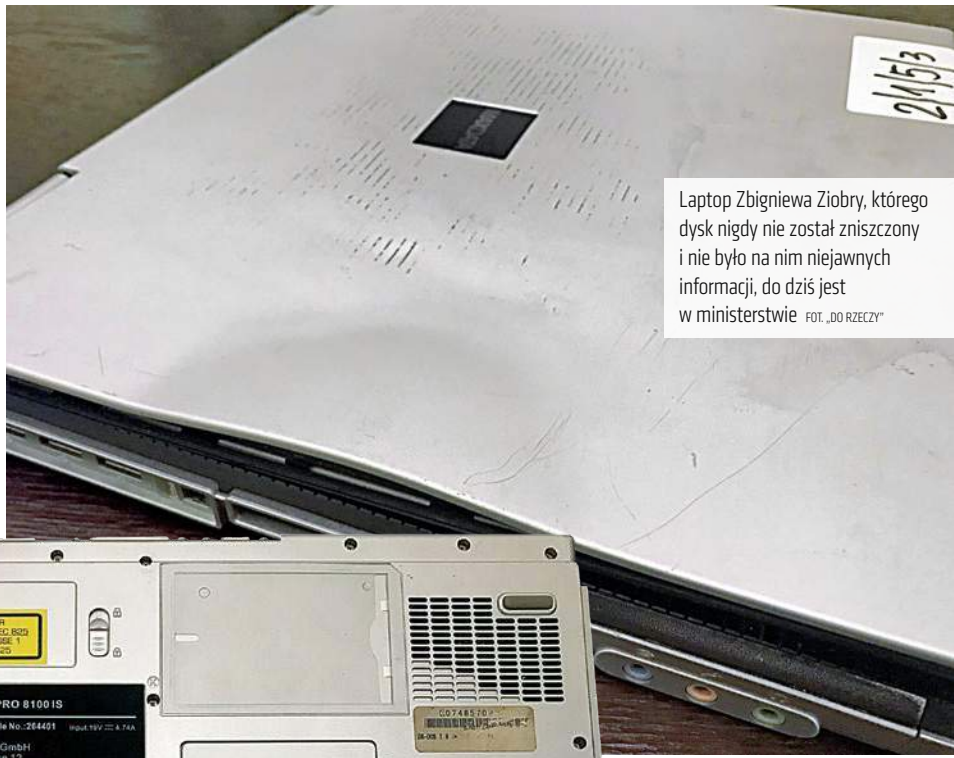

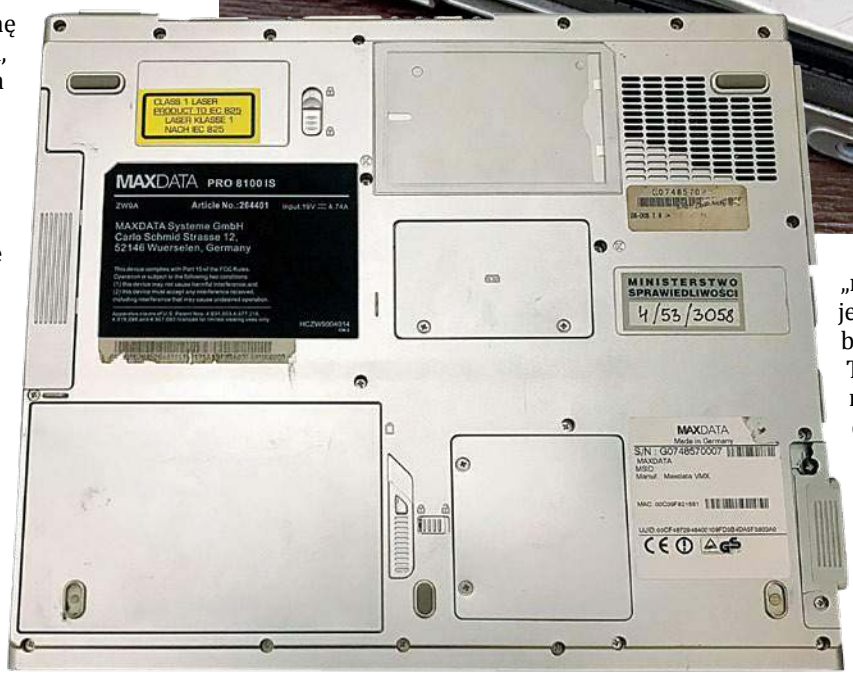

Laptop Zbigniewa Ziobry, którego dysk nigdy nie został zniszczony i nie było na nim niejawnych informacji, do dziś jest w ministerstwie FOT. „DO RZECZY"

eprasa.pl a01f6cfe92

tacje z władzami Ukrainy w sprawie jego wydania. I to właśnie prokurator Marczak osobiście podpisała pismo do strony ukraińskiej wnoszące o wszczęcie procedury ekstradycji Piotra K.

HISTORIE Z LAPTOPA ZIOBRY?

Piotr K. chwali się – przyznawał to też w rozmowie, którą upublicznił Zbigniew S. – że ma wiele tajnych informacji, bo to u niego ma rzekomo znajdować się dysk ze słynnego zniszczonego laptopa Zbigniewa Ziobry. Do tych sugestii wrócono też w tekście „Gazety Wyborczej". Jeśli bowiem Kotecka miała być podstawiona przez mafię, to przecież miała dostęp do komputera męża...

Chodzi o sprawę z 2008 r., gdy władzę po PiS przejęło PO-PSL i dyrektor generalny Ministerstwa Sprawiedliwości zawiadomił organa o tym, że Ziobro i jego współpracownik oddali zniszczone komputery. Ziobro tłumaczył wówczas, że laptopa zniszczył przypadkowo, podczas przeprowadzki.

Wszczęto oficjalne śledztwo, w czasie, gdy ministrem sprawiedliwości był Zbigniew Ćwiąkalski. Z akt tej sprawy wynika, że choć laptop Maxdata PRO 8100IS został uszkodzony, to dysk urządzenia był sprawny. „Dysk wymontowany z laptopa Maxdata (oznaczony HDD_1) nie zgłosił żadnych błędów" – odnotowano. Podłączono go i sporządzono kopie binarne. Okazało się też, że na dysku nie było żadnych informacji niejawnych.

W dodatku przy tej okazji została wykonana analiza Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Stwierdzała ona we wnioskach, że laptop Ziobry nie był w ogóle przeznaczony do przetwarzania i przechowywania informacji niejawnych i że w rozumieniu przepisów ustawy takich informacji na nim nie było. Nie był też szyfrowany. Śledztwo więc umorzono.

Dysk z laptopa Ziobry był w 2008 r. przedmiotem jeszcze jednego śledztwa, które uruchomiono po artykule „Ziobro, Kotecka, laptop i CBA", opublikowanym w „Gazecie Wyborczej". Stawiano w nim tezę, że CBA kontaktowało się z Patrycją Kotecką, wówczas dziennikarką TVP, ponieważ przekazała ona informacje na temat nieprawidłowości w telewizji publicznej. Sugerowano znów, że laptop Ziobry, z którego korzystała też Kotecka, został zniszczony celowo.

I w tym postępowaniu stwierdzono również, że dysk jest sprawny, jest jego kopia binarna. Śledztwo umorzono.

Laptop, który dekadę temu tak rozgrzewał media, do dziś leży w Ministerstwie Sprawiedliwości. Widać, że ma uszkodzony kawałek obudowy w górnej części, przez co stłuczona jest matryca ekranu.

„Broda" sugerował też, że to on miał załatwić Koteckiej pracę w TVP. Tyle że w tym czasie akurat Piotr K. od wielu miesięcy przebywał w areszcie śledczym na warszawskiej Białołęce. Decyzję o powołaniu w 2007 r. Patrycji Koteckiej na stanowisko zastępcy dyrektora Agencji Informacji ds. audycji informacyjnych TVP1 i TVP2 podjął zarząd TVP SA. Kotecka była już wtedy rozpoznawalną dziennikarką, wyróżnioną tytułem Dziennikarza Roku.

PROKURATURA O ZEZNANIACH: NEGATYWNIE ZWERYFIKOWANE

Wojciech Czuchnowski, który opublikował treść zeznań „Brody" sprzed 11 lat sugerujących związki Koteckiej z mafią, przyznał żonie Ziobry w SMS-ie przed publikacją, iż te akta miał od pięciu lat, ale wcześniej ich nie chciał publikować.

Według prokuratury zeznania gangstera dotyczące rzekomych związków Koteckiej ze światem przestępczym to kłamstwo. Rzeczniczka Prokuratury Krajowej Ewa Bialik w oświadczeniu dla PAP stwierdziła, że doniesienia te były wielokrotnie i szczegółowo sprawdzane w postępowaniach. Nie potwierdziły się. „Dowody zgromadzone w wielu postępowaniach jednoznacznie wykazały, że Piotr K. ps. Broda mija się z prawdą" – skomentowała Bialik. Odniosła się też do szczegółów m.in. informacji „Brody", jakoby Kotecka w latach 90. miała zlecić spalenie pizzerii na warszawskim Ursynowie. Prokuratura sprawdziła, że straż pożarna nie odnotowała żadnego tego typu zdarzenia w tym rejonie Warszawy w ciągu ostatnich 25 lat. Żaden lokal gastronomiczny nie spłonął tam od 1996 r. A straż odnotowuje nawet interwencje dotyczącą małego zaprószenia ognia, nie tylko spalenia całego lokalu czy budynku.

Patrycja Kotecka zaprzeczyła informacjom opublikowanym przez „Gazetę Wyborczą" i zapowiedziała podjęcie kroków prawnych. „Publikacja jest oparta na złożonych 12 lat temu fałszywych wyjaśnieniach oszusta i gwałciciela o pseudonimie Broda, które były wielokrotnie sprawdzane przez prokuraturę, także w okresie wielu lat rządów Platformy Obywatelskiej" – napisała w oświadczeniu.

Na Piotra K. w Polsce czekają dwa prawomocne wyroki skazujące go na kary bezwzględnego więzienia – w sumie na blisko siedem lat za kratkami. Prokuratura Krajowa poinformowała, że zawieszone wobec niego postępowanie karne, w którym zyskał status świadka koronnego, zostało ponownie podjęte, „co praktycznie sprowadza się do utraty przez niego statusu świadka koronnego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

5 marca 2020 (czwartek) godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na dyskusję wokół publikacji

Nie tylko „Po Prostu". Prasa w dobie odwilży (1955–1958)
red. Michał Przeperski i Paweł Sasanka

W dyskusji udział wezmą:

PROF. ANDRZEJ FRISZKE – Instytut Studiów Politycznych PAN
DR MARCIN MARKIEWICZ – Instytut Pamięci Narodowej
DR MICHAŁ PRZEPERSKI – Instytut Pamięci Narodowej
DR PAWEŁ SASANKA – Instytut Pamięci Narodowej

Prowadzenie: RED. MAREK ZAJĄC

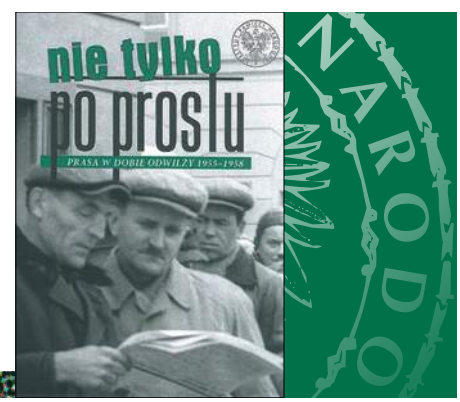

Organizatorzy:
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
PRZYSTANEK HISTORIA

Patroni medialni:
HISTORIA
RZECZY
DZIEJE.PL
BIULETYN IPN

eprasa.pl a01f6cfe92

Z Adamem Bielanem, europosłem PiS, rzecznikiem sztabu wyborczego Andrzeja Dudy
rozmawia Maciej Pieczyński

To Platforma ma problem z Kosiniakiem-Kamyszem

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jaka jest stawka nadchodzących wyborów prezydenckich? Czy gra toczy się wyłącznie o reelekcję Andrzeja Dudy, czy może o przyszłość całego obozu Zjednoczonej Prawicy?

ADAM BIELAN: Stawka jest olbrzymia. Nie tylko dla naszego obozu politycznego, lecz także dla Polski w ogóle. Gra toczy się o to, jaka będzie atmosfera polityczna w naszym kraju przez kolejne trzy i pół roku. Obecny rząd ma najsilniejszy mandat demokratyczny od lat. Cieszy się rekordowym poparciem, zdobytym w wyborach przy bardzo wysokiej frekwencji. Rząd ten będzie sprawować władzę do jesieni 2023 r. W maju Polacy staną przed odpowiedzią na bardzo ważne pytanie. Czy chcą prezydenta, który czasem skrytykuje rządzących, od czasu do czasu nawet zawetuje im jakąś ważną ustawę, tak jak to miało miejsce w przypadku reformy sądownictwa w 2017 r., ale jednak ma wolę dobrej współpracy? Czy może jednak wyborcy, głosując na przeciwników obecnej władzy, sami sobie zafundują brutalną wojnę na górze pomiędzy prezydentem a premierem? Żeby dowiedzieć się, jak ta wojna może wyglądać, wystarczy przyjrzeć się działaniom opozycji w Senacie, który ma przecież w naszym ustroju nieporównanie mniejsze kompetencje niż prezydent. Izba wyższa nieustannie rzuca kłody pod nogi rządu. Zdominowany przez opozycję Senat do końca próbował blokować wprowadzenie w życie 13. emerytury. Albo będzie zgodna współpraca różnych ośrodków władzy, albo brutalna wojna na górze aż do następnych wyborów parlamentarnych. Ten drugi wariant to ostatnia rzecz, której potrzebujemy w obecnej sytuacji międzynarodowej, kiedy Unia Europejska przeżywa kryzys, a za naszą wschodnią granicą toczy się konflikt zbrojny.

Jak informowały media, prezydent nie zapowie podczas kampanii żadnych dużych programów społecznych na miarę kolejnego „500+". Nie padły jeszcze żadne konkretne obietnice. Jaka więc będzie ta kampania? Czym konkretnie Andrzej Duda spróbuje po raz kolejny przekonać do siebie Polaków?

Tym, co bez wątpienia odróżnia pana prezydenta od konkurentów, jest wiarygodność. Andrzej Duda nie zmienia co chwila zdania na temat wieku emerytalnego, jak to miało już miejsce w przypadku Małgorzaty Kidawy-Błońskiej i Władysława Kosiniaka-Kamysza. Obóz Zjednoczonej Prawicy konsekwentnie realizował to, co obiecał Polakom przed wyborami parlamentarnymi, samorządowymi czy europejskimi. Tak samo będzie w przypadku wyborów prezydenckich. Konkretnych propozycji nie mogę jednak na razie zdradzić. Przyjdzie na to czas.

Może powie pan przynajmniej, w którym kierunku pójdzie kampania Andrzeja Dudy? O którą część elektoratu toczyć się będzie walka?

Nie będę zdradzać szczegółów. Po pierwsze, kultura polityczna wymaga, aby to kandydat ogłaszał swój program w konkretnym momencie. Po drugie, naszą rozmowę czytać będą również konkurenci Andrzeja Dudy. Nie mogę dawać im do ręki żadnych wskazówek. Efekt zaskoczenia to bardzo ważny element kampanijnej taktyki.

Ale czytać nas będą również potencjalni wyborcy urzędującego prezydenta. Chcieliby się dowiedzieć, na co mogą liczyć w kolejnej kadencji.

Cała kampania będzie służyć temu, by jak najlepiej przedstawić wizję prezydentury Andrzeja Dudy. Pamiętajmy też, że główni kandydaci nie pojawili się na scenie politycznej wczoraj. Można ich rozliczać z dotychczasowych dokonań. Andrzeja Dudę można oceniać przez pryzmat tego, czego dokonał w czasie pięciu lat sprawowania swojego urzędu. Małgorzatę Kidawę-Błońską można rozliczać z tego, że pełniła funkcję rzecznika rządu Donalda Tuska. Szczególnie że to właśnie jego ludzie będą grać pierwsze skrzypce w sztabie kandydatki Platformy. Wiemy o tym z doniesień mediów, które temu środowisku nie są bynajmniej nieprzychylne. Polacy znają bardzo dobrze zarówno dorobek prezydenta Dudy, jak i rzeczniczki Tuska.

Na początku kampanii w centrum uwagi mediów znalazł się jednak dorobek szefowej sztabu prezydenta Dudy. Jolanta Turczynowicz-Kieryłło miała ugryźć w rękę mieszkańca Milanówka. Jak sama tłumaczy, broniła swojego dziecka przed napaścią. Napastnik twierdzi jednak, że było to „obywatelskie zatrzymanie" – polityk i jej syn mieli według tej wersji łamać ciszę wyborczą. Niezależnie od tego, kto ma rację, historia ta może zaszkodzić

eprasa.pl a01f6cfe92

wam wizerunkowo. Szefowa sztabu skradła show kandydatowi?

Oczywiście, doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że wprowadzenie na tak wysokie stanowisko osoby nowej, nieznanej szerszej publiczności, sprawi, iż media zaczną szukać na jej temat różnych kłopotliwych informacji…

Nie trzeba było długo szukać. Trudno, żeby media nie zainteresowały się tak barwną historią.

Pani mecenas jest osobą o spektakularnym dorobku. Ma na swoim koncie imponujące osiągnięcia zawodowe. Wiedzieliśmy, że przez pierwsze kilka dni po ogłoszeniu nazwiska szefa kampanii pani mecenas będzie się cieszyć nieustającym zainteresowaniem mediów, że będą analizowane wszelkie jej wypowiedzi czy generalnie wszystko to, co robiła w przeszłości. Zapewniam jednak, że decyzja o tej nominacji była przemyślana i właściwa. Prezydent docenił panią mecenas ze względu chociażby na jej zaangażowanie w kampanię społeczną „Szanuję, nie hejtuję", wymierzoną w mowę nienawiści. Na całe zamieszanie spójrzmy z dystansem. Pan, jako dziennikarz, doskonale wie, że tematy, którymi dziś żyją media, za tydzień lub dwa kompletnie przestaną być istotne.

Z pewnością jednak istotne pozostaną sondaże. A w tych niedawno mieliśmy do czynienia z niespodzianką. Według sondażu przeprowadzonego na zlecenie „Dziennika Gazety Prawnej" i RMF FM Andrzej Duda mógłby minimalnie przegrać, gdyby spotkał się w drugiej turze z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Czy to powód do niepokoju?

Podchodzę do tego sondażu z dystansem, podobnie zresztą jak do wszystkich sondaży, również do tych, które dają Andrzejowi Dudzie zwycięstwo już w pierwszej turze. Preferencje wyborców na tym etapie kampanii wyborczej nie mają jakiejś szczególnej wartości. Oczywiście, sondaże wpływają na przebieg kampanii, ponieważ media się nimi ekscytują…

Wpływają z pewnością na psychologię elektoratów…

Zgoda. Ale to my mamy zdecydowanie najlepszego kandydata. Dlatego jestem spokojny o wynik wyborów, jeżeli oczywiście przeprowadzimy dobrą, mocną kampanię wyborczą. Problemem, z którym się musieliśmy mierzyć jeszcze niedawno, było panujące wśród naszych zwolenników przekonanie, że drugą kadencję prezydenta Dudy mamy w kieszeni. Optymizm był uzasadniony po zwycięstwach w wyborach europejskich i parlamentarnych. Nie możemy jednak pozwolić na to, aby nadmierny optymizm uśpił naszą czujność. Nieco gorsze wyniki sondażowe odegrają pozytywną rolę – pomogą zmobilizować naszych działaczy i sympatyków. Bez ich zaangażowania trudno będzie wygrać wybory.

Tak czy inaczej, faktem jest dobry wynik lidera ludowców. Czym sobie Władysław Kosiniak-Kamysz na to zasłużył?

Wszystkie poprzednie sondaże dawały zwycięstwo Andrzejowi Dudzie, również w ewentualnym, hipotetycznym starciu z liderem PSL w drugiej turze. Proszę nie wyciągać daleko idących wniosków na podstawie jednego badania. Władysław Kosiniak-Kamysz ma jeden podstawowy problem. Był mianowicie twarzą

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

najbardziej niepopularnej reformy ostatnich lat, jaką było podwyższenie wieku emerytalnego. Okazał się wówczas politykiem niezwykle niesamodzielnym. Jak wiemy choćby ze słynnej już wypowiedzi Pawła Grasia, nagranej w restauracji Sowa i Przyjaciele, prezes PSL był u Tuska człowiekiem od czarnej roboty. Będzie mu to przypominane podczas kampanii. Nie zamierzam jednak go atakować. To nie my, lecz sztab pani Kidawy-Błońskiej ma z nim problem. To dla kandydatki Platformy Kosiniak-Kamysz jest realną konkurencją. Między nimi rozegra się walka o drugą turę. A w niej zwycięzcą będzie Andrzej Duda. O tym jestem przekonany.

Małgorzata Kidawa-Błońska miała być nową twarzą Platformy. Łagodna, koncyliacyjna, merytoryczna. Tak mówili o niej nawet przeciwnicy. Tymczasem zdarzają się jej wpadki, a i z koncyliacyjnością nie zawsze jest idealnie. Zaskakuje pana przebieg kampanii kandydatki PO na prezydenta?

Nie, ponieważ obserwowałem jej zachowanie w czasie kampanii parlamentarnej. Już wtedy widziałem zupełnie inną niż ta wykreowana przez część mediów twarz pani Kidawy-Błońskiej. Twarz bardzo agresywną. Można powiedzieć, że poznała ją cała Polska, kiedy kandydatka Platformy obściskiwała się z hejterami wulgarnie atakującymi prezydenta Dudę podczas niedawnych uroczystości w Pucku. Wtedy to, można powiedzieć, ostatecznie spadła maska „koncyliacyjnej" kandydatki. Trudno wyobrazić sobie coś równie skandalicznego. Poważna polityk, kandydatka na prezydenta kraju, aprobuje obrzucanie wyzwiskami swojego konkurenta podczas setnej rocznicy niezwykle ważnego dla Polski wydarzenia! Właśnie tak wyglądałaby „współpraca" głowy państwa z rządem, gdyby Platforma wygrała nadchodzące wybory.

Czy ta agresja może zaszkodzić Platformie i przesądzić o waszym zwycięstwie?

Myślę, że ta kampania toczyć się będzie do ostatniego dnia, do ostatniej godziny. Musimy być bardzo zmobilizowani. Opozycja, szczególnie mam tu na myśli Platformę, uruchomi wszelkie dostępne siły i środki, aby nam przeszkodzić. Nie jest łatwo pokonać tę olbrzymią falę hejtu, którą zalewają nas konkurenci. Byłem świadkiem, jak w Łowiczu do pana prezydenta podszedł wzruszony ojciec pięciorga dzieci i dziękował za program „500+". Później posłowie PO kolportowali kłamstwa, jakoby to była osoba podstawiona przez nas. Trudno się walczy z przeciwnikiem, który stosuje chwyty poniżej pasa.

Ironicznie podziękował pan Donaldowi Tuskowi za udzielenie poparcia kandydatce Platformy. Jest pan pewny, że to pocałunek śmierci? Przecież Tusk wciąż jest autorytetem dla wielu zwolenników antypisu. A komentatorzy są raczej zgodni co do tego, że talentem politycznym przewyższa większość obecnych liderów opozycji.

Tusk sam doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak potężny ma elektorat negatywny. Właśnie tym faktem uzasadnił zresztą wycofanie się z wyścigu prezydenckiego. Już wcześniej szeptano w mediach o związkach ludzi Kidawy-Błońskiej z Tuskiem. Dzisiaj sami zainteresowani mówią o tym głośno, oficjalnie. To zresztą nie jest żaden powrót byłego premiera Platformy. Wbrew obiegowej opinii Tusk od lat nieprzerwanie ingeruje w polską politykę. Ostatni raz spektakularnie zaangażował się podczas wyborów europejskich. To był wręcz „najazd" Tuska na Polskę. Wielokrotnie występował publicznie, jednoznacznie kreując się na patrona zjednoczonej przeciwko nam opozycji. I jaki był tego efekt?! Spektakularne zwycięstwo… Zjednoczonej Prawicy.

Nieco gorsze wyniki sondażowe odegrają pozytywną rolę – pomogą zmobilizować naszych działaczy i sympatyków. Bez ich zaangażowania trudno będzie wygrać wybory

Tusk zdążył już ostro zaatakować personalnie Andrzeja Dudę. Stwierdził, że nie widzi powodu, dla którego obecny prezydent „nagle miałby stać się mężczyzną" i zawetować ustawę, przyznającą 2 mld zł rekompensaty dla TVP.

Tego typu prymitywne sztuczki Tusk stosuje od lat, by prowokować przeciwników. Pretenduje do roli „młodszego Wałęsy", który chamskimi docinkami próbuje zrekompensować sobie, że wypadł z wielkiej polityki.

Do walki z prezydentem Dudą stanie czwórka kandydatów reprezentujących lewicowo-liberalną opozycję. Oprócz wspomnianych polityków PO i PSL – Robert Biedroń i Szymon Hołownia.

Co prawda, sondaże pokazują na tę chwilę wyraźną przewagę pani Kidawy-Błońskiej. My jednak musimy być gotowi do starcia z każdym. Zwycięstwo każdego spośród kandydatów opozycji oznacza zaostrzenie wojny polsko-polskiej. I to wyborcy muszą przyznać, niezależnie od poglądów politycznych.

Jakie szanse na dobry wynik ma kandydat Lewicy?

Robert Biedroń już dawno postawił na bardzo radykalny program rewolucji obyczajowej. Zarówno badania opinii publicznej, jak i wyniki wyborów pokazują jednoznacznie, że Polacy sobie takiej rewolucji nie życzą. Nie wróżę więc sukcesu kandydatowi Lewicy. Z o wiele większą niż obecnie sympatią przyglądałem się działaniom Roberta Biedronia w czasie, gdy był jeszcze prezydentem Słupska i mówił o realnych problemach lokalnej społeczności, takich jak wykluczenie geograficzne. Niewiele zostało z tych postulatów. Dzisiaj Biedroń to przede wszystkim agresywny promotor absolutnie niepopularnych w naszym społeczeństwie zmian obyczajowych. Nie sądzę, by miał szanse na wejście do drugiej tury.

A jak ocenia pan kampanię Szymona Hołowni, który wszem wobec głosił, że jest kandydatem bezpartyjnym i zamierza zostać prezydentem „wszystkich Polaków", ponad podziałami? Ile w nim wiarygodności?

Szymon Hołownia apeluje do tych samych wyborców co Małgorzata Kidawa-Błońska. Cieszy się wsparciem polityków niewiele różniących się w swoich poglądach od polityków Platformy. Szefem sztabu jest człowiek Tuska, Jacek Cichocki. Listę poparcia dla Hołowni demonstracyjnie podpisała Aleksandra Dulkiewicz. O jakiej tu ponadpartyjności może być mowa?! Hołownia wystartował zresztą spotem, w którym obraził ofiary katastrofy smoleńskiej. Początek kampanii miał więc fatalny jak na kandydata „wszystkich Polaków"…

Andrzej Duda ma jednak również konkurenta na prawicy. Krzysztof Bosak może odebrać głosy konserwatystów, zawiedzionych polityką PiS?

Aby wygrać wybory prezydenckie, trzeba mieć ponad 50 proc. głosów. Jedynym kandydatem prawicy, który ma realne szanse na taki wynik, jest Andrzej Duda. Wierzę, że wyborcy o konserwatywnych poglądach nie zmarnują swojego głosu i nie przyczynią się do wyboru kandydatki PO.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

Prezydent totalny?

Rafał A. Ziemkiewicz

Prezydent państwa realizujący wobec rządu i parlamentu strategię „opozycji totalnej" to scenariusz iście rozbiorowy. Czy jednak można sobie wyobrazić, że ewentualny zwycięzca wyborów reprezentujący formacje liberalno-lewicowe nie będzie prezydentem „opozycji totalnej"?

Każde wybory są najważniejsze, przełomowe i ostatnie – to znaczy, o każdych tak głosi wyborcza propaganda, by maksymalnie zmobilizować elektoraty. Jednak w wypadku wyborów prezydenckich 2020 stawka rzeczywiście jest wysoka. Nie zadecydują one jednak, jak twierdzą niektórzy, czy PiS będzie dalej rządzić, czy nie. Zadecydują, czy Polska w ogóle będzie przez najbliższe trzy lata rządzona, lepiej czy gorzej, czy będzie „sterowna", czy też pogrąży się w bezładzie i chaosie celowo eskalowanej wojny domowej.

Trudno przecież się spodziewać, że gdyby w Pałacu Namiestnikowskim udało się lewicowo-liberalnej opozycji osadzić Małgorzatę Kidawę-Błońską albo któregoś innego ze swych kandydatów, nagle zrezygnowałaby ona z przyjętej pięć lat temu drogi, powściągnęła rozpętane szaleństwo i zaczęła myśleć o państwie polskim odpowiedzialnie. Wręcz przeciwnie, należałoby się spodziewać, że uskrzydlona sukcesem uznałaby, iż strategia „opozycji totalnej" wreszcie się sprawdziła i trzeba jeszcze więcej tego samego.

WIDMO CHAOSU

Mielibyśmy zatem kuriozum na skalę światową: prezydenta, który nie uznaje Trybunału Konstytucyjnego (nazywając jego sędziów dublerami), nie uznaje Krajowej Rady Sądownictwa, odmawia prawomocności wielu aktom prawnym i nominacjom z ostatnich kilku lat, a nawet wcześniejszych, jeśli stały się sprzeczne z obecną linią „opozycji totalnej" (przypomnę choćby cytowane przeze mnie na tych łamach, ignorowane przez zbuntowanych sędziów i polityków PO oraz lewicy wyroki Trybunału Konstytucyjnego z lat 2009–2013, stwierdzające nadrzędność polskiej konstytucji nad tego rodzaju orzeczeniami TSUE, jakimi swe antykonstytucyjne działania dziś oni legitymizują).

Do tego wyobraźmy sobie, że nowy Prezydent wybiórczo neguje wyroki wydane przez sędziów składających ślubowanie w ostatnich latach oraz odmawia uznania I prezesowi Sądu Najwyższego, którego mianuje Andrzej Duda na miejsce kończącej kadencję 30 kwietnia Małgorzaty Gersdorf, oraz przy każdej okazji apeluje do Unii Europejskiej o nieuznawanie jego rządu za praworządny i o sankcje przeciwko własnemu krajowi. I oczywiście w bieżącej krajowej polityce z automatu wetuje wszystko, co dostanie z parlamentu, odmawiając parlamentarnej większości „moralnego mandatu do sprawowania władzy". No i w ogóle stara się jej uprzykrzyć życie na wszelkie możliwe sposoby.

Od pięciu lat głównym celem opozycji, praktycznie jedynym postulatem, co do którego jej główne siły są w stanie się zgodzić, jest postulat nowych wyborów. To ich wymuszeniu służyć miały

eprasa.pl a01f6cfe92

manifestacje uliczne, zabieganie o akty potępienia Polski przez organa unijne i strajki kolejnych grup zawodowych, uwieńczone sparaliżowaniem przez prawniczą lepperiadę pracy sądów. Przy tym przejawia opozycja niebywałą skłonność do rojenia pod byle pretekstem o wielkiej zmianie nastrojów na jej rzecz, która następuje pod wpływem antyklerykalnego albo antypisowskiego filmu, „drożyzny", zniszczenia wizerunku rządu przez ogłoszenie kolejnej „afery" – obecnie nie kryje nawet „opozycja totalna" wiary, że taką rolę odegra oczekiwana epidemia koronawirusa i oskarżenie rządu, że nie przygotował do niej należycie kraju.

Jest zatem więcej niż pewne, że zdobywszy Belweder, uczyniłaby opozycja swym priorytetem doprowadzenie za wszelką cenę do przesilenia i przyśpieszonych wyborów. Te zaś, wbrew urojeniom liberalno-lewicowych mediów, sądząc po wszystkich dostępnych sondażach, niczego by nie rozstrzygnęły, tylko pogrążyłyby również parlament w niemożności wyłonienia jakiejkolwiek, a już zwłaszcza trwałej większości. Nawet zresztą gdyby w przyśpieszonych wyborach (na które PiS, jak już zapowiedział Jarosław Kaczyński, nie zamierza się zgodzić) obecna władza zachowała sejmową większość, paraliżujący państwo chaos będzie trwał, dając obu stronom dobry powód do dalszego radykalizowania się i wzajemnego oskarżania przed społeczeństwem o jego spowodowanie.

Przyznają państwo, że prezydent państwa realizujący wobec rządu i parlamentu strategię „opozycji totalnej" to scenariusz iście rozbiorowy. Co bowiem ważne, medialno-celebrycka otulina PO i lewicy, podobnie jak i ich liderzy, dała nieraz już dowody, iż jej chęci potęgowania chaosu i rozszerzania go na kolejne dziedziny życia publicznego nie powściąga jakiekolwiek poczucie odpowiedzialności za państwo. Przeciwnie, ponieważ obóz pomagdalenkowy widzi w państwie polskim tylko część składową Unii Europejskiej, dezorganizowanie go uważa nie tylko za bezpieczne, ale wręcz pożądane, bo przybliżające perspektywę zdecydowanej interwencji europejskiego nadpaństwa i narzucenia przez niego Polakom porządku postulowanego przez formacje liberalno-lewicowe.

Czy zaś można sobie wyobrazić, że ewentualny zwycięzca wyborów reprezentujący tę formację nie będzie prezydentem „opozycji totalnej"?

OGON KRĘCI PSEM

Logika, chłodna kalkulacja wskazywałyby, że tu właśnie leżała wielka szansa Władysława Kosiniaka-Kamysza jako lidera przemalowanego na „Koalicję Polską" PSL oraz Szymona Hołowni jako „kandydata obywatelskiego". Kosiniak wydawał się nawet przez chwilę to rozumieć, gdy wystąpił z argumentem – niezbyt śmiało, bo jedynie na Twitterze – że w przeciwieństwie do Andrzeja Dudy, który podpisuje „wszystko" (nieprawda, ale zostawmy to na boku), i Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, która, odwrotnie, wszystko będzie wetować, on jako prezydent będzie jedyny umiał w korzystnych dla Polski posunięciach (tak to ujął) z rządem PiS współpracować, a te niekorzystne udaremniać.

Taka linia kampanii lidera PSL mogłaby być dla obojga wymienionych bardzo groźna. Przy przewadze sondażowej kandydatki PO o kilkanaście punktów procentowych nie ma sensu próbować być jej lepszą wersją – z dwojga kandydatów podobnych wyborcy zawsze wybiorą tego, który dominuje w sondażach. Szansą Kosiniaka-Kamysza byłoby rzucenie kandydatce PO wyzwania, zdecydowane wystąpienie przeciwko linii „totalnej opozycji", uświadamianie anty-PiS, że to właśnie ta strategia, wymyślona tylko po to, by PO mogła utrzymać dominację w obozie wrogów Jarosława Kaczyńskiego, zapewnia PiS trwanie u władzy mimo wszystkich jego błędów i wad. Tylko takie wyraziste przesłanie mogłoby pozwolić wejść kandydatowi „Koalicji Polskiej" do drugiej tury i zmierzyć się z urzędującym prezydentem.

Jednak po wspomnianym internetowym wpisie Kosiniak-Kamysz został tak zgromiony przez lewicowo-liberalne media i „autorytety" za gotowość współpracy z „faszystami", że czym prędzej położył uszy po sobie i ograniczył się do frazesów, że Polacy nie powinni się kłócić, a wojna polsko-polska jest zła i chciałby ją zakończyć. Takie same frazesy rzuca jednak też kandydatka PO i w obu wypadkach brzmią one równie niewiarygodnie.

Liberalno-lewicowe media są jak przysłowiowy ogon kręcący psem: opanowawszy umysły najbardziej zajadłej części elektoratu anty-PiS i wytresowawszy go w totalnym odrzuceniu „państwa PiS", niszczą każdego, kto ośmiela się odchylić od linii „wszystko albo nic".

W ten właśnie sposób zaprzepaściła kilka lat temu swą szansę Nowoczesna. Kiedy Ryszard Petru odpowiedział pozytywnie na zaproszenie PiS do negocjacji nad rozwiązaniem kryzysu wokół Trybunału Konstytucyjnego, został tak zaatakowany za „zdradę", że szybko gotowość rozmów odwołał, skazując swą partię na rolę „przystawki" PO, a tym samym na stopniową marginalizację. Ciekawe, że dawni patroni Nowoczesnej, dziś stojący za Szymonem Hołownią, zupełnie tej lekcji nie zrozumieli – bo i on najwyraźniej panicznie boi się przeciwstawić medialnemu frontowi, narzucającemu histeryczną nienawiść do „reżimu", totalną negację i delegitymizację „państwa PiS" i głębię analizy politycznej na poziomie „jest jak w Korei Północnej, a w każdym razie do tego PiS dąży".

Ta siła mediów liberalnych i lewicowych oraz ich zajadłość jest gwarancją, że żaden z czwórki kandydatów „opozycji totalnej" (bo przecież Hołownia kandydatem „obywatelskim" nazywany może być tylko w takim sensie, że otoczył się rozmaitymi „spadami" z Platformy Obywatelskiej) nie odważy się na odstępstwo od pryncypiów „opozycji totalnej".

ZA DUŻY KOSZT

To bez wątpienia dobra wiadomość dla PiS. Nie ma jednak gwarancji, że groza „prezydentury totalnej" zapewni reelekcję Andrzejowi Dudzie. Zwłaszcza że kampania tego ostatniego na razie, delikatnie mówiąc, nie zachwyca. Nie ma pewności, czy w PiS istnieje świadomość, co musiałaby oznaczać jego przegrana. Daje się nawet słyszeć głosy, że ostra polaryzacja i bezlitosna konfrontacja z „opozycją totalną" zawsze partii służyły, także dlatego że pozwalając wskazać winnych wszystkim niepowodzeniom, zapobiega naturalnemu „zużywaniu" się u władzy.

Tylko jaki byłby koszt zafundowania Polsce tak nieopisanego chaosu w momencie, gdy wykuwa się nowy ład świata, a Unia Europejska przepoczwarza się w coś nowego, nie bardzo jeszcze wiadomo co, gdy otwierają się szanse, które trzeba szybko wykorzystywać, i zagrożenia, na które trzeba sprawnie reagować? Czy ktoś o tym myśli?

Najważniejsze, żeby pomyśleli o tym wyborcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Prezydent Andrzej Duda i Jolanta Turczynowicz-Kieryłło podczas pierwszej prezentacji „dudabusu", Warszawa 20 lutego 2020 r. FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Szefowa sztabu w świetle reflektorów

Wojciech Wybranowski

Miała być mocnym punktem kampanii wyborczej prezydenta Andrzeja Dudy i ocieplać jego wizerunek. Po dwóch tygodniach oficjalnej kampanii Jolanta Turczynowicz-Kieryłło stała się głównym celem ataków opozycji i medialnej krytyki. A ludzie odpowiedzialni za kampanię głowią się, co jeszcze może „wypłynąć"

Początek oficjalnej kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. Prezydent ponownie rusza w peregrynacje po kraju „dudabusem". Inauguracji prezydenckiego tour de Pologne towarzyszą media, są kamery. Do autobusu przychodzi Jolanta Turczynowicz-Kieryłło, szefowa kampanii prezydenta Andrzeja Dudy. Ubrana w czarny płaszcz, pod pachą niesie drugi czerwony, zdecydowanie bardziej elegancki. Na widok kamer przebiera się i wychodzi do mediów, jeszcze zanim zrobi to prezydent. To ona ściąga na siebie uwagę dziennikarzy, bryluje przed kamerami, Andrzej Duda i początek jego objazdu po Polsce schodzą na drugi plan.

To Turczynowicz-Kieryłło, nie zaś ubiegający się o reelekcję Andrzej Duda, staje się gwiazdą dnia. Tydzień później pojawia się na wyjazdowym posiedzeniu klubu PiS w Jachrance. Ma zapowiedzieć wystąpienie obecnego tam prezydenta. Jednak przez pierwszych kilka minut mówi wyłącznie o sobie, trwa to tak długo, że aż – jak relacjonowało Radio RMF FM – zniecierpliwieni posłowie PiS przerwali jej wystąpienie okrzykami: „Andrzej Duda". Dopiero wtedy szefowa kampanii Dudy ustąpiła miejsca bohaterowi wydarzenia.

– Pani mecenas lubi być na pierwszym planie, cieszy ją zaciekawienie mediów, próbuje zainteresować także tych, o których wiemy, że są nam nieżyczliwi. OK, buduj swój wizerunek, ale ona powinna być w cieniu prezydenta. Tymczasem na razie rozkłada swój pawi ogon, spod którego Dudę ledwo widać – mówi nam jedna z osób zaangażowanych w prezydencką kampanię Andrzeja Dudy.

To jedna z najostrożniejszych opinii, którą usłyszeliśmy, gdy pytaliśmy o zaangażowanie w kampanię prezydenta pani Jolanty Turczynowicz-Kieryłło. I nic dziwnego, bo medialny lans szefowej prezydenckiej kampanii na razie przyniósł kandydaturze Andrzeja Dudy więcej szkody niż pożytku.

„A NUŻ SIĘ COŚ PRZYKLEI"

Zaczęło się od pozornie niewinnego wystąpienia Turczynowicz-Kieryłło w TVP Info, gdzie mówiła, że „dowolność korzystania z wolności słowa może prowadzić do zagrożeń, nawet do zagrożeń interesów, które są ważne z perspektywy państwa". Dalej rozwijała, że dotyczy to spraw, w których chodzi o interes państwa, interes publiczny. Jednak wyrwany z kontekstu fragment jej wypowiedzi stał się świetnym pretekstem do uderzenia ze strony konkurencji w prezydenta Andrzeja Dudę.

– Wypowiedź Jolanty Turczynowicz-Kieryłło, szefowej kampanii prezydenta Andrzeja Dudy, pokazuje, do czego dąży PiS. To taka zapowiedź, ja to tak odebrałam, wprowadzania cenzury – krytykowała walcząca o prezydenturę Małgorzata Kidawa-Błońska (PO).

Kilka dni później „Gazeta Wyborcza" w mocnym artykule donosi, że „szefowa kampanii prezydenta pogryzła mieszkańca Milanówka". Według gazety Jolanta Turczynowicz-Kieryłło w 2018 r. w Milanówku miała łamać ciszę wyborczą i roznosić ulotki hejtujące jednego z kandydatów, a gdy pewien mężczyzna próbował ją zatrzymać, ugryzła go w rękę. Wybucha burza. Szybko okazuje się jednak, że fakty

eprasa.pl a01f6cfe92

wyglądały nieco inaczej, niż przedstawiała to gazeta. Turczynowicz-Kieryłło przedstawiła bowiem policyjne dokumenty, z których wynika, że została zaatakowana przez mężczyznę, który podduszał ją, miał też uderzyć ją ręką, a także zaatakować jej syna. Duża część komentatorów aktywnych w mediach społecznościowych staje po stronie kobiety – Polacy poza wąskim gronem marginesu społecznego nie akceptują jakiejkolwiek przemocy wobec kobiety. Jednak kolejne dni kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy zostają zdominowane przez medialny show Turczynowicz-Kieryłło i dyskusje, czy łamała ciszę wyborczą, czy nie łamała, czy została uderzona, czy broniła dziecka.

Rzecznik sztabu wyborczego Andrzeja Dudy – Adam Bielan – mówi nam, że sprawa zajścia w Milanówku była znana w PiS, badano ją i nie stwierdzono, by pani Turczynowicz-Kieryłło dopuściła się naruszenia prawa.

– Stawiając na osobę spoza świata polityki, wiedzieliśmy, że siłą rzeczy wzbudzi ona zainteresowanie i będzie obiektem ataków politycznych naszych oponentów zarówno politycznych, jak i medialnych, więc nie jest to dla nas zaskoczenie. Z naszych badań wynika, że takimi wydarzeniami jak te w Milanówku żyje kilka tysięcy osób, głównie w bańce twitterowej – mówi Bielan. – Natomiast gdy zadajemy to pytanie Polakom, okazuje się, że bardzo niewiele z tego przebija się do opinii publicznej poza tym, że część wyborców zauważyła pojawienie się pani mecenas w kampanii – dodaje. Oficjalnie politycy PiS stają dziś murem za Turczynowicz-Kieryłło.

– Nie planujemy zmian na stanowisku szefowej kampanii Andrzeja Dudy. Sądzę, że nie będzie obciążeniem, a dużą pomocą – mówił wicerzecznik PiS Radosław Fogiel w rozmowie z Radiem Zet.

W nieoficjalnych rozmowach politycy PiS już takimi optymistami nie są. Słyszymy od nich, że choć z ich analiz wynika, iż niczego samej szefowej sztabu zarzucić się nie da, to jednak jej zawodowa przeszłość i niektóre wypowiedzi – podnoszone przez media mogą być ciężkostrawne dla elektoratu Andrzeja Dudy i spowodować, że – jak słyszymy – „pani mecenas znów będzie sobą zajmować media". O jakich sprawach mowa? Na przykład sprawa porwania Olewnika, kiedy to mecenas Turczynowicz-Kieryłło występowała w roli adwokata policjantów oskarżonych o nieprawidłowości w śledztwie. W 2009 r. ktoś włamał się do jej domu i ukradł materiały dotyczące śledztwa. Prawniczka reprezentowała też w przeszłości, w procesie apelacyjnym, Henryka Stokłosę, kontrowersyjnego biznesmena z Piły, oskarżanego o korupcję. W pierwszej instancji został on skazany na osiem lat więzienia, ostatecznie do zakładu karnego nie trafił, bo sąd apelacyjny uchylił wyrok i nakazał sprawę rozpoznać ponownie, a zanim to się stało, zarzuty uległy przedawnieniu.

– Nic na nią opozycja nie znajdzie, bo nic nie ma. Jednak może być uderzenie wizerunkowe, na zasadzie „a nuż się coś przyklei" – mówi nam jeden z polityków PiS. – To jeszcze nie jest etap „Houston, mamy problem", ale szczęśliwi nie jesteśmy.

KTO STOI ZA SZEFOWĄ KAMPANII

Czy rzeczywiście to jeszcze nie problem? Część mediów spekuluje, że wejście do sztabu Dudy – na osobiste życzenie prezydenta – pani Turczynowicz-Kieryłło spowodowało tarcia między „dużym pałacem" a centralą PiS i ludźmi Kaczyńskiego w sztabie: Joachimem Brudzińskim i Beatą Szydło.

– Nie ma wojny, bo wszyscy wiemy, o co gramy, ale jest chaos. Każdy chciałby ruszyć z kampanią, tylko nie ma jak, bo ciągle się coś dzieje i trzeba gasić pożar. Mamy środki na kampanię, mamy pomysł, mamy dobrego kandydata, a ciągle się dzieje coś dziwnego – mówi nam jedna z osób zaangażowanych w kampanię prezydenta Dudy.

Część z ludzi, którzy zaangażowali się w kampanię prezydenta Dudy, o mecenas Turczynowicz-Kieryłło usłyszała dopiero w dniu ogłoszenia składu sztabu wyborczego. Jeden z nich wspomina, że przyszła na spotkanie, podobnie jak wielu działaczy, ale nie budziła większego zainteresowania.

– Podczas ogłoszania składu nikt nie zwracał na nią uwagi, była tam masa ludzi od prezydenta, byli pełnomocnicy regionalni i nikt nie wiedział, kim ona jest. Ludzie z Nowogrodzkiej dowiedzieli się, kim ona jest, dopiero od Bielana – mówi inny z naszych informatorów.

Skąd się wzięła w sztabie Dudy? Pewne jest jedno: domagał się tego prezydent Andrzej Duda. Doświadczona adwokat, była bydgoska radna Akcji Wyborczej „Solidarność", córka znanego działacza Solidarności, obrońcy w procesach politycznych w PRL, szachistka, w dodatku atrakcyjna kobieta, miała być pewną odpowiedzią na Małgorzatę Kidawę-Błońską i wchodzić z nią w spory „kobieta vs kobieta", co jest lepiej widziane przez wyborców, niż gdy kobieta krytykowana jest przez mężczyznę.

– Decyzja o powołaniu jej na szefa kampanii była oczywiście decyzją samego kandydata, po zasięgnięciu opinii zaplecza politycznego. Wnosi pewną świeżość, inne spojrzenie, prezydentowi zależało, by nie była to kampania stricte partyjna. Są oczywiście doświadczeni politycy, jak pani premier Beata Szydło, Joachim Brudziński czy ja, ale pan prezydent chciał, by w kampanii pojawiły się osoby nowe, i stąd ta decyzja – przyznaje Adam Bielan.

Dalej wersje są rozbieżne. Jolanta Turczynowicz-Kieryłło uważana jest za człowieka Jarosława Gowina, to on miał ją, zdaniem naszych informatorów, zaproponować Dudzie. To ona też przygotowywała poprawki do ustawy dyscyplinującej sędziów, które partia Gowina zgłosiła w Sejmie i próbowała przeforsować w Senacie. Ale gdy pytamy o nią polityków Porozumienia, daje się słyszeć pewien dystans.

– Gowin poznał ją kilka tygodni temu. Rzeczywiście, jest przedstawiana jako osoba ze środowiska Porozumienia, ale prawda jest taka, że osobą, która ją przyprowadziła na Nowogrodzką, był Stanisław Karczewski, a na listy do Senatu nie zgłosiło jej Porozumienie, ale Ryszard Terlecki, więc można powiedzieć, że ma szerokie znajomości – mówi nam jeden z polityków partii Gowina. Turczynowicz-Kieryłło startowała w wyborach do Senatu z list PiS w pilskim okręgu, w kampanii rzeczywiście wspierał ją ówczesny marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Ludzie dawnego „zakonu PC", stanowiący twardy trzon PiS, przekonują jednak, że motorem jej obecnej kariery są „gowinowcy".

„Sztabowcy" prezydenta Dudy, z którymi rozmawialiśmy, mówią, że mimo początkowych wpadek Jolanta Turczynowicz-Kieryłło może okazać się mocnym punktem kampanii ich kandydata. Także dlatego, że ewentualne ataki sztabowców PO na nią przez część opinii publicznej będą odbierane jako ataki mężczyzn na kobietę. Słyszymy też, że dotychczasowe badania wskazały, iż krytyczne publikacje mediów na jej temat na razie nie zaszkodziły Dudzie. Pojawia się jednak pytanie, czy emocje szefowej kampanii i jej chęć tłumaczenia przy każdym ataku, że „nie jest wielbłądem", nie przykryją kampanii. Nieoficjalnie na Nowogrodzkiej mówią, że liczą, iż szefowa kampanii po chwilowym „zachłyśnięciu" zainteresowaniem mediów mocniej włączy się w samą pracę sztabu: koordynację przygotowań, współpracę z młodzieżówką i lokalnymi strukturami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Cień Sorosa nad Trybunałem

Wojciech Wybranowski

Czołowi sędziowie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu mieli współpracować z fundacjami i organizacjami powiązanymi z George'em Sorosem – wynika z raportu Europejskiego Centrum Prawa i Sprawiedliwości

Dokument ECPiS wskazuje na domniemaną sieć powiązań, które mają oplatać Europejski Trybunał Praw Człowieka i łączyć orzekających w nim sędziów z osobą kontrowersyjnego, wpływowego miliardera George'a Sorosa. Punktem wspólnym mają być – jak wynika z opracowania – pozarządowe organizacje oficjalnie walczące o „prawa człowieka", dofinansowywane przez Sorosa i występujące w obronie „otwartego społeczeństwa" ze skargami do ETPC w Strasburgu. Według autorów raportu w takich sprawach mieli nierzadko orzekać sędziowie, którzy wcześniej uczestniczyli w organizowanych przez te organizacje szkoleniach i kursach bądź byli współpracownikami tych organizacji.

Autorem raportu jest dr Grégor Puppinck, prawnik, dyrektor Europejskiego Centrum Prawa i Sprawiedliwości, organu konsultacyjnego ONZ. Puppinck jest także ekspertem Rady Europy. Uczestniczy w pracach Komitetu Ekspertów ds. Reformy Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Jako pierwszy o tym raporcie napisał francuski konserwatywny tygodnik „Valeurs actuelles", który wskazał, że nie jest przypadkowe, iż kraje takie jak Austria czy Włochy są zmuszane do legalizacji związków homoseksualnych, zaś na Polskę wywierana jest nieustająca presja mająca na celu wymuszenie na naszych władzach legalizacji aborcji. Przytaczając raport, gazeta wskazała, że w tym celu środowiska znanego z mocno lewicowych zapatrywań Sorosa wykorzystują organizacje pozarządowe powiązane z Sorosem, a w bardzo wielu przypadkach wyrok ogłasza sędzia mający z nimi związek. Chodzi o organizacje działające pod szyldem „human rights" i „społe-

FOT. GEORG HOCHMUTH/APA/PAP

eprasa.pl a01f6cfe92

czeństwa otwartego". Według autorów dokumentu tzw. helsińskie fundacje praw człowieka działające w różnych krajach są uważane za tak bliskie sobie, że można je traktować jako całość, podobnie ma też być z innymi organizacjami pozarządowymi finansowanymi przez fundacje Sorosa – raport wymienia m.in. Amnesty International, Human Rights Watch, A.I.R.E. Interights, Helsinki Committees oraz Open Society Foundation.

Gilles-William Goldnadel, prawnik i publicysta, na łamach „Le Figaro Vox" zauważył, że Puppinck przeprowadził w 2019 r. skrupulatne dochodzenie w sprawie metod interwencji organizacji pozarządowych przed ETPC, a w szczególności w sprawie „relacji utrzymywanych między organizacjami pozarządowymi a ich sędziami". Komentator podkreślił, iż „to rygorystyczne dochodzenie, wraz z dokumentami i danymi potwierdzającymi, wyraźnie pokazuje, że ponad 20 proc. sędziów w latach 2009–2019 było byłymi współpracownikami organizacji pozarządowych silnie działających w tym sądzie oraz że ponad 10 proc. sędziów w tym samym okresie George Soros związał z siecią Fundacji Otwartego Społeczeństwa".

POLSKI WĄTEK RAPORTU

O raporcie w ubiegłym tygodniu informowaliśmy na portalu DoRzeczy.pl – jako pierwsi dotarliśmy do aneksu dokumentu Puppincka, w którym wskazano także na polskie wątki tej sprawy. Aneks przygotowało Stowarzyszenie Prawnicy dla Polski. Opisano w nim przypadek znanego polskiego sędziego prof. Lecha Garlickiego (sędziego ETPC w latach 2002–2012, byłego sędziego Trybunału Konstytucyjnego), który jako współpracownik różnych organizacji pozarządowych jednocześnie orzekał w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w sprawach, w których te organizacje występowały jako strony lub jako wspierające jedną ze stron postępowania.

Według opracowania Stowarzyszenia Prawników dla Polski sędzia Garlicki miał od 1990 r. stale współpracować z Instytutem Społeczeństwa Otwartego (Budapeszt). Miał też uczestniczyć w dwóch sprawach, w których Inicjatywa Sprawiedliwości Społeczeństwa Otwartego (OSJI) była tzw. stroną trzecią. Chodzi o postępowanie Sejdić i Finci przeciw Bośni i Hercegowinie w 2009 r. Postępowanie dotyczyło rzekomej dyskryminacji etnicznej w wyborach na prezydenta państwa. Sędzia miał także orzekać w postępowaniu Kasabova przeciw Bułgarii (postępowanie dotyczyło wolności słowa).

Autorzy aneksu twierdzą też, że sędzia Garlicki związany był z Helsińską Fundacją Praw Człowieka. Jak? Od 1990 r. brał udział w kilku programach edukacyjnych z zakresu praw człowieka, w tym: międzynarodowych i krajowych szkołach praw człowieka, organizowanych przez Helsińską Fundację Praw Człowieka, a także programie szkolenia sędziów i adwokatów. A jednocześnie zasiadał w składzie orzekającym w ośmiu sprawach, w których jedna z helsińskich organizacji pozarządowych reprezentowała stronę skarżącą. W pięciu takich przypadkach chodziło o proces przeciwko Polsce – np. w postępowaniu w 2009 r. „Lewandowski i Lewandowska" przeciwko Polsce, gdzie skarżący byli reprezentowani przez Helsińską Fundację Praw Człowieka, czy w sprawie w tym samym roku „Nowiński przeciw Polsce", gdzie skarżący również był reprezentowany przez HFPC.

W sprawach dotyczących organizacji pozarządowych orzekali w ETPC sędziowie, którzy z tymi organizacjami współpracowali

Garlicki miał również orzekać w ETPC w 11 sprawach, w których jedna z helsińskich fundacji praw człowieka była obecna w charakterze „interwenta strony trzeciej", czyli przyłączając się do procesu. Aż w 10 przypadkach na 11 tym interwentem była Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Wśród takich spraw jest m.in. postępowanie „Grzelak przeciw Polsce", a jego przedmiotem było rzekome przymuszanie do udziału w lekcjach religii i żądanie niewpisania religii/wyznania do formularzy świadectw szkolnych. Europejski Trybunał Praw Człowieka stanął wówczas na stanowisku bliskim reprezentowanemu przez helsińską fundację, uznając, że brak dostępu do lekcji etyki w polskich szkołach stanowi naruszenie wolności wyznania oraz zakazu dyskryminacji.

Kolejnym z takich postępowań według aneksu była sprawa „Mościcki przeciw Polsce". Skarga dotyczyła postępowania lustracyjnego wszczętego przeciwko skarżącemu w październiku 2006 r. Wcześniej polskie sądy prawomocnie uznały, że lustrowany – prawnik Jacek Mościcki – był tajnym i świadomym współpracownikiem organów bezpieczeństwa państwa. Skarżąc się do ETPC i mając wsparcie Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, Mościcki podnosił, że postępowanie lustracyjne było prowadzone niewłaściwie, a on sam nie miał możliwości pełnej obrony. Ostatecznie ETPC mocno skrytykował system lustracji w Polsce, przekonując, że odmowa dostępu do materiałów niejawnych utrudniła Mościckiemu udowodnienie, iż nie był tajnym, świadomym współpracownikiem komunistycznej bezpieki.

SPORO WĄTPLIWOŚCI

Zarówno raport, którego autorem jest dr Puppinck, jak i aneks do niego przygotowany przez Stowarzyszenie Prawnicy dla Polski są materiałami, które powinny wywołać burzę medialną, jednak – jak zauważono na łamach „Le Figaro Vox" – całą sprawa powiązań Sorosa i współfinansowanych przez niego fundacji, a także związków z nimi sędziów ETPC została skrupulatnie wyciszona przez najważniejsze europejskie media.

A przy okazji tej sprawy pojawiają się przecież ważne pytania o zależności członków Trybunału od instytucji sponsorowanych przez amerykańskiego miliardera, który nigdy nie ukrywał, że wspiera światopoglądową lewicową rewolucję społeczną. Inna rzecz, że dziś trudno jednoznacznie wykazać ponad wszelką wątpliwość – i raport także takich tez nie stawia – iż ewentualne powiązania osób zasiadających w danym składzie sędziowskim z „helsińskimi fundacjami" czy też innymi organizacjami sponsorowanymi przez Sorosa miały wpływ na wydawane orzeczenia przez skład wieloosobowy. Tym bardziej że przynajmniej w kilku sprawach, które zostały wskazane, orzecznictwo ETPC nie odzwierciedlało oczekiwań strony skarżącej, wspieranej przez helsińskie fundacje.

Oczywiście pozostaje podejrzenie braku bezstronności sędziów orzekających i pytanie, dlaczego nie zdecydowali się wyłączyć z udziału w postępowaniach, w których pojawiała się także organizacja pozarządowa, z którą wcześniej współpracowali.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. VSENSIETV

Zamieszanie wokół arcybiskupa Lengi

Tomasz Rowiński

Arcybiskup Jan Paweł Lenga stał się dla części środowisk w Kościele bohaterem, a dla innej części wręcz wrogiem. Podział ten nakłada się na inne – spór o to, jak polscy biskupi radzą sobie z problemami wspólnoty wierzących, oraz w ocenie pontyfikatu papieża Franciszka

Od kilku już miesięcy narastało napięcie w polskim Kościele wokół abp. Jana Pawła Lengi, emerytowanego metropolity Karagandy w Kazachstanie, rezydującego w domu swojego zgromadzenia zakonnego, czyli u księży marianów z Lichenia. Jak się wydaje, napięcie to wyszło już poza granice publicystycznych debat, bo zainterweniował biskup włocławski Wiesław Mering, na którego terenie zamieszkuje abp Lenga. Mering zakazał Lendze publicznego sprawiania liturgii, głoszenia kazań oraz występów medialnych. Wiadomo, że istnieje też list nuncjusza apostolskiego wymuszający na biskupie tę decyzję. Dokument wydany przez ordynariusza włocławskiego budzi jednak wiele kontrowersji i wątpliwości co do jego skuteczności według prawa Kościoła.

ZARZUTY WOBEC ARCYBISKUPA

Były ordynariusz z Karagandy stał się bowiem rozpoznawalny przede wszystkim z powodu krytyki, której od kilku lat poddaje polskich biskupów. W rozmowie z „Do Rzeczy" dość trafnie diagnozował sytuację Kościoła w Polsce, mówiąc: „Biskupi przez swoje związki z władzami boją się mówić prawdę. A ponieważ obawiają się mówić te różne konkretne rzeczy, które powinni mówić, to Bóg zabrał im w ogóle siłę mówienia. Biskupi w Polsce właściwie siedzą cicho w większości spraw albo wypowiadają się ezopową mową. I rzeczywiście, kiedy zacząłem się wypowiadać o sytuacji Kościoła, znacznie większe zrozumienie znalazłem u świeckich niż u biskupów".

Jeszcze większy rozgłos zyskał za sprawą krytyki papieża Franciszka i tu jego ton rzeczywiście przekroczył przynajmniej granicę stylu, której katolik nie powinien przekraczać. Na jednym z filmików dostępnym na YouTube mówił: „Bergoglio głosi nieprawdę, głosi grzech, a nie głosi tradycji, która trwała tyle lat, dwa tysiące lat, wyrzuca ją, traktuje ją, jakby jej nie było. On głosi prawdę tego świata i to jest właśnie prawda diabła". Czarę goryczy przelało nazywanie papieża heretykiem. Bez wątpienia żaden z głównych krytyków pontyfikatu Franciszka wśród hierarchów nie posługuje się takim językiem – ani kard. Raymond Burke, ani bp Athanasius Schneider, ani tym bardziej kard. Robert Sarah, człowiek o wielkiej delikatności stylu.

Jednym z poważnych zarzutów wobec arcybiskupa był ten, że w czasie odprawiania mszy św. nie wymawia on imienia papieża, ale modli się jedynie „za naszego papieża". W pierwszym odruchu moralnym może się wydawać niesprawiedliwe, że jakieś kary mają dotknąć biskupa wierzącego, bez wątpienia gorliwego, a nie

eprasa.pl a01f6cfe92

dotykają np. takich ludzi jak bp Grzegorz Kaszak z Sosnowca. Biskup Kaszak, choć jest też znany z publicznego krytykowania politycznego ruchu homoseksualnego, jednocześnie ma na koncie znacznie głośniejsze publiczne wystąpienie. Chodzi o obronę rektora jego własnego seminarium diecezjalnego. Rektor ten w czasie wizyty w klubie dla homoseksualistów pochwalił się, czym się zajmuje, i sprawa szybko znalazła się w mediach. Seminarium decyzją Stolicy Apostolskiej rozwiązano, ale biskup, który nie może się chyba zdecydować, czy popierać publicznie homoseksualistów, czy ich ganić, trwa na stanowisku.

To zrozumiałe, że gniew społeczny ogniskuje się na księżach i biskupach niewierzących, prowadzących rozwiązły czy nieumiarkowany styl życia. Jednak dla wspólnoty Kościoła pomijanie imienia papieża w modlitwie mszy św. jest poważnym naruszeniem jedności katolickiej. Nawet przez lata uważani, szczególnie w Polsce, za wyklętych kapłani Bractwa św. Piusa X (tzw. lefebryści) w czasach najtrudniejszych relacji z Rzymem obowiązku wypowiadania imienia papieża w czasie liturgii dochowywali. Było dla nich oczywiste, że uznawanie papieża jest fundamentalnym warunkiem pozostawania, w choćby osłabionej, ale jednak, jedności katolickiej. Zatem samo pojawienie się jakiejś reakcji Kościoła na tę aktywność abp. Lengi nie może dziwić. Dziwi jednak sposób, w jaki się ona pojawiła.

WĄTPLIWOŚCI

Na co dzień abp Lenga mieszka na terenie diecezji, w której – o ile wiadomo – nie odprawia publicznie mszy (lecz jedynie prywatnie w swoim pokoju), nie głosi też kazań. A jednak dostał taki właśnie zakaz – dotyczący publicznych celebracji i głoszenia. Czy jednak ten dokument jest chociaż w teorii skuteczny? Owszem, biskup włocławski jest ordynariuszem swojej diecezji i może decydować o tego typu ograniczeniach na własnym terenie. Tylko że wobec braku aktywności abp. Lengi w diecezji bp. Meringa ten zakaz wydaje się całkiem martwy. Tym bardziej martwy jest zapis o zakazie medialnym, ponieważ mógłby on dotyczyć jedynie jakichś lokalnych mediów włocławskich.

Jest jednak jeszcze większy problem z decyzją, która fałszywie przez różne media katolickie została ogłoszona tak, jakby miała obowiązywać w całej Polsce. Arcybiskup Lenga nie jest w ogóle częścią polskiego Kościoła. Co więcej, jako arcybiskup zakonny nie podlega biskupowi miejscowemu, ale bezpośrednio papieżowi. Do tego dochodzi niejasny status dokumentu, który wyszedł od nuncjusza apostolskiego w Polsce, polecający biskupowi włocławskiemu interwencję. Nie dziwi więc wcale, że pomimo oczywistych kwestii, które abp Lenga powinien wyjaśnić z Rzymem, krytykowano sposób działania Kościoła w tej sprawie. Trudno nie postawić pytania, czy nie doszło do nadużycia władzy na linii Stolica Apostolska – nuncjatura – biskup włocławski. Można tę sytuację próbować rozumieć rozmaicie, np. tak, że Watykan – jak uważa Tomasz P. Terlikowski – nie chciał w tej sprawie angażować swojego autorytetu i celowo zadziałał ostrzegawczo w sposób faktycznie nieformalny. Formalna byłaby interwencja odpowiedniej dykasterii, wezwanie arcybiskupa do wyjaśnień, co też nie powinno nikogo dziwić wobec naruszeń prawa kościelnego, których się dopuszczał.

ZAKAZ Z WATYKANU?

To, że sprawa jest niejasna, potwierdzają także publicyści, którzy wcześniej wprost i dość ostro krytykowali abp. Lengę, choćby Tomasz Krzyżak z „Rzeczpospolitej". Znajduje tylko jedno rozwiązanie tej nietypowej sytuacji, z którą mamy do czynienia, będące jednak jedynie domysłem: „[...] wszystko wskazuje na to, iż arcybiskup ma od dawna zakaz publicznego sprawowania posługi [od Stolicy Apostolskiej – przyp. T.R.], tyle tylko, że nagminnie go łamie".

A jednak tym słowom zaprzecza sam abp Lenga w swoim komentarzu do wydarzeń z ostatnich dni dotyczących jego osoby. W telewizji internetowej wRealu24.pl zapewnił, że nie ciążą na nim żadne kary kościelne ani ograniczenia ze strony papieża. Lenga zdaje się raczej sugerować, że to jego własne zgromadzenie w porozumieniu z kurią od dawna ogranicza jego aktywność, np. przez odsunięcie go od głoszenia. W swojej odpowiedzi bp. Meringowi zaprzeczył także informacjom, jakoby nie wymieniał imienia papieża w czasie odprawiania prywatnych mszy św., choć nie precyzuje, jakie jest to imię – czy Franciszka, czy może Benedykta XVI. „Bez Stolicy Apostolskiej, bez ich konkretnych decyzji, nie ma co z nim [nuncjuszem apostolskim w Polsce – przyp. T.R.] rozmawiać" – dodał. Wyraził także opinię, że zarówno Episkopat Polski, jak i nuncjusz apostolski w Polsce nie mają nad nim władzy. Na YouTube można jednak znaleźć nagranie, na którym abp Lenga faktycznie, w czasie mszy odprawianej publicznie, modli się tylko „za naszego papieża" bez podawania imienia. Czy to pojedynczy przypadek, czy jednak arcybiskup chce nieco zamaskować swoje wątpliwe postępowanie?

Domniemanie o tajnych zakazach dla Lengi Tomasz Krzyżak – jak się zdaje – powtarza za obszernym artykułem Zbigniewa Nosowskiego, redaktora naczelnego „Więzi", który dał sygnał do rozprawy z karagandzkim biskupem emerytem. Te domysły można uznać za „naturalne" o tyle, że nie jest znany powód emerytowania Jana Pawła Lengi i opuszczenia przez niego Kazachstanu. Jest oczywiste, że tajemnice rozbudzają fantazję. Tekst Nosowskiego zatytułowany „»Nie papież, a Bergoglio«. Abp Lenga o Franciszku" autor kończy takim oto akapitem, którego nie powstydziłby się napisać jakiś integrysta: „Niniejszy artykuł został również przekazany do nuncjatury apostolskiej w Warszawie, wraz z prośbą o wyjaśnienie statusu kanonicznego i przyszłości biskupa rzymskokatolickiego, który w liturgii nie wymienia imienia urzędującego papieża i publicznie twierdzi, że uważa obecnego biskupa Rzymu za uzurpatora i heretyka". Czy redaktor „Więzi" sam wpadł na pomysł, by taki tekst napisać w trosce o Kościół, czy może został zainspirowany przez kogoś z episkopatu? Tego nie wiemy, ale taki inkwizytorski tekst nie pasuje do stylu medium Zbigniewa Nosowskiego.

Pozostaje na końcu pytanie, czy bp Lenga w swoich sądach o papieżu nie jest ofiarą publicystów, którzy zdobywają popularność, rozsiewając fałszywe pogłoski, jakoby kwestia ważności wyboru papieża Franciszka mogła być wątpliwa. Wydaje się zatem możliwa sytuacja, że abp Lenga po prostu popełnia błąd rozpoznania osoby papieża, co nie w każdej sytuacji oznacza zerwanie więzi kościelnej, np. św. Wincenty Ferreriusz był spowiednikiem antypapieża de Luny – choć sytuacja była inna, dziś nikt nie uzurpuje sobie realnie godności papieskiej zamiast Franciszka. Sprawa abp. Lengi powinna być rzeczywiście zbadana przez odpowiednie watykańskie organy, co miałoby o wiele więcej sensu niż dezorientujące wszystkich zakulisowe i nieskuteczne zakazy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Starość u siebie

Blanka Aleksowska

Polskie społeczeństwo coraz szybciej się starzeje. Brakuje opiekunek i miejsc w gminnych domach pomocy społecznej. Eksperci radzą rozwijać ten rodzaj opieki, który najbardziej cenią ludzie starsi: w ich własnych domach

Szybkie starzenie się społeczeństwa staje się dla Polski coraz większym wyzwaniem cywilizacyjnym. Prognozy demograficzne pokazują, że odsetek ludzi starszych – przyjmując za dolną granicę wieku 60 lat – wciąż wzrasta. Według prognoz m.in. Głównego Urzędu Statystycznego do 2050 r. znacznie zmniejszy się liczba dzieci i osób dorosłych w wieku od 15 do 59. roku życia, a liczba osób w wieku min. 60 lat zwiększy się o 19 pkt. proc. Udział osób starszych w polskim społeczeństwie będzie stanowił w 2050 r. już 40,4 proc. (13,7 mln).

Część państw Europy Zachodniej, które też borykają się z problemami starzejących się społeczeństw, zdążyła w ciągu ostatnich dekad ukształtować systemy opieki senioralnej, by jak najskuteczniej zaspokajać potrzeby osób starszych. Ich podstawy w poszczególnych krajach zdają się bardzo podobne.

Polski rynek usług opiekuńczych jest dziś niezwykle zróżnicowany pod względem ich dostępności oraz jakości. Dotyczy to zarówno sektora prywatnego, jak i państwowego. W teorii instytucje i instrumenty opieki nad seniorami w ramach obu tych sektorów są podobne.

NA BARKACH RODZINY

Opieka domowa przyznawana w ramach pomocy społecznej może być świadczona przez opiekunów o różnych kwalifikacjach. Zakres ich obowiązków zależy od tego, czy zdecydujemy się na usługi opiekuńcze zwykłe czy specjalistyczne. Podobnie jest w przypadku dziennych domów pomocy społecznej oraz całodobowych placówek. Niezależnie od tego, czy wybierzemy opiekę domową, czy świadczoną w domu opieki, końcową decyzję o przyznaniu usługi wydaje gmina. Konieczne są wywiad środowiskowy i szczegółowa weryfikacja potrzeb, a w przypadku specjalistycznych usług opiekuńczych – także zaświadczenie lekarskie.

W praktyce jednak większość seniorów od lat otrzymuje opiekę jedynie ze strony najbliższych. Wynika to m.in. z faktu, że problem starzejącego się społeczeństwa zaczyna być dopiero zauważany, a przez dekady wachlarz usług opiekuńczych poszerzał się w Polsce bardzo powoli.

– Legalny rynek opieki nad seniorami jest dość słabo rozwinięty. Ma to związek z niskim poziomem dochodów odbiorców tych usług. Część osób starszych i ich bliskich ledwie stać na zaspokojenie podstawowych potrzeb, nie mówiąc już o usługach opiekuńczych. To też sprawia, że często wybierane są usługi z szarej strefy, które są tańsze, gdyż osoby je wykonujące nie podlegają składkom ani podatkom, a ich praca nie jest poddana kontroli standardów – mówi „Do Rzeczy”

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. ADOBE STOCK

dr Rafał Bakalarczyk, socjolog i ekspert ds. polityki senioralnej.

Opiekować się starszymi muszą często członkowie rodziny. Nawet gdy są sławni i zamożni. O chorych rodziców troszczą się np. piosenkarka Justyna Steczkowska i aktor Mariusz Czajka.

Specjaliści są zgodni – państwo nie wspiera wystarczająco opieki sprawowanej przez rodzinę ani opieki domowej (środowiskowej) w ogóle. Ich zdaniem to właśnie na tę formę pomocy – świadczonej w domu seniora, w bliskim mu otoczeniu – państwo powinno kłaść największy nacisk.

NIE MA JAK U SIEBIE

Niepokojącą diagnozą dotyczącą opieki domowej w Polsce był raport Najwyższej Izby Kontroli z lipca 2018 r. Według ustaleń kontrolerów prawie 20 proc. gmin nie zapewnia osobom starszym opieki w miejscu zamieszkania, mimo że jest to ich ustawowy obowiązek. Chociaż z roku na rok rośnie liczba osób korzystających z opieki domowej, to wciąż jest to kropla w morzu potrzeb seniorów. „W 2016 roku opieką domową w skali kraju objęto nieco ponad 1 proc. populacji powyżej 60. roku życia" – czytamy w raporcie NIK.

Tymczasem usługi opiekuńcze świadczone w miejscu zamieszkania seniora są opcją najtańszą dla samorządów. Jak zgodnie wskazują eksperci, to właśnie tę formę powinniśmy wspierać najmocniej.

– Wiele badań przeprowadzanych w krajach zachodnich pokazuje, że seniorzy chcą spędzić ostatnie lata życia w swoim domu, a nie w domu opieki. Dotyczy to także seniorów w luksusowych domach opieki, np. w Szwajcarii, gdzie te standardy są naprawdę o wiele wyższe niż w Polsce – tłumaczy Tomasz Piłat, ekspert Akademii Opiekunów. W jego ocenie poprawa dostępności do opieki domowej jest konieczna.

– W Polsce obserwujemy niewłaściwy trend polegający na tym, że chętnie budujemy duże ośrodki i domy opieki, podczas gdy na Zachodzie ten system skupia się na wsparciu środowiskowym, czyli takim, by seniorzy mogli jak najdłużej przebywać w swoim miejscu zamieszkania, ale otoczeni wsparciem wspólnoty lokalnej, czyli gminy – mówi „Do Rzeczy" dr hab. Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich. – W Polsce tworzy nam się taka mozaika: mamy miejsca, gdzie to wsparcie ze strony władz lokalnych jest rozwijane, gminy, które radzą sobie ze środowiskową opieką nad seniorami; oraz gminy, które ograniczają się do budowy nowych DPS – dodaje.

Eksperci, z którymi rozmawiamy, zaznaczają, że kraje wysokorozwinięte koncentrują się na opiece domowej sprawowanej przez wyspecjalizowanych opiekunów, ale również rodzinę. Nasi rozmówcy zgodnie podkreślają ogromne znaczenie opieki wytchnieniowej, która polega na wspieraniu i edukowaniu samych opiekunów rodzinnych.

– W ostatnich dekadach w Szwecji dość mocno naciska się na gminy, by wykorzystywały potencjał osób najbliższych w opiece nad seniorem. Służą temu różne formy opieki wytchnieniowej, poradnictwa, szkoleń, wsparcia psychologicznego czy spotkań z innymi opiekunami i specjalistami. Dzięki temu opiekunowie nawzajem się szkolą i wspierają w tym, by jak najlepiej opiekować się seniorem. Tutaj polska polityka senioralna w obliczu utraty samodzielności przez osoby starsze bardzo szwankuje – ocenia dr Bakalarczyk.

Rozwojowi opieki domowej nie służą także bardzo niskie zasiłki pielęgnacyjne ani dość restrykcyjne kryteria, po których spełnieniu są one przyznawane. W ostatnich miesiącach zasiłek ten wynosi 620 zł brutto. Jak tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Piotr Błędowski z Polskiego Towarzystwa Gerontologicznego, zachodnie systemy opieki opierają się na odpowiednim finansowaniu. Jako przykład podaje Niemcy, gdzie można wybrać opcję opieki „mieszanej". W jej ramach część pieczy nad seniorem sprawują opiekuni formalni, profesjonalni, a część rodzina. – W systemie tym podopieczni mogą otrzymać na to zasiłek, z którego opłacane są te profesjonalne usługi. To jest rozwiązanie, które moim zdaniem warto w Polsce wprowadzić. Tymczasem my

eprasa.pl a01f6cfe92

bardzo boimy się dać podopiecznym pieniądze do ręki – wytyka prof. Błędowski.

Niektóre bolączki systemu są wspólne dla Polski i innych krajów. To brak kadr. Nad Wisłą główną barierą są niskie płace. Wykształceni opiekunowie emigrują tam, gdzie zarobki są znacznie wyższe. A to z kolei generuje rozrost szarej strefy, z którą państwu trudno walczyć. – Jest tolerowana, bo gdyby jej nie było, bardzo wiele osób pozostałoby w tej chwili bez żadnej opieki – uważa prof. Błędowski.

– Kiedyś jako Akademia Opiekunów badaliśmy, ilu opiekunów trzeba by dodatkowo zatrudnić do opieki domowej w Polsce, by zapewnić pomoc tylko tym osobom, które absolutnie koniecznie wymagają teraz tego typu usług i nie mogą liczyć na miejsce w DPS. Oszacowaliśmy wtedy, że ok. 20 tys. osób powyżej 80. roku życia pozostaje bez potrzebnej im opieki. Nie braliśmy tu pod uwagę osób młodszych niż 80 lat – opowiada Tomasz Piłat.

Brak kadr w systemie opieki to też poważny problem Niemców. Nie ustają w wysiłkach, by zachęcić do przyjazdu do tego kraju jak największą liczbę opiekunów z zagranicy. I nie kończą na imigrantach ze wschodniej i z południowej Europy – jak donosił we wrześniu ubiegłego roku portal Deutsche Welle, niemiecki minister zdrowia Jens Spahn osobiście udał się aż do Meksyku, aby przekonywać tamtejszy personel medyczny do przeprowadzki do Niemiec i podjęcia opieki nad osobami starszymi. Spahn obiecał jednocześnie chętnym lekarzom i pielęgniarzom przyspieszenie procedury wizowej.

DOMY I KLUBY

Brak kadr, niskie zasiłki i słabe wsparcie państwa – to skłania seniorów i ich rodziny do poszukiwania placówek opiekuńczych. Jednak wybór miejsca na całodobowy pobyt – czy to prywatnego, czy gminnego – jest najczęściej ostatecznością. – Jednym z rozwiązań jest opieka półstacjonarna, czyli domy dziennego pobytu. Dostępność tej usługi zależy jednak od tego, gdzie osoba starsza mieszka. Takie ośrodki są w Polsce rozmieszczone bardzo nierównomiernie i jest wiele gmin, a nawet powiatów, gdzie nie ma ani jednej takiej placówki – mówi „Do Rzeczy" prof. Błędowski z Polskiego Towarzystwa Gerontologicznego. – Ostatnie edycje programów „Senior+" i „Opieka 75+" poprawiły dostępność domów dziennego pobytu. Gminy zyskały dofinansowanie na świadczenia pomocy środowiskowej. Dotyczy to gmin poniżej 60 tys. mieszkańców. Znalazły się też pieniądze na nowe kluby dla seniorów. Jednak nadal nie w każdej gminie są takie kluby, a poza tym nie zawsze mamy też możliwość dowiezienia tam osoby starszej – dodaje gerontolog.

Placówki opiekuńcze mają różny standard opieki. Dotyczy to zwłaszcza domów prywatnych, które zazwyczaj nie są właściwie kontrolowane. Wysokie standardy gwarantują głównie te najbardziej luksusowe i drogie zakłady. Za miejsce w pokoju jednoosobowym trzeba tam płacić przynajmniej ok. 4 tys. zł, w pokoju dwu- lub trzyosobowym – min. ok. 3,2 tys. zł miesięcznie. Najdroższe domy opieki są ulokowane w dużych miastach, takich jak Warszawa i Szczecin. Tymczasem w 2020 r. średnia emerytura w Polsce ma wynieść 2423 zł brutto.

To powoduje, że seniorzy trafiają też do ośrodków o niskich standardach opieki, gdzie mogą być narażeni na niewłaściwe traktowanie. Tomasz Piłat wskazuje, że w gminnych domach najczęściej brakuje wolnych miejsc. – Jesteśmy w takim momencie, że dopiero zaczynamy zauważać problem starzejącego się społeczeństwa. Nasze domy pomocy społecznej nie są przygotowane na to, by przyjmować coraz więcej osób – zaznacza. W przypadku wyboru placówki gminnej senior płaci za miejsce maksymalnie 70 proc. swojego dochodu. Resztę pokrywa gmina.

Specjaliści nie mają złudzeń – bez pieniędzy na taki system opieki nie uda się niczego poprawić. – Niemcy mają mnóstwo rozwiązań dotyczących opieki senioralnej, ale przede wszystkim zapewnili tym rozwiązaniom finansowanie. Poza składką zdrowotną Niemcy płacą dodatkową, obowiązkową składkę ubezpieczającą ich na okoliczność, w której będą potrzebowali opieki. Z tych funduszy są później finansowane różnego rodzaju formy opieki, którymi dysponuje państwo niemieckie – opisuje Piłat.

SPÓR O PIENIĄDZE

Doktor Rafał Bakalarczyk przypomina, że w ostatnim czasie rząd wprowadził i rozszerzył programy mające zwiększyć dostępność usług opiekuńczych. – Programy te to np. „Opieka 75+" czy program finansowania usług opiekuńczych z Solidarnościowego Funduszu Wsparcia Osób Niepełnosprawnych, z którego korzystać mogą osoby niepełnosprawne przed 75. rokiem życia, a więc także te starsze w pierwszej fazie starości, o ile towarzyszy im niepełnosprawność. Te programy mogły przyczynić się do rozwoju usług zwłaszcza w tych małych gminach, czyli tam, gdzie te luki w zapewnieniu wsparcia seniorom są największe – tłumaczy.

To programy dla gmin, bo to ich obowiązkiem jest zapewnienie opieki osobom starszym. Mimo to część ekspertów jest zdania, że samorządy wciąż nie mają odpowiednich środków. Profesor Piotr Błędowski ocenia, że gmin nie stać na zapewnienie opieki m.in. przez reformę edukacji i zmiany w podatku PIT. – Funkcjonowanie programu „Opieka 75+" będzie zależało od polityki finansowej rządu. Jeśli nie będzie wspierał dostatecznie gmin, by mogły one wprowadzać trwałe rozwiązania w zakresie tej pomocy półinstytucjonalnej, to gminy będą miały problem z tym, żeby się zaangażować w organizację tego rodzaju usług – przekonuje gerontolog. – Po ostatnich zmianach w udziale samorządów w dochodach z podatków gminy będą w mniejszym stopniu zainteresowane tworzeniem takich usług, bo będą w mniejszym stopniu zdolne do tego finansowo, gdy już zakończy się ten etap finansowania z budżetu państwa.

Rząd uważa jednak, że zapewnienie usług opiekuńczych seniorom to obowiązek gmin. Jak podkreśla Joanna Borowiak, posłanka PiS i przewodnicząca sejmowej Komisji Polityki Senioralnej, wiele samorządów wywiązuje się z tego zadania. – Program „Opieka 75+" został przygotowany właśnie z myślą o wsparciu samorządów i ma zachęcić do wywiązywania się z realizacji tych zadań. Na realizację programu zaplanowano ponad 57 mln zł. To duża pomoc finansowa dla gmin przy założeniu, że organizowanie i świadczenie usług opiekuńczych, w tym usług specjalistycznych, jest ich obowiązkiem. Należy zaznaczyć, że wiele gmin realizuje ten obowiązek bez zarzutu, a ponadto korzysta dodatkowo z rządowych programów dedykowanych seniorom, które mają ich aktywizować oraz integrować także międzypokoleniowo – mówi Borowiak. Dodaje, że niepokoi ją to, iż część gmin nie angażuje się w zapewnienie opieki osobom niesamodzielnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl a01f6cfe92

Zarażeni paniką

Agnieszka Niewińska

Tajemniczy wirus z Wuhan jest w mediach tematem numer jeden. W sieci kwitnie handel maseczkami, które rzekomo mają nas przed nim uchronić. Tymczasem śmiertelne żniwo zbiera u nas grypa. I to bez rozgłosu

Na portalach aukcyjnych i w sklepach internetowych ruch. Bombardowani obrazkami Chińczyków, a teraz także Włochów przemierzających ulice w maskach ochronnych też chcemy się zabezpieczyć. Chociaż do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nie stwierdzono przypadku koronawirusa w Polsce, to i tak oferty różnego rodzaju masek ochronnych idą w setki.

Sprzedawcy w opisie produktów się nie rozdrabniają. Deklarują, że ich maska zabezpieczy nas przed koronawirusem w – bagatela – 99,9 proc. Nawet te, które jeszcze kilka dni temu zabezpieczały przed smogiem, dziś mają nową funkcję – chronią przed wirusem z Wuhan. Ci, którzy chcą się jeszcze lepiej odgrodzić od wszelkiej maści drobnoustrojów, mogą zakupić nawet „kombinezon biologiczny". Ceny oscylują w granicach 200 zł.

Ludzie z żyłką do interesów zawczasu zarezerwowali domeny internetowe zawierające słowa „maseczka" i „koronawirus". Odkupienie takiego adresu słono kosztuje. Jeden ze sprzedawców proponuje nam domenę za 15 tys. zł netto. – Wiemy, jak ceny masek idą w górę. Byłaby pani w stanie to odzyskać w dwa tygodnie na ich sprzedaży – przewiduje.

DOMOWA KWARANTANNA

Interes się rozkręca dzięki panice. O ile informacjom o rosnącej liczbie infekcji w krajach azjatyckich przyglądaliśmy się z większą rezerwą, o tyle doniesienia z Włoch, gdzie w krótkim czasie wirusem z Wuhan zaraziło się ponad 500

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. ADOBE STOCK

Gospodarczy stan podgorączkowy

- 92 proc. – o tyle spadła przez pierwsze dwa tygodnie lutego sprzedaż nowych aut w Chinach. W najgorszym dniu sprzedano tam zaledwie 811 aut. Te liczby najlepiej pokazują, jak bardzo koronawirus sparaliżował drugą największą gospodarkę świata (w zeszłym roku w Chinach sprzedano w sumie 21 mln aut, czyli średnio 58 tys. dziennie).
- „Praktycznie nikogo nie było w salonach dilerskich przez pierwszy tydzień lutego. Większość ludzi siedzi w domach" – powiedział Cui Dongshu z Chińskiego Stowarzyszenia Sprzedawców Aut Osobowych. Ci desperacko próbują jednak znaleźć odpowiedź na skutki epidemii. Chiński gigant motoryzacyjny Geely stworzył właśnie możliwość „bezdotykowego" kupowania aut z dostawą do domu.
- Prezydent Xi Jinping otwarcie przyznał, że wirus będzie miał „względnie duży wpływ na gospodarkę i społeczeństwo", ale równocześnie chińskie władze przekonują, że w kolejnych kwartałach uda im się nadrobić straty i osiągną zakładany wzrost PKB na poziomie 6 proc. Jednak zdaniem zachodnich ekspertów utrzymanie tych założeń będzie bardzo trudne. Bank inwestycyjny Morgan Stanley szacuje, że w pierwszej połowie lutego produkcja w Chinach spadła o 50–70 proc. i w najbardziej optymistycznym scenariuszu wróci do normy dopiero pod koniec marca.
- Zastój w Chinach i przeniesienie się ognisk wirusa do kolejnych wielkich gospodarek oznacza kłopoty na skalę globalną. „Spadek [tempa wzrostu – przyp. red.] będzie oscylował – mamy nadzieję – w granicach 0,1–0,2 proc." – powiedziała w połowie lutego Kristalina Georgiewa, dyrektor zarządzająca MFW. Szacunki te opierają się na założeniu, że w drugim kwartale koronowirusa uda się opanować. „Ale analizujemy też bardziej niepokojące scenariusze, gdyby wirus rozprzestrzeniał się w dłuższym okresie i na większym obszarze" – powiedziała Georgiewa.
- Złe nastroje gospodarcze wpłynęły w końcu w zeszłym tygodniu na sytuację na najważniejszych giełdach. Amerykański indeks S&P 500 zanotował 6-procentowy spadek, podobnie zachowały się europejskie parkiety, w tym warszawski. Były to najpoważniejsze spadki od czerwca 2016 r., gdy Brytyjczycy zagłosowali za brexitem.
- Największe korporacje boją się przede wszystkim zakłóceń światowej sieci dostaw. W związku z kłopotami w Chinach kolejni giganci rewidują swoje przewidywania. Microsoft ostrzegł w zeszłą środę swoich akcjonariuszy, że może mieć problem z osiągnięciem założeń sprzedażowych. „Łańcuch dostaw wraca do swojej sprawności wolniej od przewidywań". Również Apple, który przyzwyczaił wszystkich do bicia kolejnych rekordów sprzedaży, przygotowuje się na gorsze wyniki finansowe.
- Wszystko to sprawia, że inwestorzy coraz chętniej spoglądają na inwestowanie w pewniejsze instrumenty, takie jak choćby amerykańskie obligacje skarbowe (ich oprocentowanie spada w związku z większym zainteresowaniem). Jak zawsze w takich sytuacjach złoto zyskuje na wartości. Kruszec ten jest obecnie najdroższy od siedmiu lat. Tylko w lutym zdrożał o 5 proc. Z drugiej strony spada cena ropy naftowej. Ropa brent w ciągu zeszłego tygodnia staniała z 59 dol. do 52 dol.

osób, a 14 zmarło, wzbudziły nad Wisłą niemały niepokój.

Włochy to popularny kierunek podróży, w dodatku w okresie zimowych ferii nie brakowało tych, którzy zdecydowali się na narciarskie eskapady we włoskie Alpy. W efekcie wirus, który w Italii dotknął kilkaset osób, stał się w Polsce tematem numer jeden. Gazety w ostatnich dniach poświęcały mu dużą część swoich wydań. Portale internetowe zamieszczały aktualizowane co kilka minut relacje o sytuacji w związku z koronawirusem. Sieć obiegły materiały z nieco komicznymi nagłówkami: „Na oddział zakaźny w Jaśle trafił mężczyzna, który miał kontakt z Chińczykami!".

– Jak się rodzi panika? Zawsze zaczyna się od lęku o to, co dla nas najważniejsze: życie, zdrowie, a także finanse. Towarzyszą jej silne emocje, podsycają ją opinie innych osób, plotki – mówi psycholog dr Anna Siudem. I dodaje: – Paniką można się zarazić. Wie o tym każdy, kto organizuje imprezy masowe. Wystarczy, że jedna osoba w tłumie krzyknie: „Pożar". Inni nie będą weryfikować tej informacji, tylko rzucą się do ucieczki. Podobnie jest z koronawirusem. Nie ma tu racjonalnego podejścia do sprawy, analizy przyczyn i skutków, tylko myślenie na skróty. Emocje zastępują sprawdzanie danych i słuchanie ekspertów.

4 PROC. ZASZCZEPIONYCH

Szkoły i rodzice z nieufnością przyglądają się dzieciom, które w ferie szusowały we Włoszech, a teraz zasiadły w szkolnych ławkach wśród kolegów. Kilka prywatnych placówek zdecydowało się nawet na mierzenie uczniom

eprasa.pl a01f6cfe92

temperatury. W ubiegłą środę zamknięty został zespół szkolno-przedszkolny we wsi Mazańcowice w gminie Jasienica pod Bielskiem-Białą. Wójt zadziałał, bo nauczycielka, która po powrocie z Rzymu wróciła do pracy z dziećmi, gorzej się poczuła. Trafiła do szpitala w Chorzowie z podejrzeniem koronawirusa, ale pierwsze informacje dochodzące ze szpitala były pozytywne.

Medialne koncerny, takie jak Agora, TVN Discovery Polska, Ringier Axel Springer, PMPG Polskie Media, wysłały do pracowników informacje, by ci z nich, którzy przebywali w rejonach występowania epidemii, zafundowali sobie dwutygodniową domową kwarantannę i nie przychodzili do redakcji.

Internauci ostrzegają się już jednak nawet przed wizytami w aptekach. W mediach społecznościowych nie brakuje opinii, że to one przyczynią się do rozprzestrzenienia się wirusa, bo skłonni do samoleczenia Polacy z koronawirusem będą próbować wyleczyć się na własną rękę reklamowanymi w telewizji preparatami na przeziębienie.

– Panika może być groźniejsza od wirusa i nigdy nie jest uzasadniona – zapewnia Jan Bondar, rzecznik GIS. Zamiast się bać, postępujmy według reguł. Na stronie GIS można znaleźć nasze zalecenia. Przygotowali je fachowcy, wirusolodzy, specjaliści w tym obszarze. Stosujmy się do tych zaleceń, a pozwoli to uniknąć niepotrzebnych emocji – dodaje.

GIS nie zaleca podróży do Chin, Korei Południowej, Włoch (do regionu Lombardia, Wenecja Euganejska, Piemont, Emilia Romania) oraz Iranu, Japonii, Tajlandii, Wietnamu, Singapuru i Tajwanu. Osobom, które jednak podróżują po tych krajach, odradza przebywanie w zatłoczonych miejscach publicznych, kontakty z chorymi czy odwiedzanie targów ze zwierzętami. Zaleca za to przestrzeganie zasad higieny, częste i dokładne mycie rąk wraz z nadgarstkami, korzystanie z produktów spożywczych i wody pochodzących z pewnego źródła.

Powracający z krajów, w których rozprzestrzenił się nowy koronawirus, powinni zwracać uwagę na stan zdrowia w ciągu 14 dni od powrotu. Gorączka, kaszel, duszności i problemy z oddychaniem to objawy, z którymi trzeba bezzwłocznie zgłosić się do stacji sanitarno-epidemiologicznej. – Nie ma powodu, żeby badaniom poddawały się osoby, które wróciły z rejonów dotknię-

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS.

Turystyka na łopatkach

- Olbrzymie straty w związku z rozwojem epidemii 2019-nCoV notuje branża turystyczna i lotnicza. IATA, Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych, szacuje, że sektor ten z powodu koronawirusa straci w 2020 r. 29 mld dol. Zdecydowana większość tej sumy ma przypaść na firmy lotnicze z regionu Azji i Pacyfiku – 27,8 mld dol. (ok. połowy dotyczy samych Chin). IATA szacuje, że w tym roku po raz pierwszy od ponad dekady dojdzie do spadku liczby przewiezionych pasażerów.
- Fatalnie wyglądająca w mediach kwarantanna pasażerów i załogi statku „Diamond Princess" sprawiła, że branża luksusowych rejsów przeżywa prawdziwą zapaść. Dość powiedzieć, że wycena akcji dwóch gigantów w tym sektorze – Royal Caribbean i Carnival – spadła w ciągu ostatniego miesiąca o ok. 30 proc.
- Chińczycy należą do ulubionych klientów firm z branży turystycznej (w 2018 r. wydali oni na podróże zagraniczne 277 mld dol.), więc obserwowany obecnie dramatyczny spadek liczby turystów z Państwa Środka oznacza olbrzymie kłopoty dla wielu państw, które do tej pory zarabiały na nich krocie. Jednym z nich jest Francja. Tamtejszy minister finansów przyznał w zeszłym tygodniu, że liczba turystów odwiedzających jego ojczyznę spadła w ostatnim czasie o 30–40 proc.

FOT. BLOOMBERG

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. BLOOMBERG

tych epidemią, ale nie mają żadnych niepokojących objawów. Listę zagrożonych obszarów stale uaktualniamy – mówi rzecznik GIS.

Ministerstwo uruchomiło w ubiegłym tygodniu specjalną infolinię o koronawirusie dla osób powracających z zagrożonych terenów. Informacji można zasięgnąć pod numerem 800 190 590.

Od pojawienia się nowego koronawirusa z Wuhan zaraziło się nim nieco ponad 82,5 tys. osób (blisko 78,5 tys. w Chinach). Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" potwierdzono 2814 zgonów. Przerażeni nowym wirusem tracimy jednak z oczu fakt, że w Polsce tylko w styczniu na grypę zmarło 15 osób. Od początku sezonu grypowego – aż 28 osób. – A liczba ta może być zaniżona, bo grypa prowadzi do powikłań, które stają się bezpośrednią przyczyną śmierci. Od 1 stycznia u lekarzy zjawiło się aż milion pacjentów zarażonych grypą lub innymi wirusami. Dziennie prawie 300 osób trafia do szpitali z zapaleniem płuc. W tej chwili większym problemem niż koronawirus jest dla nas grypa, ale tym wirusem niespecjalnie się przejmujemy – wskazuje Jan Bondar.

Wystarczy sięgnąć do internetowego narzędzia Google Trends. Na przestrzeni ostatniego miesiąca 10 razy częściej wpisywaliśmy w wyszukiwarki słowo „koronawirus" niż „grypa". – To jednak co innego. Na koronawirusa nie ma szczepionki. To nowy wirus, nie wiadomo, jak go leczyć – tłumaczy swoje obawy Alicja, pracownica jednej z warszawskich korporacji, która rozważa odwołanie wypadu na narty we włoskie Dolomity.

Na grypę możemy się zaszczepić, a mimo to w minionym roku skorzystało z tego zaledwie 4,11 proc. Polaków. – Wśród osób starszych powyżej 65. roku życia ten odsetek jest wyższy i wynosi ponad 14 proc., ale ten wynik i tak znacznie odbiega od wytycznych WHO, które rekomenduje, by 75 proc. osób starszych szczepiło się przeciw grypie. Zaszczepione powinny być także dzieci, kobiety w ciąży i osoby przewlekle chore, np. diabetycy – mówi Katarzyna Mąkólska z Ogólnopolskiego Programu Zwalczania Grypy. Zaznacza, że szczepienia trzeba powtarzać każdego roku, bo wirus mutuje i trzeba dostosować do niego szczepionkę. W ubiegłorocznym sezonie grypowym z powodu grypy zmarło w Polsce 150 osób.

Doktor Anna Siudem tłumaczy, że grypa jest często spotykana w naszym otoczeniu, dlatego tak się jej nie obawiamy. – Koronawirus to nowe zagrożenie, a niepokój w nas budzi przede wszystkim to, co nieznane. Żeby przeciwdziałać panice związanej z nowym wirusem, musimy tonować emocje, przedstawiać fakty, pokazywać dane statystyczne. Porównajmy liczbę zachorowań na koronawirusa z zachorowaniami na grypę. Pokażmy skalę, mówmy o prawdopodobieństwie zachorowania i słuchajmy ekspertów – radzi psycholog.

Czy uda się zatrzymać koronawirusa?

- O ile Światowa Organizacja Zdrowia wciąż ocenia, że istnieje szansa na powstrzymanie wirusa, o tyle nie brak naukowców, którzy twierdzą, iż musimy przyzwyczaić się do życia z tym problemem.
- „Ten nowy koronawirus może stać się trwałym zagrożeniem, z którym będziemy musieli nauczyć się żyć jak z grypą" – powiedział na antenie chińskiej telewizji CCTV Wang Chen, pulmonolog, przewodniczący Chińskiej Akademii Nauk Medycznych.
- „Uważam, że najprawdopodobniej nie da się zatrzymać tego wirusa. Ta choroba wydaje się rozprzestrzeniać bardzo skutecznie" – ocenił prof. Marc Lipsitch, epidemiolog z Uniwersytetu Harvarda. Jego zdaniem od 40 nawet do 70 proc. dorosłych na świecie w końcu zarazi się tym wirusem.

WIRUS Z WUHAN? TO KWESTIA CZASU

Minister zdrowia Łukasz Szumowski nie ma złudzeń. Na konferencji prasowej w ubiegłym tygodniu powtarzał, że przypadki koronawirusa z pewnością dotrą także do naszego kraju. – To nie jest infekcja, która jest bardzo groźna. 80 proc. zachorowań przebiega w sposób łagodny lub bezobjawowy – uspokajał minister.

Z informacji podawanych przez WHO wynika, że tylko u 14 proc. zarażonych choroba przebiega ciężej – z dusznościami i zapaleniem płuc. Stan krytyczny z niewydolnością oddechową dotyczy 5 proc. chorych. W 2 proc. przypadków dochodzi do śmierci. Śmiertelne ofiary koronawirusa to w przeważającej większości osoby starsze lub mające poważne problemy zdrowotne, które obniżają odporność ich organizmu.

Czy po pojawieniu się pierwszego przypadku koronawirusa w Polsce nasze ulice będą wyglądać podobnie jak te we Włoszech, gdzie panika najwyraźniej wymknęła się już spod kontroli – maseczki można kupić już tylko na czarnym rynku, a cena płynu do dezynfekcji rąk wzrosła o 600 proc.? – To wysoce prawdopodobne, że i u nas będą osoby chodzące w maseczkach. Lubimy naśladować innych, a i nie brakuje tych, którzy poprzez maseczkę będą chcieli się wyróżnić z tłumu – mówi dr Siudem.

Jednak Jan Bondar z GIS przestrzega przed maseczkami i kombinezonami, których ofert pełno jest dziś w sieci. – Są one przeznaczone dla personelu medycznego. Mogą je założyć także osoby chore, które np. przed zarażeniem chcą chronić dzieci czy innych domowników. Noszenie maseczek przez zdrowe osoby nie ma żadnego sensu, a nawet może sprowadzić na nie problemy zdrowotne. Jeśli wychodzimy na zewnątrz w takiej maseczce, to gromadzą się na niej drobnoustroje, wirusy obecne w atmosferze. Maseczka robi się wilgotna, co jeszcze zwiększa problem. Przy jej zdejmowaniu skumulowane w niej drobnoustroje i wirusy zostają na dłoniach i jest duże ryzyko przeniesienia ich w okolice oczu czy ust. A to naraża nas na zakażenie – kwituje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

współpraca: Piotr Włoczyk

eprasa.pl a01f6cfe92

Maciej Rosalak

Zarazy – plagi ludzkości

Zwrot w rozwoju cywilizacji świata antycznego, nastanie ciemnych wieków średniowiecza, zwycięstwo islamu na Bliskim Wschodzie, wyludnienie Europy w wieku XIV i zdziesiątkowanie na początku XX, kolonizacja obu Ameryk przez białych – oto skutki epidemii w dziejach ludzkości

Ten tekst nie miał być poświęcony erotyce, tylko straszliwym epidemiom nękającym ludzi od stuleci. A jednak sięgnąłem na początek do „Dekameronu". Jak wiadomo, ów utwór Giovanniego Boccaccia składa się z pikantnych opowiastek koedukacyjnego grona Florentyńczyków, umilających sobie takimi gawędami czas w dobrowolnym odseparowaniu od świata zewnętrznego. Niektórzy czytelnicy, zwłaszcza dorastający, nie zwracają jednak zwykle uwagi na obszerny „Prolog", z którego wieje grozą. Zawiera on bowiem opis „czarnej śmierci" – dżumy, która w połowie XIV w. dotknęła nie tylko Florencję i całe Włochy, lecz także pozostałe kraje Europy, Bliski Wschód i część Afryki, a wcześniej Azję. Roznosiły ją głównie pchły żerujące na zarażonych szczurach.

PROLOG DO „DEKAMERONU"

Boccaccio pisze: „W roku od narodzenia Pana naszego, Jezusa Chrystusa, tysiąc trzysta czterdziestym ósmym, w sławnym mieście Florencji, klejnot miast włoskich stanowiącym, wybuchła zaraza morowa… Mór zaczął się na kilka lat przedtem na Wschodzie i spowodował tam wielkie spustoszenia. Powoli, z miejsca na miejsce się przenosząc, zaraza do krajów zachodnich dotarła. Zapobieżenia ludzkie na nic się wobec niej zdały. Nie pomogło oczyszczanie miast przez ludzi do tego najętych, zakaz wprowadzania chorych do grodu, różne przestrzeżenia, co czynić należy, aby zdrowie zachować […]. Wiosną tego roku mór począł w przedziwny sposób okrutne spustoszenia czynić […]".

Kiedy to czytałem, w telewizji akurat mówiono o chińskim koronawirusie, który właśnie w północnych Włoszech „począł

eprasa.pl a01f6cfe92

„Taniec śmierci", niemiecki obraz olejny z XVIII w. FOT. WIKIPEDIA

w przedziwny sposób okrutne spustoszenia czynić", a „zapobieżenia ludzkie" na niewiele – jak dotąd – „się zdały". Skłania to do smutnej konstatacji, jak bezradny wobec takiej plagi był – i jest nadal – człowiek.

Szacuje się, że od 1347 r., w ciągu pierwszego uderzenia zarazy i jej nawrotów w XIV w., wymarło 45–50 proc. ówczesnej europejskiej populacji. We Włoszech, południowej Francji i Hiszpanii śmierć dotknęła prawdopodobnie ponad trzy czwarte ludności, w Niemczech, Wielkiej Brytanii i krajach środkowej Europy – jej połowę lub trzecią, czwartą część. Na całym świecie liczba ludności zmalała z 450 mln do 350–375 mln i potrzebowała aż 150 lat, by się odrodzić.

We Florencji Boccaccia „z srogiego niebios wyroku, a także z przyczyny ludzkiego okrucieństwa, w czasie od marca do czerwca więcej niż sto tysięcy osób życie straciło. Ginęli od strasznej zarazy, a także z braku pieczy i pomocy, skąpionej im przez zdrowych, którymi trwoga owładła. Dawniej nikt by może nie był pomyślał, że w Florencji można naliczyć tylu żywych mieszkańców, ile w niej się później okazało zmarłych. Ileż to pięknych domów, wspaniałych pałaców, przedtem przez mnogie rodziny, przez rycerzy i znamienite damy zamieszkałych, teraz pustką stanęło! Wymarli w nich wszyscy, aż do ostatniego sługi!".

Doświadczenie „czarnej śmierci" pozostawiło głębokie ślady w pamięci i kulturze pokoleń, a także w gospodarce i strukturze społecznej zachodnioeuropejskich miast i wsi, przyspieszając upadek feudalizmu i nadejście renesansu. Jednak francusko-angielskiej wojny stuletniej epidemia nie przerwała, a poszukiwanie winnych owej „kary Bożej" prowadziło na zachodzie kontynentu do licznych pogromów Żydów i ich wypędzania. Wtedy to trafiali do gościnnego i stosunkowo łagodnie potraktowanego przez zarazę królestwa Kazimierza Wielkiego, co z czasem doprowadziło do wyjątkowej struktury etnicznej na ziemiach polskich.

Stara dobrze znana „czarna śmierć" nasilała się wielokrotnie, właściwie nie opuszczała Europy. Było to szczególnie widoczne w latach 1360–1363, 1374, 1400, 1438–1439, 1456–1457, 1464–1466, 1481–1485, 1500–1503, 1518–1531, 1544–1548, 1563–1566, 1573–1588, 1596–1599, 1602–1611, 1623–1640, 1644–1654 i 1664–1667… Ostatnie daty wyznaczają tragedię Londynu, do którego dżumę przywiozły holenderskie statki z transportem bawełny. W angielskiej stolicy umierało tygodniowo do 7 tys. ludzi. W 1771 r. zaraza zabiła w Moskwie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Wielka epidemia ogarnęła jeszcze w drugiej połowie XIX w. Chiny i Indie. Dotąd zresztą identyfikuje się ogniska tej strasznej choroby.

PERYKLES I BALDWIN TRĘDOWATY

O straszliwych epidemiach nękających ludzkość dowiadujemy się ze znacznie wcześniejszych świadectw. Wśród biblijnych plag egipskich zwraca uwagę zwłaszcza ostatnia (10.), która dotknęła śmiercią pierworodne dzieci Egipcjan. Jednak i poprzednie prowadziły zapewne do masowych zachorowań: inwazja komarów (3.); much (4.); pomór bydła (5.); chmury pyłu wywołujące wrzody i pryszcze (6.). Cóż, doskonałe warunki do rozwoju malarii, cholery i ospy… Jeśli istotnie skutkiem okazał się exodus oraz powstanie państwa Izraelitów, to epidemie okazały się siłą sprawczą wielkiego, istotnego do dziś wydarzenia w dziejach.

Wpływ na rozwój cywilizacji antycznej – mający być może znaczenie w skali tysiącleci – wywarła epidemia w starożytnych Atenach na początku wojny peloponeskiej (431–404 p.n.e.) ze Spartą. Morskie mocarstwo, jakim były Ateny, na lądzie było skazane na obronę przed hoplitami spartańskimi, którzy co pewien czas wpadali do Attyki i oblegali miasto. Broniło się ono dzięki fortyfikacjom samych Aten oraz „długim murom" łączącym je z portem w Pireusie. Zawdzięczało to Peryklesowi, który od 443 r. p.n.e. był nie tylko twórcą wspaniałych budowli, lecz także ustroju demokratycznego Aten i ich niemal imperialnej potęgi w Helladzie.

I oto w tym wspaniałym mieście wybucha w 430 r. p.n.e. zaraza, która w ciągu czterech lat zabiła trzecią część mieszkańców i co czwartego żołnierza. Czy był to dur brzuszny, czyli tyfus, czy dżuma, czy cholera – opinie do dziś są podzielone. Tukidydes w swej wspaniałej „Wojnie peloponeskiej" tak opisuje objawy choroby: „Ludzie w pełni zdrowia zapadali na nią nagle i bez żadnej przyczyny. Pierwszym objawem była silnie rozpalona głowa, oczy zaczerwienione i piekące; jama ustna i język nabiegały krwią, oddech stawał się nieregularny i miał przykry zapach; następnie pojawiały się katar i chrypka, a po niedługim czasie choroba atakowała płuca i pojawiał się silny kaszel; kiedy zaś zaatakowała żołądek, występowały

eprasa.pl a01f6cfe92

nudności i wszelkiego rodzaju wymioty [...] Ciało chorego [było] sine i pokryte pęcherzykami i wrzodami. Wewnątrz zaś chory był tak rozpalony, że nie mógł znieść nawet najlżejszego odzienia ani najdelikatniejszego nakrycia, lecz chciał leżeć nago, a najchętniej rzuciłby się do zimnej wody. Wielu pozostawionych bez opieki, a dręczonych niedającym się ugasić pragnieniem, rzucało się istotnie do cystern [...] przeważnie umierali w siódmym albo dziewiątym dniu ulegając wewnętrznej gorączce, chociaż mieli jeszcze trochę sił; jeśli zaś ten dzień przetrzymali, umierali później z osłabienia, kiedy choroba zaatakowała podbrzusze wywołując silne ropienie i nieustanną biegunkę".

Na taką to chorobę zmarł w 429 r. p.n.e. Perykles. Co by było, gdyby zaraza nie wybuchła? Czy pod jego wodzą i z nienadwątlonymi siłami wyprawa sycylijska w latach 415–413 zakończyłaby się sukcesem, a nie kompletną klęską, którą Anglosasi – Edward Creasy, Edgar D'Abernon i Joseph Mitchell – uznali za jedną z decydujących o losach świata. Czy ocaliłby hegemonię na morzu, złamaną przez Peloponezyjczyków u ujścia Ajgospotamoj w 405 r. p.n.e.?

A przecież nie chodzi tylko o tę wojnę, lecz także o to, jaki typ ustrojowy – demokratyczny czy oligarchiczny – zapanuje w całej Helladzie. A następnie: czy Grecy pod hegemonią Aten – a nie Macedończyków, co nastąpiło w drugiej połowie następnego stulecia – zdołają pokonać azjatycką tyranię Persów. Jak wyglądałby świat śródziemnomorski? Jak potoczyłaby się historia Europy? Nigdy się nie dowiemy.

Śmierć Peryklesa przypomina przedwczesny kres innego przywódcy, półtora tysiąclecia później. Był nim jerozolimski król krzyżowców Baldwin IV, który odznaczał się wyjątkową mądrością, talentem politycznym, charakterem, prawdziwym męstwem i pobożnością. Jako jedyny mógł ocalić państwa chrześcijańskie, istniejące na Bliskim Wschodzie niemal od wieku, ale właśnie zagrożone przez równie wyjątkowego władcę – sułtana muzułmańskiego Saladyna. Na czele 500 rycerzy Baldwin pokonał zresztą wielokrotnie liczniejszą armię wroga pod Montgisard. Rycerze Królestwa Jerozolimskiego walczyli jak lwy na widok swego wycieńczonego nieuleczalną chorobą króla modlącego się przed relikwiami Krzyża Świętego.

Chorobą, która zabijała Baldwina, był trąd szerzący się od niepamiętnych czasów w strefie podzwrotnikowej. 10 lat później Baldwin IV zwany Trędowatym już nie żył. Jego następca Gwidon z Lusignan do pięt mu nie dorastał, a głupawy rzezimieszek Renald z Châtillon władający Zajordanią był głównym sprawcą nieszczęść spadających wówczas na krzyżowców. Oni to pozwolili Saladynowi zwabić wojska chrześcijan na pustynne, bezwodne bezdroża pod Hittin, rozbić je i wyrżnąć, a następnie zdobyć Jerozolimę. Tak rozpoczął się bezpowrotny upadek chrześcijaństwa na Ziemi Świętej. Wcześniej trąd przerwał życie jedynego człowieka zdolnego, aby do tego nie dopuścić.

Z kolei 800 lat przed atakiem „czarnej śmierci" – w 541 r. – tzw. dżuma Justyniana, którą z transportami zboża przywleczono z północnej Afryki, zaatakowała Cesarstwo Bizantyjskie, a stamtąd rozprzestrzeniła się po Europie. W samym Konstantynopolu zabijała 5 tys. osób dziennie. Zaledwie w ciągu dwóch lat epidemia uśmierciła, jak się szacuje, do 100 mln ludzi, w tym 50–60 proc. mieszkańców Europy. Komentatorzy zapominają, że zaledwie pięć lat wcześniej północną półkulę dotknęła inna klęska, a mianowicie zima wulkaniczna, spowodowana zapewne wybuchem Krakatau w Indonezji. Gęste chmury pyłu przesłaniały Słońce, wegetacja roślin została zakłócona przez chłód i ciemności, co wywołało wśród ludzi głód i choroby.

Ten okres historii zapoczątkował tzw. wieki ciemne średniowiecza. Nazwę wiąże się z brakiem źródeł pisanych do tej epoki oraz upadkiem kultury rzymskiej, ale czy rzeczywiście wyjaśnimy to zjawisko bez uwzględnienia potwornych strat spowodowanych klęską żywiołu oraz epidemii?

NIECH TO CHOLERA...

Z czasów nowożytnych i współczesnych liczba informacji o epidemicznych, a nawet pandemicznych (obejmujących cały glob) chorobach przekracza możliwości ich przekazania. Z wieków XVII i XVIII wiemy na przykład, że wśród cywilizacji zachodniej rozprzestrzeniała się ospa prawdziwa, zwana też czarną. Do Ameryki Północnej dotarła przez Plymouth, dokąd przeniosła się z Ameryki Południowej. Dotknęła ona zwłaszcza Boston, gdzie odnotowano aż sześć jej epidemii. W następnym stuleciu szalała w Europie, zabijając aż 60 mln ludzi.

Jednak o tragedii całej cywilizacji można mówić w odniesieniu właśnie do Ameryki Południowej. Przywlekli tam ospę wraz z innymi zaraźliwymi chorobami konkwistadorzy z Europy. Wyrządziła ona w XVI w. tak wielkie straty wśród rdzennej ludności, że można je nazwać ludobójstwem. W Meksyku zabiła trzy czwarte Azteków; w Ameryce Południowej – 95 proc. Inków! Ich państwa i prastare kultury przestały istnieć.

Odnotowano inne epidemie. Oto cholera, która towarzyszyła Europejczykom od dawien dawna, ale szczególnie śmiertelne żniwo zebrała podczas sześciu nawrotów w XIX w. Znamy ją głównie z powstania listopadowego. Wiosną 1831 r., wraz z posiłkami, które dotarły do Rosjan z Bałkanów, objęła ona najpierw armię rosyjską, a potem pojawiła się też w polskiej. Zmarł – niestety, już po zwycięstwie odniesionym nad nami pod Ostrołęką – głównodowodzący Iwan Dybicz, a także generał z „obserwacyjnej" armii pruskiej, znany teoretyk wojny Carl von Clausewitz. Drugą z chorób rozpowszechnionych w XIX w. była gruźlica, na którą umarli m.in. Juliusz Słowacki, Fryderyk Chopin i wielu innych wspaniałych ludzi.

Cholera i tyfus rozprzestrzeniały się zwłaszcza podczas wojen – coraz większych i bardziej krwawych. Z końcem pierwszej wojny światowej znacznie bardziej śmiertelne żniwo (100 mln ludzi na całym świecie!) zebrała jednak grypa nazwana hiszpanką (bo w nieobjętej cenzurą Hiszpanii można było o niej pisać), a powinna – amerykanką, bo stamtąd przywieźli ją na front żołnierze USA (o czym pisać zakazano). Atakowała głównie ludzi młodych, mających silny układ odpornościowy (niszczył zarazki wraz z organizmem).

Straty Francuzów – owej „armii jedynaków" – na froncie i skutkiem grypy były tak wielkie, że odruch głębokiego pacyfizmu przesądził o tym, że 20 lat później nie chcieli się bić z Hitlerem. Musiało to wpłynąć na los Polski w 1939 r., na klęskę aliantów rok później i dalszy bieg wojny...

Na przełom XX i XXI w. ponury cień rzuciły HIV i ebola oraz grypa. Koronawirusa poprzedzały np. pamiętane jeszcze w Polsce grypy: azjatycka (lata 1957–1958), hongkońska (1968–1970), rosyjska (1977–1978) czy meksykańska (2009). Nawroty zaraźliwych chorób, zwłaszcza pod zmutowanymi postaciami, oraz występowanie chorób dotąd nieznanych, stanowią swoiste memento mori, ale i wyzwanie dla ludzkości. Szczególnie gdy ich skutki zmieniają bieg dziejów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU: ORLEN

PARTNER: PPL Porty Lotnicze

PARTNER WSPIERAJĄCY: WARS

PATRONI MEDIALNI: wprost, DO RZECZY

eprasa.pl a01f6cfe92

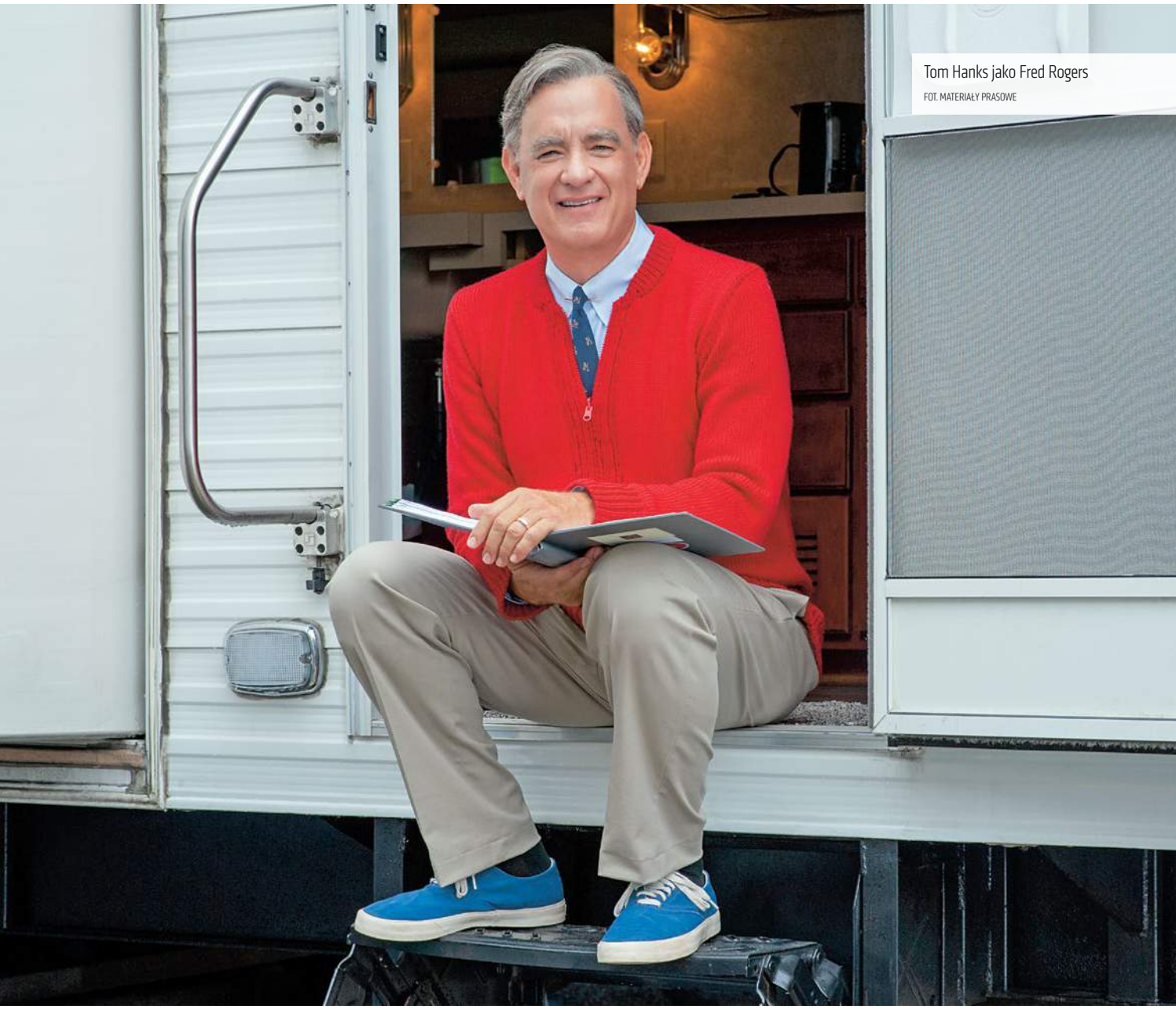

Tom Hanks jako Fred Rogers

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ratujcie swoje dusze

eprasa.pl a01f6cfe92

Piotr Gociek

„Cóż za piękny dzień" to film niezwykły, tak jak jego bohater Fred Rogers – pastor, który modlitwą i programem telewizyjnym dla dzieci zmieniał świat na lepsze

Cynikom nic po tym filmie, gdyż nie obejrzą go i tak. Może oprócz cyników oglądających filmy z obowiązku, znaczy zawodowców, którzy wędrują po świecie z miną „wszystko widziałem, wszystko słyszałem", i przekonanych, że wzruszenia należą do niemodnego świata telewizyjnych produkcji świątecznych. Że to wszystko pic, kicz i obciach. Tym gorzej dla nich. Bo to właśnie oni powinni tę historię przemyśleć w pierwszej kolejności.

Jeden z głównych bohaterów filmu „Cóż za piękny dzień" („A Beautiful Day in the Neighborhood", 2019), Lloyd Vogel, to właśnie taki skrzywiony mędrek. Ma wszystko, ale bije od niego aura najbardziej nieszczęśliwego człowieka na świecie, co pięknie oddaje wcielający się w tę rolę Matthew Rhys (pamiętacie go z serialu „Zawód: Amerykanin"). Nawet w dobrym garniturze i eleganckim płaszczu wygląda, jakby był pacjentem domu opieki, który przed chwilą niechlujnie zarzucił na siebie szlafrok – i podobnie się porusza.

Jednocześnie łatwo mu przykrywać swój prawdziwy stan sukcesami zawodowymi – jest dziennikarzem specjalizującym się we wkurzaniu bohaterów swoich tekstów. Recepta działa – do czasu. Cóż z tego, że odbiera prestiżową nagrodę, chwaląc się w przemowie, że „ogląda historię z pierwszego rzędu", skoro wkrótce potem słyszy od swojej naczelnej, że nikt już nie chce z nim rozmawiać. „Ludzie uwielbiają ze mną rozmawiać!" – protestuje Vogel. „Dopóki nie przeczytają tego, co o nich napisałeś" – odpowiada szefowa.

NAUCZYCIEL SZACUNKU

Vogel ma piękną żonę (Susan Kelechi Watson) i cudowne dziecko, tyle że nie widzimy, by jakoś specjalnie się nimi interesował (nie znaczy to, że się nimi nie interesuje – raczej traktuje obydwa te cudowne zjawiska jako coś oczywistego). Szybko eksploduje: dzieje się tak podczas przyjęcia weselnego siostry Vogla, na którym pojawia się od dawna niewidziany gość – ojciec Lloyda (Chris Cooper). Rodzinne spotkanie kończy się bójką (na razie nie znamy prawdziwej przyczyny). I tak oto w chwili, gdy nasz bohater poznaje drugiego bohatera tej opowieści, staje przed nim wściekły, rozżalony i z rozkwaszonym nosem. „Co ci się przydarzyło?" – pyta zatroskany Fred Rogers. „Bójka" – wyznaje ze wstydem Vogel. „Z kim?", „Z Jerrym", „Kim jest Jerry?", „Moim ojcem".

To, co widzimy w tym momencie na twarzy Toma Hanksa (właśnie on gra Freda Rogersa), jest kluczem do całego filmu. Uprzejmy, zaciekawiony tym, co dzieje się z drugim człowiekiem, w jednej chwili zamienia się w osobę równie nieszczęśliwą jak rozmówca. Jakby złe rzeczy, które przytrafiają się innym, sprawiały Rogersowi fizyczny ból.

Cóż, tak właśnie jest. Drugi i właściwy bohater tej opowieści, amerykańska znakomitość telewizyjna Fred Rogers (szósta nominacja do Oscara i dziesiąta do Złotego Globu dla Toma Hanksa), to postać ze wszech miar niezwykła.

Dla Amerykanów jest wychowawcą całego pokolenia, ba, więcej niż pokolenia, bo jego telewizyjne programy edukacyjne dla dzieci emitowane były niemal przez pół stulecia. Ten najsłynniejszy i najbardziej wpływowy zwał się „Mister Rogers' Neighborhood". Fred Rogers był w nim człowiekiem orkiestrą: pisał i śpiewał piosenki, animował kukiełki, którym podkładał także własny głos, tworzył scenariusze, rozmawiał z gośćmi, którymi byli zarówno dzieci, jak i dorośli. Człowiek orkiestra szybko stał się człowiekiem instytucją, a jego wpływ sięgał daleko poza mały ekran. To on swym wystąpieniem skłonił senacką komisję, by nie obcinała funduszy na raczkującą telewizję publiczną w USA, to on uczył dużych i małych szacunku do drugiego człowieka.

W odróżnieniu od innego sztandarowego przedsięwzięcia dla dzieci tamtych czasów, czyli „Ulicy Sezamkowej", program Rogersa nie koncentrował się na przekazywaniu najmłodszym nowych umiejętności, lecz na radzeniu sobie z własnymi uczuciami – smutkiem, gniewem, żalem po stracie. Nawiązywał w swych programach do aktualnych wydarzeń – do historii przeszedł m.in. program wyemitowany po zabójstwie prokuratora generalnego Roberta F. Kennedy'ego, w którym za pomocą kukiełek w delikatny sposób nie tylko objaśniał dzieciom, co to znaczy, kiedy dorośli mówią, że ktoś został zabity, lecz także pokazywał, jak sobie radzić z tą traumą. Pod koniec kariery, gdy po kilkuletniej przerwie powrócił do nagrywania swego sztandarowego programu, poświęcał tygodniowe cykle takim pojęciom jak rozwód czy śmierć.

WSTRZEMIĘŹLIWOŚĆ I MODLITWA

Film Marielle Heller inspirowany jest prawdziwą historią. Pierwowzorem filmowego Lloyda Vogla jest dziennikarz Tom Junod, który w roku 1998 opublikował na łamach magazynu „Esquire" artykuł „Can You Say… Hero?". Dla Junoda – tak jak dla Vogla – było to tylko kolejne zlecenie do chwili, kiedy podejrzliwy i zblazowany autor nie odkrył, że kochany przez dzieci Fred Rogers także i jego jest w stanie czegoś o życiu nauczyć. Praca nad tekstem stała się też początkiem przyjaźni Junoda i Rogersa.

Tytuł wziął się z piosenki, którą program Rogersa tradycyjnie się rozpoczynał. W utworze „Won't You Be My Neighbor?" pierwsze wersy brzmią: „It's a beautiful day in this neighborhood / A beautiful day for a neighbor / Would you be mine? / Could you be mine?". Marielle Heller wykorzystała zresztą chwyt formalny z programu Rogersa – początek filmu wygląda tak jak początek jednego z odcinków, mamy tę samą makietę świata z sąsiedztwa, nad którą przesuwa się kamera, mamy gospodarza show wchodzącego do domu, zmieniającego marynarkę na sweter i oficjalne buty na trampki (by było mniej formalnie) oraz objaśniającego, czym dziś zamierza się zająć. Tyle że zamiast Freda Rogersa widzimy wcielającego się w jego rolę Toma Hanksa. I tak naprawdę jest to film o Rogersie i jego fenomenie, choć oscarową nominację Hanks otrzymał w kategorii „najlepszy aktor drugoplanowy", bo na pierwszym planie znalazł się w tej opowieści nieszczęsny Vogel. Znacie ten chwyt – ujrzeć postać niezwykłą oczami ułomnego narratora. Czyż nie tak przyglądaliśmy się Mozartowi, poprzez los Salieriego, w „Amadeuszu" Milosza Formana?

Marielle Heller (wcześniej nakręciła „Wyznania nastolatki" i „Czy mi kiedyś

eprasa.pl a01f6cfe92

wybaczysz?") zręcznie bawi się formą i nawiązaniami do programu, choć pewnie w pełni wdzięk jej pomysłów doceni głównie widz amerykański, który na Rogersie się wychował. Absolutnie nie jest to jednak opowieść hermetyczna, choć zrozumiem lekką konfuzję, która może pojawić się u niektórych widzów. Przyzwyczajeni bowiem jesteśmy, że gdy widzimy na ekranie dobro, miłość i troskę o innych, są to zjawiska podejrzane, a szeroko uśmiechnięty bohater będzie skrywał w sobie straszliwą tajemnicę lub po prostu okaże się łajdakiem. Nic z tych rzeczy, co sprawia, że film „Cóż za piękny dzień" jest na tle konkurencji zjawiskiem wyjątkowym niczym jednorożec na Manhattanie – i niczym sam Fred Rogers.

Kto uważnie przejrzy program platformy Canal Plus, może trafić na powtórkę wyświetlanego w tej stacji filmu dokumentalnego o Rogersie „W odwiedzinach u pana Rogersa" („Won't You Be My Neighbor?", USA 2018). Jego reżyser Morgan Neville (zdobywca Oscara za świetny dokument „O krok od sławy") wykonał tytaniczną robotę, nagrywając opowieści współpracowników Rogersa, jego admiratorów i jego rodziny. Traktując swe zadanie poważnie, zadawał także trudne pytania. Rogers całe życie pracował z dziećmi. Czy kryły się, hm… za tym jakieś skłonności? Robił wrażenie nadmiernie łagodnego, miękkiego, wrażliwego, ubierał się (na ekranie) w jaskrawe kolory – czy był gejem? A może wszystko, co robił, było pokutą za jakieś straszliwe występki? Neville wyliczał plotki krążące na temat Rogersa – że nosi swetry z długim rękawem, by ukryć więzienne tatuaże, że w przeszłości był snajperem na usługach armii USA i tak dalej. Odpowiedzi nie zadowolą poszukiwaczy skandali. Fred Rogers był po prostu dobrym człowiekiem, którego życiową misją było czynienie świata lepszym i pomaganie innym. W ten sposób na ekranie pojawia się figura wyjątkowa w dzisiejszej popkulturze: ksiądz, ale nie pedofil, wrażliwiec, lecz nie homoseksualista, człowiek o silnych przekonaniach, lecz nie propagandzista.

★★★★★☆
REŻ. MORGAN NEVILLE
„W ODWIEDZINACH U PANA ROGERSA" („WON'T YOU BE MY NEIGHBOR?")
USA 2018

★★★★★☆
REŻ. MARIELLE HELLER
„CÓŻ ZA PIĘKNY DZIEŃ" („A BEAUTIFUL DAY IN THE NEIGHBORHOOD")
USA 2019

wyst. Tom Hanks, Matthew Rhys, Chris Cooper

W dokumencie Neville'a padają słowa, których w filmie Heller zabrakło. Fred Rogers traktował swe telewizyjne występy jako posługę kapłańską. Ukończył seminarium prezbiteriańskie w Pittsburghu (założone w 1794 r.) i został prezbiteriańskim pastorem. Wstrzemięźliwość i modlitwa były jego codziennością. Każdego dnia modlił się, wymieniając z imienia i nazwiska ludzi, o których się troszczył, każdego dnia przepływał na basenie półtora kilometra, by utrzymać formę, u kresu życia szczycił się tym, że wciąż waży tyle samo, ile za młodu, a o swoją wagę – 143 funty (ok. 65 kg) tłumaczył także wyjątkowym znaczeniem liczby 143, która wedle niego oznaczała „I love you" (1 litera+4 litery+3 litery).

Przez wiele lat współpracował z dziecięcą psycholog Margaret McFarland, sam zresztą studiował (także w Pittsburghu) w tym kierunku (Graduate School of Child Development). „Kocham Cię takiego, jakim jesteś" – to był najważniejszy przekaz Rogersa, który uczył o sile miłości, o sile przebaczenia, o tym, że każdy z nas jest wyjątkowy. Doczekał się zresztą z tego powodu pod koniec życia licznych ataków (nic o tym nie ma w fabularnym „Cóż za piękny dzień", ale jest trochę w dokumentalnym „W odwiedzinach u pana Rogersa"). Zarzucano mu bowiem, że odpowiada za postawę roszczeniową młodego pokolenia, na które miał tak wielki wpływ. „Zamiast uczyć dzieci tego, że aby coś w życiu osiągnąć, trzeba ciężko pracować, pan Rogers wmawiał im, że wystarczy być sobą" – grzmieli samozwańczy obrońcy tradycyjnych amerykańskich wartości. Nie o to chodziło w przekazie pastora z Pittsburgha. Sam wielokrotnie mówił, że sprzeciwia się wychowywaniu dzieci od małego jedynie na idealnego konsumenta, że chce, byśmy dostrzegali także osobę, a nie tylko jej wyuczone umiejętności. I wreszcie przypominał, że obowiązkiem chrześcijanina jest docenienie bożej kreacji, niezwykłego cudu, tego, że każdy z nas jest jedyny, wyjątkowy.

JEDYNY W SWOIM RODZAJU

W filmie Marielle Heller brak tej głównej warstwy religijnego przekazu Rogersa, choć wspomina się o tym, że to człek rozmodlony. Chwilami więc fabuła ześlizguje się niebezpiecznie w okolice typowego hollywoodzkiego „kiczu przebaczenia" – bądźmy dla siebie dobrzy, wybaczajmy sobie, rodzina jest najważniejsza. Zgoda, zgoda na wszystko, ale u Rogersa to przesłanie wynikało z czegoś dużo głębszego i ważniejszego niż kalkulacje księgowych z hollywoodzkich studiów filmowych, którzy o pozytywnym przekazie przypominają sobie tylko wtedy, kiedy trzeba zarobić pieniądze, gdy przychodzi czas bożonarodzeniowych premier w kinie i telewizji.

Nie zmienia to tego, że „Cóż za piękny dzień" to film ciepły, mądry, unikatowy. Tak jak jedynym w swoim rodzaju był Fred Rogers. Tom Hanks gra go znakomicie, a robotę ma trudną, bo to, co najciekawsze, musi pokazywać w tych krótkich momentach, kiedy chodzący symbol wszelkich cnót bywa czymś zaskoczony lub zmartwiony. „Jak żyje się z żywym świętym?" – pyta Vogel żonę Rogersa. „Uwierz mi, nie jest święty" – odpowiada z uśmiechem Joanne. Ale o tym, ile kosztuje pana Rogersa dzieło jego życia, dowiadujemy się także z mgnień na ekranie – popatrzcie na chwilę, kiedy podczas programu wciela się w jedno ze swych ulubionych zwierzątek, tygrysa Daniela. Jak opowiadają jego bliscy, ta postać oddawała prawdziwy charakter Rogersa, była mu najbliższa. Takim był dzieckiem – wystraszonym, pełnym wątpliwości, wstydliwym. Całe życie ciężko pracował, by swe słabości pokonać. No i poczekajcie na ostatnie ujęcie w filmie Heller – wszystko stanie się jaśniejsze. I smutniejsze też.

Matthew Rhys w roli dziennikarza Vogla jest idealnym partnerem Hanksa/Rogersa – gdyby nie jego traumy, nie jego podejrzliwość i cynizm, gdyby nie jego przemiana, nie byłoby tej historii. Mówcie, co chcecie, narzekajcie na sentymentalizm – „Cóż za piękny dzień" to po prostu piękny film o tym, że dobro może zwyciężać. Co do religijnego przesłania Rogersa to przypomniało mi, jak kiedyś jeden z bohaterów powieści Vonneguta prosił innego o streszczenie Biblii. „Kochaj bliźniego jak siebie samego" – usłyszał w odpowiedzi. „Cała reszta to tylko przypisy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!
Sensacyjny wywiad z żołnierzem wyklętym, bohaterem walki z komuną

Witold Bagieński – **Wojna szpiegów PRL**
Patryk Pleskot – **Intryga czerwonego sobowtóra**
Sławomir Koper – **Wpadka francuskiego agenta**
John Mearsheimer – **Ameryka potrafi być bezwzględna**
Mikołaj Iwanow – **Czy Stalin planował drugi Holokaust?**
Tomasz Stańczyk – **Król gangsterów II RP**
Arkadiusz Karbowiak – **Dziwna okupacja Danii**
Grzegorz Janiszewski – **Pierwsi polscy komandosi**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a01f6cfe92

Tomasz Rowiński

Dlaczego ten „zwyczajny" portret, poza tym, że jest przypisywany Rafaelowi, zdobył tak wielką sławę?

„Portret młodzieńca" Rafaela Santi

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Gdzie jest młodzieniec?

Niedawno zakończyła się ciekawa, ale chyba niedoceniana wystawa Muzeum Narodowego w Warszawie zatytułowana „»Portret młodzieńca« / W poszukiwaniu zaginionego arcydzieła Rafaela". Skoro się zakończyła, to czy warto o niej jeszcze pisać? Zdecydowanie tak, dlatego że jej ideą nie było przecież pokazywanie obrazu, którego nie ma, ale przypomnienie, jak wiele bezcennych dzieł kultury wciąż czeka na powrót do Polski (do rąk państwa lub prywatnych spadkobierców). Wystawa upamiętniała pięćsetlecie śmierci mistrza włoskiego renesansu, ale jej zakończenie w ostatniej dekadzie stycznia splotło się także z 75. rocznicą zaginięcia jego dzieła. To pomiędzy 20 a 25 stycznia 1945 r. urywa się trop w badaniach poszukiwawczych.

Zamiast oryginalnego obrazu w muzeum można było obejrzeć jego XVI-wieczną kopię przechowywaną w Bergamo w Accademia Carrara. Obraz ten był pokazywany w otoczeniu rozmaitych rycin powstających od XVII do XIX w., ukazujących fascynację twórczością Rafaela i szerokie oddziaływanie zaginionego dzieła. Podczas wystawy można było też obejrzeć „Portret młodego mężczyzny" Jana Lievensa (ok. 1665 r.), jednego z naśladowców mistrza z Perugii, a także obrazy innych jego naśladowców oraz twórców mu bliskich, takich jak Pinturicchio (Bernardino di Betto), Perugino (Pietro Vanucci), Francesco Francia (Francesco Raibolini), Giovanni Francesco Penni. Obraz Francesca Francii przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem znalazł się na wystawie, ponieważ „przypomina o relacjach Francii i jego warsztatu z Rafaelem. Późny obraz Perugina, znany jako »Madonna della cucina«, wypożyczony z Galleria Nazionale dell'Umbria w Perugii, przywołuje wczesne, umbryjskie ścieżki życia i twórczości Rafaela, podobnie jak Madonna z Dzieciątkiem Pinturicchia ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie" – pisał w słowie wstępnym do wystawy prof. Jerzy Miziołek, były już dyrektor instytucji.

NIESPOKOJNY LOS DZIEŁA

Mieliśmy więc do czynienia z ciekawą kontekstową ekspozycją, która zanurza dzieło w jego otoczeniu kulturowym, a jednocześnie wskazuje na znaczenie zniknięcia obrazu.

„Portret młodzieńca" trafił do polskich rąk w roku 1801 lub 1808, kiedy to w Wenecji kupił go książę Adam Czartoryski. Polskie losy obrazu nie były spokojne. Polityczne zaangażowanie księcia Adama Czartoryskiego, jego prezesowanie Rządowi Tymczasowemu, a później Rządowi Narodowemu w czasie powstania listopadowego sprawiło, że znaczna część zgromadzonych zbiorów została skonfiskowana przez wojska carskie. „Portret młodzieńca", tak jak inne najcenniejsze dzieła, udało się uratować, ponieważ został ukryty przez opiekuna zbiorów Franciszka Kozłowskiego w piwnicy Świątyni Sybilli.

eprasa.pl a01f6cfe92

Nie zostały jednak długo w Puławach. Nocą przewieziono je do klasztoru Franciszkanów Reformatów w Kazimierzu. Jak możemy przeczytać w ciekawym opracowaniu polskich dziejów obrazu Rafaela autorstwa Roberta Kudelskiego: „W maju 1832 roku, z pomocą Daniela Ruprechta, Józefa Schmidta i kanonika Pieńkowskiego, Kozłowski wydobył ze skrytki pozostałą część zbiorów i, wraz z depozytem ukrytym w klasztorze w Kazimierzu, wywiózł do majątku Zamoyskich w Klemensowie. Jakiś czas później kolekcję przeniesiono do pałacu Czartoryskich w Sieniawie. Przez kilka lat cenne zbiory były ukryte w oficynie dworskiej i pozostawały bez należytej opieki. Książę Adam Jerzy musiał opuścić kraj, ścigany carskim dekretem. W 1843 roku kupił w Paryżu Hôtel Lambert, w którym osiadł. Sprowadził do swojej rezydencji zbiory sztuki [...]".

Książę Adam, borykający się z problemami finansowymi, postanowił sprzedać „Portret młodzieńca" i tak w roku 1850 obraz trafił do rzeczoznawców w Londynie i Berlinie. Ostatecznie nie znalazł się żaden chętny nabywca i obraz wrócił do Paryża.

Po śmierci Adama Czartoryskiego w 1861 r. jego syn Władysław, korzystając ze sprzyjającej koniunktury politycznej w zaborze austriackim, utworzył w Krakowie w roku 1876 Bibliotekę Sieniawską Książąt Czartoryskich w budynku dawnego arsenału. „Wielka trójca" dotarła do Krakowa jednak dopiero w roku 1882, ale i tak była publicznie wystawiana przez ponad 30 lat. Dopiero wybuch pierwszej wojny światowej sprawił, że opiekunka dzieł, synowa Władysława Czartoryskiego, Maria Ludwika Czartoryska, oddała je na przechowanie do Gemäldegalerie w Dreźnie. Decyzja ta, choć zabezpieczała depozyt Czartoryskich, spowodowała nowe trudności, ponieważ gdy Polska odzyskała niepodległość, dyrektor drezdeńskiej galerii, dr Hans Posse (później jeden z łowców dzieł działający na polecenie Hitlera), nie chciał wydać Czartoryskim ich własności. „Portret młodzieńca" wrócił do Krakowa dopiero w roku 1922.

W ŁAPACH LUDZI GÖRINGA

Losy obrazu od roku 1939 stają się dramatyczne, a dla polskiej kultury, można powiedzieć, że tragiczne. Cała „wielka trójca" należących do Czartoryskich obrazów stała się przedmiotem gry bez mała politycznej pomiędzy ludźmi Hermanna Göringa, którego pazerność w rabowaniu dzieł sztuki można uznać za legendarną, a samym kanclerzem Rzeszy, który planował stworzenie w Linzu największego ośrodka muzealnego na świecie. W szczytowym okresie szabrownicy Hitlera mieli w rękach ok. 8 tys. cennych obrazów.

Hans Frank, ewakuując władze Generalnej Guberni, najpierw z Krakowa na Dolny Śląsk, potem ze Śląska do rodzinnej Bawarii, polecił najpierw przewieźć zrabowane i najcenniejsze dzieła sztuki do pałacu w Morawie koło Strzegomia, a dalej własnym tropem do Bawarii. Wiadomo, że „Portret młodzieńca", namalowany na nietypowych rozmiarów desce, miał być pozostawiony w Morawie. Czy tak się stało, nie wiadomo, ponieważ nie znaleziono go ani w pałacu, ani nie wykazały go inwentarze niemieckie oraz wspomnienia osób zaangażowanych w transport mienia. Poszukiwania, bardzo szeroko zakrojone, prowadzono przez cały okres powojenny i trwają do dziś. Najskrupulatniej wszystkie fakty związane z zaginięciem „Portretu młodzieńca" opisał wspomniany Robert Kudelski w książce „Zaginiony Rafael. Kulisy największej kradzieży nazistów".

SKĄD TA SŁAWA?

Dlaczego ten „zwyczajny" portret, poza tym, że jest przypisywany Rafaelowi, ma tak wielką sławę? Być może dlatego, że mamy o nim niewiele wiadomości, więc jest dziełem w pewnej mierze tajemniczym. Autor klasycznego wydawnictwa poświęconego twórczości Rafaela Santiego, Mariusz Karpowicz, pisał o obrazie tak: „Osoba portretowanego i dzieje obrazu dość tajemnicze. Identyfikowany bez powodzenia z ks. Federico Gonzagą, o którym wiadomo, że Rafael malował go w 1513 r. Jeden z uczonych wysunął hipotezę, że jest to ukochana Fornarina [Margarita Luti – przyp. T.R.] przebrana za chłopca. Inni nazywają go »efebem« lub »pięknym pyszałkiem«. Obraz musiał być we Włoszech w XVII wieku, skoro van Dyck przerysował go w swoim szkicowniku z lat 1622–1627 (przechowywanym w Chatsworth)". Różni badacze podważali także autorstwo Rafaela, sugerując, że dzieło mogło powstać jako wyidealizowany pośmiertny wizerunek mistrza, wykończony przez jednego z naśladowców lub uczniów. Tę koncepcję wysunął polski historyk sztuki Józef Grabski. Większość badaczy przyjmuje jednak, że dzieło wyszło spod ręki urbińczyka, spierając się dalej o to, kogo obraz przedstawia.

Rafael umiera dość młodo, nie wiemy, jak rozwinąłby się jego styl, jednak jego malarstwo sakralne staje się wzorem przedstawiania postaci. Zauważalny powrót do inspiracji malarstwem Rafaela daje się zauważyć w XVIII i XIX w., a zatem nie dziwi, że to właśnie dzieło tego twórcy przyciągnęło uwagę Adama Czartoryskiego na przełomie tych dwóch stuleci.

Rzadziej mówi się i pisze o Rafaelu jako o architekcie. Fascynacje te widać jednak także na jego obrazach, czego przykładem mogą być „Zaślubiny Najświętszej Maryi Panny", na których widać piękną, wzorowaną na budowlach antycznych wizję renesansowego budynku, inspirowaną najlepszymi dziełami Bramantego. Bramante był zresztą kuzynem Rafaela i polecił go papieżowi Leonowi X na stanowisko głównego architekta bazyliki św. Piotra.

Chociaż z dzieł architektonicznych Rafaela Santi zachowała się właściwie tylko kaplica sieneńskiego bankiera Agostino Chigi w kościele Santa Maria del Popolo w Rzymie, to budowla ta okazała się wzorem dla wielu innych obiektów w kolejnych stuleciach. To klasyczna renesansowa konstrukcja na planie greckiego krzyża z krótkimi ramionami, czterema łukami oraz wnękami na figury. Ze znanych budowli trzeba jeszcze wspomnieć rezydencję Villa Madama wzniesioną w 1516 r. dla kard. Giuliana Medyceusza, który w 1523 r. zasiadł w Stolicy Apostolskiej, przyjmując imię Klemensa VII. Z kolei pałac Branconio dell'Aquila znany jest tylko z rysunków, ponieważ rozebrano go w XVI w.

Wpływ Rafaela jako najważniejszego renesansowego klasycysty trudno przecenić, czerpały z niego kolejne klasycyzujące „renesansy" następujących po sobie epok artystycznych i stuleci. Czy obecność w polskich zbiorach „Portretu młodzieńca" miałaby dziś taki sam wpływ i oddziaływanie, jak działo się to w przeszłości? Bardzo możliwe, że nie. Żyjemy bowiem w epoce pod każdym względem niechętnej klasycznym formom. Z drugiej jednak strony klasycyzm nie jest tylko przeszłością, lecz także wciąż aktualną propozycją odnajdywania ładu, proporcji, realizmu. Dlatego też możliwość lub jej brak bezpośredniego obcowania z dziełami największych klasycystów ma znaczenie dla duchowości wspólnoty, dla jej kultury. W tym sensie wystawa zainicjowana przez prof. Jerzego Miziołka miała sens fundamentalny. Potrzebujemy odzyskać nasze rafaelowskie „okno" do głębszego świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Śmiech, łzy i brexit

W szeregach fanek prozy Jane Austen zapanowały szok, rozpacz i żałoba. Nowa wersja „Emmy" nie jest romantyczną komedią!

I pomyśleć, że kobiety kobietom to uczyniły, reżyseria i scenariusz są bowiem dziełem płci pięknej. Poprzednie adaptacje były pastelowe. Autumn de Wilde i Eleanor Catton wybrały barwy jaskrawe. Anglicy sprzed dwóch wieków szczerzą zęby, mówią i poruszają się w sposób przesadny, jednym słowem są karykaturalni. Nadęty pastor Elton, gadatliwa pani Bates, głupiutka i ślepo zapatrzona w Emmę Harriet, histeryczna Isabella i hipochondryczny pan Woodhouse (Bill Nighy rzadko się odzywa, lecz jego miny są bezcenne) tworzą wdzięczne tło dla miłosnego kontredansa z przewidywalnym finałem.

Rzecz dzieje się na granicy dwóch epok: rozważnej i romantycznej. Tę drugą reprezentuje panna Bates, wygrywająca na fortepianie posępne nokturny. Tytułowa bohaterka ma urodę tchórzofretki i naturę lwiątka salonowego. Wierzy, że rajfurzenie to najwspanialsza rozrywka pod słońcem, lepsza nawet od filantropii. Stojąc tyłem do kominka, podnosi suknię, by ogrzać zmarznięte lędźwie. Jej ekscentryczny sąsiad, pan Nightley, w ogóle źle się czuje w ubraniu. Najwyraźniej jest ono dla niego symbolem męczących konwenansów.

Panna Austen, gdyby ujrzała tę paradę pośladków, ani chybi dostałaby spazmów, albo przynajmniej – tak jak Emmie – krew pociekłaby jej z nosa. Obrazu dopełniają piękne wnętrza i zewnętrza, wspaniałe kostiumy (ach, te wysokie kołnierzyki!) tudzież muzyka rodem ze zgoła innej bajki. Niestety, im bliżej końca, tym częściej fabuła wpada w sentymentalne koleiny, wyżłobione przez serial z Ramolą Garai i film z Gwyneth Paltrow. Z ekranu leją się łzy rzęsiste, gdyż nie można bezkarnie igrać z miłością.

Angielskie kino kocha tradycję, nawet gdy szczerze jej nienawidzi. Dowcipy Monty Pythona są dobrym przykładem patriotyzmu, polegającego na bezprzykładnym szydzeniu z rodaków. Apogeum ojkofobii nastąpiło za rządów Margaret Thatcher, gdy pod pochmurnym niebem Albionu kręcono paszkwile w rodzaju „Szpitalu Brytania". Gdy nastał Tony Blair, wajcha została przestawiona w przeciwną stronę. Filmowcy ochoczo przyłączyli się do kampanii „Cool Britain", zaś produkcje przekonujące, że wyspiarze mają różne dziwactwa, lecz w gruncie rzeczy są bardzo fajni, biły rekordy powodzenia.

Mam wrażenie, że w dobie brexitu wiara twórców we własny naród została wystawiona na ciężką próbę. W wywiadach znów pojawiają się frazy o ludziach, którzy „używają rozumu w nieodpowiednim celu" (jakby powiedział pan Knightley). Nowa „Emma" to również film o nich. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. AUTUMN DE WILDE
„EMMA"
WIELKA BRYTANIA 2020

wyst. Anya Taylor-Joy, Johnny Flynn, Mia Goth

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „NAPRZÓD"

Dwudziesty drugi pełnometrażowy film ze studia Pixar to połączenie fantazji i obyczajowej satyry. Akcja rozgrywa się w magicznym świecie, który wygląda podobnie do współczesnej Ameryki – choć główni bohaterowie są elfami, to żyją w domku na przedmieściach, gdzie zdziczałe zwierzaki wyżerają resztki ze śmietnika (tyle że to jednorożce). Bracia wyruszą jednak na niebezpieczną wyprawę, by odzyskać ojca. Do reżyserii zabrał się Dan Scanlon, współtwórca sukcesu „Uniwersytetu potwornego". ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Naprzód" („Onward"), reż. Dan Scanlon, wyst. Tom Holland, Chris Pratt, Julia Louis-Dreyfus, USA 2020***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Sala samobójców. Hejter", reż. Jan Komasa, Polska 2020***
- ***„Tylko sprawiedliwość", reż. Destin Daniel Cretton, USA 2019***
- ***„Niewidzialny człowiek", reż. Leigh Whannell, USA 2020***
- ***„Cóż za piękny dzień", reż. Marielle Heller, USA 2019***

eprasa.pl a01f6cfe92

Ach, te wspomnienia

„Mój mąż jest lepszym kochankiem niż aktorem" – wyznaje córka. „Za to mój jest lepszym kucharzem niż kochankiem" – ripostuje matka.

„Prawda" to kino kobiece, panowie zostali zepchnięci na drugi plan. Pełnią funkcje usługowe: sekretarzują, gotują, dokonują drobnych napraw, asystują w sytuacjach towarzyskich. Lumir, chcąc wyjść z cienia Fabienne – wielkiej gwiazdy francuskiego kina, wyjechała do Ameryki. Teraz wraca, i jest wściekła po lekturze autobiografii rodzicielki, pełnej kłamstw i przemilczeń.

Fabienne, zatwardziała hedonistka, która „prawie zagrała u Hitchcocka", wydaje się niezniszczalna. Mieszka w domu z pięknym parkiem, blisko więzienia. Czy jest wiedźmą? Na pewno głęboko wierzy, że sztuka ją zbawi, zaś „codzienność się nie liczy". Dziwnym trafem pracuje właśnie nad rolą, w której emocje Lumir mogą okazać się bardzo pomocne.

Binoche (co dobrze o niej świadczy) nie próbuje stoczyć aktorskiego pojedynku z Deneuve, która ogrywa w „Prawdzie" swój publiczny wizerunek. W ostatnich latach dawna muza Polańskiego i Buñuela trochę się pogubiła. Przyjmowała propozycje, które powinna odrzucić, zaś jej twarz przypomina maskę. Koreeda rzucił gwieździe koło ratunkowe. Gdyby jeszcze darował sobie ostatnią scenę, film byłby prawdziwszy. A tak jest tylko dobry. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. HIROKAZU KOREEDA
„PRAWDA" („LA VÉRITÉ")
FRANCJA 2019

wyst. Catherine Deneuve, Juliette Binoche, Ethan Hawke

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PUSTY KOSMOS

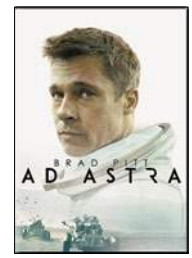

★★★★☆☆

REŻ. JAMES GRAY
„AD ASTRA"
USA 2019, DYSTR. IMPERIAL

wyst. Brad Pitt, Tommy Lee Jones

Ten film drażni i przykuwa jednocześnie. Jak na poważną fantastykę mnóstwo w nim bzdur niemożebnych (z naukowego punktu widzenia), jednocześnie jest jednak hipnotyzująco opowiedziany, zachwycający wizualnie i prowokujący do myślenia. Podróż astronauty McBride'a (świetny Brad Pitt) na krańce Układu Słonecznego zamienia się w coś na kształt rejsu do jądra ciemności, jak u Conrada i w „Czasie apokalipsy". Dużo tu o relacjach rodzinnych (McBride tropi swego zaginionego ojca), ale jest i szerszy kontekst, najciekawszy. Jeśli wszechświat jest zupełnie pusty, martwy, to jaki wniosek powinniśmy wysnuć? Popaść w rozpacz, podważyć sens własnego istnienia czy może zwrócić się ku jedynemu domowi – Ziemi – i jedynym, które są w kosmosie coś warte: miłości, przyjaźni, wierności?

W filmie Graya im dalej od Ziemi, tym bardziej tracimy zmysły, tym mniej jesteśmy ludzcy. Nie jest to dzieło w pełni udane, ale jakże piękna i ambitna to porażka! Przegapić jej nie wolno.

TYMCZASEM NA RANCZU

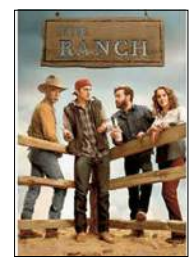

★★★★☆☆

SEZON 8
„RANCZO" („THE RANCH")
USA 2020, DYSTR. NETFLIX

wyst. Sam Elliot, Ashton Kutcher, Elisha Cuthbert

Finał świetnego sitcomu „Ranczo" (nie mylić z polskim serialem) przynosi odpowiedź na kluczowe pytania: czy Colt Bennett (Ashton Kutcher) jest w stanie dorosnąć i czy jego surowy ojciec, archetyp twardego farmera (Sam Elliott), potrafi nieco zmięknąć? Cztery sezony podzielone na osiem serii były ciekawą podróżą przez świat prowincjonalnych wyborców Trumpa, których serial Netflixa traktował ciepło i z sercem. To ludzie na wskroś uczciwi, ciężko pracujący, nieuchylający się od obowiązków wobec ojczyzny i wciąż robieni w bambuko przez wielkie korporacje. Łyżka dziegciu w beczce miodu – na koniec całkiem niepotrzebnie zaserwowano nam kilka fikołków: tyradę na temat szkodliwości broni palnej i absurdalny wątek lesbijski. Widać scenarzyści, wiedząc, że się z konserwatywnymi widzami żegnają, przestali udawać, iż się z nimi solidaryzują. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „BESIEGE"

★★★★★☆

„Besiege" to ciekawa gra logiczna z elementami symulacji, stworzona przez niewielkie studio z Wielkiej Brytanii. Naszym zadaniem jest zaprojektowanie z dostępnych „klocków" wymyślnych machin oblężniczych, które będą w stanie pokonać rosnące zastępy wroga. Czasem trzeba będzie obalić mury jego twierdzy, innym – zmierzyć się z... wieżą wysyłającą śmiercionośny promień, który można odbić za pomocą gigantycznego lustra, unikając ataków eksplodujących krów. Gra ma potencjał humorystyczny, stosunkowo niskie wymagania i dobrą fizykę przedmiotów. Plus? Nieskończone możliwości eksperymentowania z własnymi pojazdami. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Symulator/logiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Spiderling Studios*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *12+*

eprasa.pl a01f6cfe92

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Normalny dzień życia Marianny Bocian

Zajmującą lekturą jest tom wspomnień o Mariannie Bocian (1942–2003), niepokornej poetce związanej z Wrocławiem, a wywodzącej się z Podlasia, ze wsi Bełcząc, swojego ukochanego „gniazdowiska". Nie istniało dla niej – pisze w otwierającym tom tekście Jan Tomkowski – „większe zło niż zdrada, utożsamiana często z wynarodowieniem, kłamstwem, świadomym niszczeniem dobra i prawdy, zaprzeczeniem człowieczeństwa". To dlatego była nieprzejednaną antykomunistką.

Szokowała bezkompromisowością, mocnym słownictwem, w stanie wojennym w trakcie demonstracji rzucała kamieniami w ZOMO-wców, urągała ubekom, w pogardzie miała tych „kolegów" literatów, którzy współpracowali z władzami. Żyła ubogo, utrzymując się z pracy korektorskiej, bibliotecznej (w późniejszych latach zewsząd ją zresztą wyrzucano), udzielania korepetycji. W literaturze miała swoje wyraźne preferencje, hierarchię, która – znów odwołam się do Tomkowskiego – „niejednego historyka literatury czy krytyka literackiego wprawiłaby w zakłopotanie. Miłosz był przeciwnikiem, może nawet wrogiem, który w heglowskim tyglu dokonywał niedopuszczalnych machinacji, a mieszając dobro i zło, preparował relatywistyczną truciznę. Szymborska nie liczyła się w ogóle. A Różewicz. Ach, no cóż…".

Kto pozostawał? Może Karpowicz, może Lipska, na pewno Herbert. A i młodzi poeci, szczególnie ci prowincjonalni, których czytała „uważnie i z nadzieją". Zresztą oddajmy głos jej samej.

FOT. TADEUSZ DRANKOWSKI/PAP

Jan Stolarczyk swoje wspomnienie dokumentuje listem Marianny Bocian do Stanisława Gostkowskiego z 1973 r. Nie z lat 80. ani 90., ale właśnie z 1973 r. Oto on:

„Poza tym miałam ot taką drobną tu kiedyś dyskusję z Panią Szymborską [sic!], na tle której mam, niestety, od szkoły podstawowej uczulenie psychiczne! Jak słyszę jej nazwisko, to dosłownie na skórze dostaję wysypki! Kiedyś pół klasy, na czele ze mną, dostało po łbie, mieliśmy obniżone sprawowania, za to, że nie chcieliśmy recytować jej tekstów (»Towarzysze, przyjmijcie mnie do partii«). Doszło do skandalu, który aż się skończył w 1955 r. Parę osób nie uczęszczało nawet do szkoły za to, że pozwoliło sobie na uwagi, że co to za życzenia w stosunku do tych, jakie myśmy mieli na wargach (»Kiedy nasi ojcowie wrócą z więzień?«).

Powlokłam się, Panie Stanisławie, na to nieszczęsne [?] z tą poetką spotkanie i tylko się zapytałam, co było przyczyną jej maoizmu wczesno poetyckiego! No! Co tam się działo, nie mówiąc już o drugim dniu, kiedy wieść wdziała gumowe buty i zaczęła obiegać miasto piastowskie, w [Verso] którym taka krzywda spotkała wielką poetkę, której wiersze są śpiewane!

Urszula Kozioł, wezwawszy mnie, grzmiała, że to skandal nad skandale (o, jakże żałowałam, że całą szuflą publicznie nie wygarnęłam prawdy!), że jeśli chcę tu być, to (dosłownie!) »muszę sobie gębę w stosunku do starszej generacji twórców zamknąć na kłódkę!«. Takiej rozmowy nie miałam nawet z kapitanem MO, Jędrzejczakiem, który dba o mój kręgosłup etyczno-polityczny! Lekko mi się zrobiło, ale sobie gęby nie zamknęłam, tylko niepotrzebnie zaczęłam walić ręką w stół (potem mnie przez dwa dni bolała!). Tym to sposobem, zgodnie z kartoteką Jędrzejczaka, prezes wylała (urodziła!) opinię, że Bocian jeszcze jest niedojrzała (chyba do zamęścia!), nieodpowiedzialna zarówno w poezji, jak i współżyciu koleżeńskim. (Boże, jak bym śmiała hańbić się takim koleżeństwem! Przecież prostytutki są mi bliższe w swej świętości i człowieczeństwie niż taka grochowina dwunożna!).

Poza tym na to konto wywalono mi tomik z Czytelnika i jeszcze się obrażono, że opierdoliłam w kwadraty Matuszewskiego! Zwrócono mi uwagę, kim ja jestem, a kim jest Matuszewski! Bardzo miano mi za złe, że określiłam go »niżej kurwy«. Tak więc wygląda mój normalny dzień życia!".

„Nie bała się nikogo i niczego. Nigdy" – podsumował jej „normalne dni życia" Zbigniew Kresowaty. To najkrótsza i najcelniejsza rekapitulacja trudnej twórczej drogi Marianny Bocian. ©℗

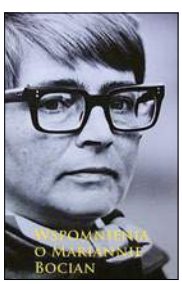

★★★★★★

POD REDAKCJĄ STEFANA BEDNARKA I JANA TOMKOWSKIEGO „WSPOMNIENIA O MARIANNIE BOCIAN" OFICYNA WYDAWNICZA ATUT 2019

eprasa.pl a01f6cfe92

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Cuda pana Andrzeja

Zamiast „Pan Pióro" mogłoby stać w tytule „Pan Tajemnica", bo to, co znajdziemy na stronach obszernej publikacji PIW, pokazuje dorobek Andrzeja Krazuego, który uchodzi uwadze czytelników znających go jedynie z rysunków prasowych. Tymczasem jego dorobek jest niewiarygodnie obszerny i wielce różnorodny. W historii czterech dekad kariery oddanej na stronach albumu znajdziemy i niezwykłe plakaty dla The Old Vic Theatre, i rysunki z „Guardiana" (całkiem inne od polskiej satyry Krauzego), i niezwykłe wycinanki, którymi zajął się w ostatnich latach, czy niepokojące tajemnicze obrazy drzew (miała już miejsce w Warszawie osobna wystawa tych prac).

Oddzielną część publikacji stanowią ilustracje do ukochanych książek artysty, narysowane z potrzeby serca i niepokoju duszy, bez żadnego zamówienia, „dla wymyślonych wydawców", jak mówi Krauze. Znakomite to prace, idące w kontrze do obiegowego odbioru książek. Ilustracje do „Pinokia" Collodiego są mroczne i okrutne, ilustracje do Kafki – barwne i lekkie, wszystkich zaskoczą też dzieła inspirowane utworami Boba Dylana. Wśród innych źródeł fascynacji Krauzego znalazły się „Niewidzialne miasta" Italo Calvino i frazy z Charles'a Baudelaire'a.

„Pan Pióro" to nie jest jednak zwykły album, bo prace uzupełnione zostały przez znakomite teksty. Przede wszystkim obszerny wywiad z twórcą (i jego małżonką, pokpiwającą, iż gdy się poznali: „Andrzej charakteryzował się tym, że aktywnie unikał pracy"). Ale mamy także krytyczną wypowiedź pisarza Patricka Wrighta („Niepokojący świat Krauzego"), krótkie wspomnienie redaktora „Guardiana" Alana Rusbridgera, komentarz do ilustracji książkowych, który napisał Davide Pugnana. Wojciech Stanisławski z kolei zajął się analizą obrazów drzew w eseju „Ksylobiblion".

Książka ta byłaby wspaniałym zakupem i bez okazji, tymczasem mamy do czynienia z podwójną przyjemnością – jej wydanie towarzyszy wystawie prac Andrzeja Krauzego w warszawskiej Zachęcie. Jej tytuł to „Lekcja fruwania", a otwarta została 21 lutego (tytuł taki sam jak filmu animowanego, który był pracą dyplomową Krauzego – klucza do jego twórczości). Niesamowite to doświadczenie.

Zatem kupujcie, czytajcie, odwiedzajcie, oglądajcie, szanowni czytelnicy. Wszystko w tej publikacji jest znakomite – autor, prace i szata edytorska. ©℗

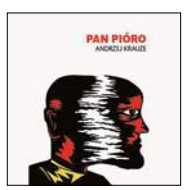

★★★★★★

ANDRZEJ KRAUZE „PAN PIÓRO" PIW 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerny wybór poezji Norwida w autorskim wyborze prof. Artura Grabowskiego. Nowy tom serii „Poeci do kwadratu", w której współcześni twórcy proponują własne subiektywne drogi poznania swych mistrzów.

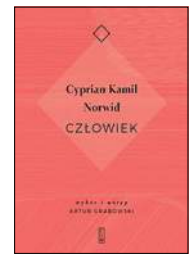

CYPRIAN KAMIL NORWID „CZŁOWIEK" PIW

Trzeci tom czteroczęściowego cyklu „Kwartet aleksandryjski", najważniejszy, bo kluczowy dla zrozumienia tego wybitnego artystycznego przedsięwzięcia. Opus magnum Lawrence'a Durrella wznowione w twardej oprawie.

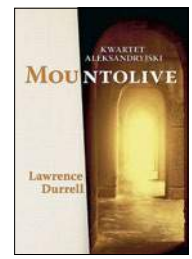

LAWRENCE DURRELL „MOUNTOLIVE" ZYSK I S-KA

Biografia Zygmunta Nowakowskiego, jednej z najbarwniejszych postaci Krakowa lat 30. XX w., aktora, dramaturga, wiceprezesa Cracovii. Po wojnie dziennikarza Wolnej Europy, nieprzejednanego antykomunisty.

PAWEŁ CHOJNACKI „REEMIGREJTAN" LIBRON

Klasyka w nowej edycji. Dwa pierwsze tomy cyklu „Księga Nowego Słońca", najwybitniejszego osiągnięcia Wolfe'a, w jednym woluminie („Cień kata" i „Pazur Łagodziciela"). Wysmakowana literacko fantastyka dla wymagających. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

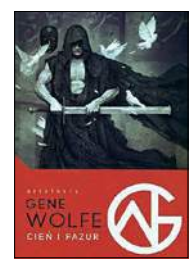

GENE WOLFE „CIEŃ I PAZUR" MAG

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Heather Morris „Podróż Cilki" (Marginesy) – kontynuacja „Tatuażysty z Auschwitz". Cilka po trzech latach w niemieckim piekle trafia do sowieckiego łagru.***
2. ***Lee Child „Zgodnie z planem" (Albatros) – 24. powieść o Jacku Reacherze. Autor żegna się z pisaniem, pałeczkę ma przejąć jego brat.***
3. ***Harlan Coben „O krok za daleko" (Albatros) – nowa powieść mistrza thrillera. Biały kołnierzyk z Wall Street ratuje uzależnioną od narkotyków córkę.***
4. ***Kristin Hannah „Nocna droga" (Świat Książki) – nowa powieść autorki „Słowika" i „Wielkiej samotności", historia obyczajowa z dodatkiem suspensu.***
5. ***Louisa May Alcott „Małe kobietki" (Poradnia K) – klasyka znów na księgarskich półkach, za sprawą świetnego filmu Grety Gerwig.***

(Najchętniej kupowane książki zagraniczne w Polsce od 9 do 15 lutego 2020 r. według Nielsen BookScan Polska)

eprasa.pl a01f6cfe92

Ballada na Eurowizji

FOT. NATASZA MŁUDZIK/TVP/FORUM

Alicja Szemplińska w kwietniu skończy 18 lat. W maju będzie reprezentowała Polskę w 65. Konkursie Piosenki Eurowizji. Przepustkę do Rotterdamu wywalczyła w specjalnym wydaniu „Szansy na sukces", bo w tym roku Telewizja Polska poprzez muzyczny show postanowiła wyłonić reprezentanta Polski.

Alicja na konkursowych scenach czuje się dobrze. W ubiegłym roku wygrała 10. edycję „The Voice of Poland", a przed kilkoma laty program „Hit! Hit! Hurra!". Napisać o 17-latce, że śpiewa od dziecka, to truizm. Zaczynała od występów w kościelnym chórze, na stronie „The Voice of Poland" Alicja zaznacza, że miała okazję rozwijać swój talent u „trenera wokalnego Michaela Jacksona – Setha Riggsa", a „jej największą inspiracją jest Jorja Smith, dzięki której zakochała się w soulu". Prywatnie jest uczennicą liceum ogólnokształcącego na Mazowszu.

W finale „Szansy na sukces. Eurowizja 2020", w którym widzowie mogli współdecydować o tym, które nazwisko zostanie wpisane na bilecie z Warszawy do Rotterdamu, Alicja Szemplińska mierzyła się z Kasią Dereń oraz Albertem Cerným. Kasia to półfinalistka „The Voice of Poland" z 2013 r., która w 2018 r. była już na Eurowizji, ale występowała wtedy w cieniu Gromeego i Lukasa Meijera. Albert Cerný też śpiewał na Eurowizji. W ubiegłym roku reprezentował w tym konkursie Czechy (urodzony w czeskim Trzyńcu, uczęszczał do polskiej szkoły podstawowej) i zajął 11. miejsce. Powtórzenie takiego wyniku dla Polski zostałoby uznane nad Wisłą za względny sukces (nawet dwójka z trójki jurorów „Szansy..." zajmowała gorsze miejsca podczas swoich występów na Eurowizji).

Jednak to Alicja zdobyła uznanie i telewidzów, i jurorów eliminacji w TVP. W Rotterdamie wystąpi z balladą „Empires". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Za stołem dobro jest

Płyta, na której rozmawiają król polskiej alternatywy Jacek „Budyń" Szymkiewicz i multiinstrumentalista Sebastian Pikula, rozpoczyna się od stwierdzenia: „Wzrasta dobro!".

Poezję śpiewaną szanować należy, ale słuchać jej z przyjemnością nie umiem. „Śpiewów zastolnych" wysłuchałem natomiast kilkakrotnie, i to z zauroczeniem. Budyń (Pogodno, Baba Król) jest bowiem autorem niebanalnym. Na „Śpiewach" w wysmakowany sposób, ale bez patosu i udawanego wzruszenia, rozważa on o codzienności („Jak swędzi strach?"). Jak nikt inny bawi się językiem, składając słowa w zaskakujące treści, które dźwięczą wieloznacznością. Bohaterem jest podglądacz przyznający, że: „Jestem entuzjastą życia, zwłaszcza kiedy do spożycia ktoś zaprasza mnie".

Budyń za stołem znalazł idealnego kompana. Sebastian Pikula, badacz muzyki tradycyjnej, w kapitalny sposób włącza się do rozmowy poprzez układane nuty. Gra je na fortepianie, fisharmonii, cymbałkach czy plastikowej rurce. Do dyskusji wtrącają się goście: wiolonczela (Jan Czaja), trąbka (Antoni Gralak), baraban (Bartek Woźniak) i głosy (Adrianna Styrcz, Krzysztof Zalewski). Po 32-minutowym biesiadowaniu „zdaje się, że miejsca coraz mniej […], a coraz więcej wstrząsających jest idei na wakacje tanie w Grecji / zdaje się, że miejsca coraz mniej i nawet mówią, że już czas się bać / zdaje się, że miejsca coraz mniej, a przecież dla ścisłości miejsca coraz mniej wolnego". ©℗

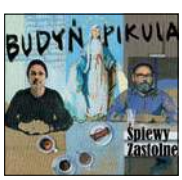

★★★★★☆

BUDYŃ/PIKULA
„ŚPIEWY ZASTOLNE"
MYSTIC

★★★☆☆☆

OZZY OSBOURNE
„ORDINARY MAN"
EPIC RECORDS

71-letni, schorowany Ozzy we wstępie oświadcza: „Prosto do piekła". Potem jest równie przewidywalnie – ostre gitarowe riffy, monumentalne fortepianowe ballady i znani goście. O ile tytułowy duet z Eltonem Johnem zaciekawia, o tyle „popisy" z raperem Post Malone żenują.

★★★★☆☆

KABARET OWCA
„DLA MNIE BOMBA"
GAD

Kabaret Jerzego Dobrowolskiego z udziałem Pokory, Stockingera, Turka i Nowaka wyśmiewał socjalistyczny konformizm. Teksty pisali lider oraz Stanisław Tym i Andrzej Bianusz. Zapis występu pochodzącego z 1968 r. odkryto w archiwach Radia Olsztyn. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

ZAPRASZAMY
MŁODYCH
DZIENNIKARZY

TERMIN NADSYŁANIA
ZGŁOSZEŃ 15.03

CZŁO-WIEK Z PAS-JA

NAGRODA DZIENNIKARSKA
IM. ZYGMUNTA MOSZKOWICZA
TRZECIA EDYCJA

NAGRODA DZIENNIKARSKA IM. ZYGMUNTA MOSZKOWICZA

TO INICJATYWA PORTALU INTERIA, KTÓREJ CELEM JEST WSPIERANIE MŁODYCH, UTALENTOWANYCH DZIENNIKARZY.

WWW.CZLOWIEKZPASJA.PL

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Z prof. Antonim Dudkiem, politologiem i historykiem
rozmawia Kamila Baranowska

PiS nie rządzi dziś samodzielnie

KAMILA BARANOWSKA: Czy Andrzejowi Dudzie jako urzędującemu prezydentowi łatwiej jest prowadzić kampanię niż pięć lat temu czy wręcz przeciwnie?

PROF. ANTONI DUDEK: Moim zdaniem bez porównania trudniej, nawet pamiętając, że pięć lat temu Andrzej Duda nie był faworytem, bardzo ciężko pracował, a na koniec odniósł olbrzymi sukces. Fakty są takie, że mieliśmy w Polsce kilku prezydentów i tylko jednemu – Aleksandrowi Kwaśniewskiemu – udało się wywalczyć reelekcję. Wiemy, że Lech Kaczyński nie stanął do walki o drugą kadencję z powodu katastrofy smoleńskiej, ale sondaże nie były dla niego dobre i to byłaby dla niego bardzo trudna kampania, niekoniecznie zwieńczona sukcesem. Okazuje się zatem, że zdecydowanie trudniej jest wywalczyć w Polsce reelekcję niż zdobyć prezydenturę po raz pierwszy.

Z czego to wynika?

W Polakach jest coś takiego, że nie lubimy mieć zbyt długo tej samej władzy. Szybko się nużymy rządzącymi i to będzie problem PiS w drugiej kadencji: czym przekonać wyborców, by dali im jeszcze dłużej rządzić. To jednak dalsza przyszłość, na razie z punktu widzenia PiS najważniejsze jest, by Andrzej Duda wygrał wybory, bo jeśli nie da rady tego zrobić, to PiS najprawdopodobniej nie przetrwa pełnej drugiej kadencji.

Jak radzi sobie Andrzej Duda w tej kampanii? Bo na razie nie idzie mu ona tak dobrze jak pięć lat temu.

Nie idzie tak dobrze, ale najważniejsze dopiero przed prezydentem, bo decydująca będzie druga tura. W poprzednich wyborach Andrzej Duda walczył najpierw o to, żeby wejść do drugiej tury, żeby ona się w ogóle odbyła, a potem, by ją wygrać. Teraz wejście do drugiej tury ma zagwarantowane, bo dzisiaj mało kto zakłada, że wygra w pierwszej turze, to byłaby duża sensacja. Prawdziwa walka rozegra się więc w drugiej turze. I na dziś zasadnicze pytanie brzmi: Czy to będzie wybór prezydenta, czy też plebiscyt oceniający całokształt pięcioletnich rządów PiS? Jeśli to będzie wybór prezydenta w sensie osobowości, to dla Andrzeja Dudy jest to dobra wiadomość, bo w bezpośrednim zestawieniu powinien mieć przewagę nad Małgorzatą Kidawą-Błońską, zwłaszcza w debatach. Jeżeli natomiast zadziała mechanizm plebiscytu, to wtedy to, co powiedzą Andrzej Duda czy Małgorzata

eprasa.pl a01f6cfe92

Kidawa-Błońska, będzie wtórne wobec tego, jak się zachowają dwie ogromne grupy wyborców, które będą głosować albo za kontynuacją rządów PiS, albo przeciwko niej. Nikt nie potrafi dziś powiedzieć, jak zachowa się te ok. 10 proc. wyborców, które na koniec zdecydują o tym, kto wygra. To ci, którzy podejmują decyzję w ostatniej chwili i dzisiaj sami jeszcze nie wiedzą, co zrobią w połowie maja.

Skuteczna kampania PiS czy Koalicji Obywatelskiej mogłaby ich przekonać?

Sztaby z pewnością będą próbowały to zrobić. Sztab Andrzeja Dudy pewnie skupi się na tym, by przekonywać wyborców, zwłaszcza tych niezdecydowanych, że prezydent jest samodzielny. Dzisiaj największą słabością prezydenta jest dość powszechne przekonanie, że wszystkim i tak rządzi Jarosław Kaczyński, a Andrzej Duda jest tylko jednym z jego ludzi. Przy czym Kidawa-Błońska też będzie miała podobny problem, bo nie funkcjonuje jako polityk samodzielny, niezależny od partii. W tym sensie szansą obecnego prezydenta jest to, że Małgorzata Kidawa-Błońska nie ma tego czegoś, co tchnęłoby nadzieję w wahających się wyborców, że akurat ona będzie mniej partyjnym prezydentem. Przypuszczam, że różnice w końcowych wynikach będą tak niewielkie, że do ostatniej chwili nie będzie wiadomo, na czyją korzyść przechyli się szala zwycięstwa.

Z tej perspektywy Andrzej Duda już dziś powinien walczyć o wyborców niezdecydowanych czy teraz grać na mobilizację twardego elektoratu, a po pierwszej turze zabiegać o tych bardziej umiarkowanych?

Do grudnia ubiegłego roku zakładałem, że wybierze ten ostatni scenariusz. Po czym mieliśmy wiele wypowiedzi i zachowań prezydenta, które szły w przeciwnym kierunku, zwłaszcza w temacie reformy wymiaru sądownictwa. Wtedy sformułowałem tezę, że prezydent chce dokonać przejęcia elektoratu Konfederacji i Krzysztofa Bosaka, licząc być może na wygraną już w pierwszej turze. Udało się połowicznie, bo – owszem – Bosakowi poparcie nie rośnie, ale prezydent nadal ma ponad 40 proc. i perspektywę drugiej tury przed sobą. Zakładam teraz, że widząc to, prezydent powróci do prób pozyskiwania centrowych wyborców.

Czy to mu się uda?

Będzie miał z tym problem. Nie pomaga mu sytuacja związana z sądownictwem, a będziemy mieć kolejne odsłony tego konfliktu, bo za chwilę czeka nas decyzja TSUE w sprawie zabezpieczenia, a potem wybory pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. Jednak to jeszcze nie jest sprawa przesądzająca, bo gdyby konflikt wokół sądownictwa miał decydujące znaczenie, PiS nie wygrałby żadnych z trzech ostatnich wyborów, gdy ten konflikt był równie silny. Pamiętajmy jednak, że wybory prezydenckie są najbardziej nieprzewidywalnymi wyborami, bo decydują w nich często drobiazgi dość irracjonalne albo wydarzenia na pierwszy rzut oka politycznie nieistotne. Na przykład rozmiary epidemii koronawirusa i poziom przygotowania aparatu państwa na to wydarzenie.

> **To, co przez pięć lat PiS był w stanie robić najskuteczniej, to formułować obietnice socjalne i je spełniać, dzięki czemu osiągnął rekordowy poziom poparcia**

W PiS pokutuje przekonanie, że spór wokół sądownictwa mobilizuje wyborców PiS, a wiadomo, że w wyborach parlamentarnych pełna mobilizacja twardego elektoratu okazała się kłopotem.

To bardzo ważny aspekt, na ile uda się prezydentowi zmobilizować rezerwy wyborców PiS, zwłaszcza tych z mniejszych ośrodków, żeby tam była wyższa frekwencja niż w dużych miastach, co jest bardzo trudne, bo zwykle jest odwrotnie. Jak to zrobić? Najłatwiej kolejnymi obietnicami socjalnymi. Na razie one jeszcze nie padły, poza napomknięciem przez prezydenta już nie tylko o 13. i 14., lecz także nawet 15. emeryturze. PiS, zdaje się, cały czas analizuje sytuację i nie chce obiecać za dużo z obawy o stan budżetu. Natomiast zakładam, że jakieś obietnice socjalne – mówi się choćby o emeryturze stażowej – prezydent trzyma w zanadrzu, żeby je rzucić na finiszu kampanii, czyli już po pierwszej turze jako element przeważający szalę na jego korzyść. Trzeba przyznać, że to, co przez tych pięć lat PiS był w stanie robić najskuteczniej, to formułować obietnice socjalne i je spełniać, dzięki czemu osiągnął rekordowy poziom poparcia 43 proc., jak pokazały ostatnie wybory parlamentarne. Sęk w tym, że prezydent Duda będzie potrzebował jeszcze więcej, i na tym polega problem wyborów prezydenckich. Tutaj siła elektoratu negatywnego jest olbrzymia i jeśli prezydent Duda będzie miał większy elektorat negatywny niż Małgorzata Kidawa-Błońska, to żadne obietnice socjalne nie pomogą.

Czy jednak przesądzone jest to, że to Małgorzata Kidawa-Błońska zmierzy się z Andrzejem Dudą w drugiej turze?

Na razie nic nie wskazuje na to, by miało być inaczej. Jednak decydujący w tym względzie będzie marzec, bo jeszcze do początków kwietnia hipotetycznie ktoś może panią Kidawę-Błońską w sondażach dogonić, choć z tygodnia na tydzień będzie to coraz mniej prawdopodobne. Ona ma bowiem od dwóch miesięcy dość stabilną przewagę ok. 10 punktów procentowych nad resztą pretendentów, więc nie sądzę, by to się nagle zmieniło. Zwłaszcza że jak dotąd w tych wyborach sondaże generalnie są dość stabilne. Nie przypominam sobie kampanii prezydenckiej, w której przez trzy miesiące (licząc od początku grudnia) byłyby tak niewielkie zmiany w preferencjach.

Był jeden sensacyjny, pokazujący, że Władysław Kosiniak-Kamysz wygrywa z Andrzejem Dudą w drugiej turze. Tylko że szanse lidera PSL na drugą turę są raczej marne.

Nie byłyby tak marne, gdyby nie kandydatura Szymona Hołowni. Gdyby nie on, Kosiniak-Kamysz miałby przypuszczalnie kilkanaście procent i szansę, by dogonić panią Kidawę-Błońską. I rzeczywiście byłby dla Andrzeja Dudy dużo trudniejszym przeciwnikiem. Swoją drogą myślę, że ci, którzy zrobili latem ubiegłego roku badania i uznali, że Hołownia ma duże szanse w tych wyborach, podeszli do tematu nazbyt optymistycznie. Wydaje mi się bowiem mało prawdopodobne, aby prezydentem w najbliższej przyszłości został ktoś niepopierany przez partię z kartelu czterech formacji, czyli PO, PiS, SLD, PSL. Podejmowane od kilkunastu lat próby przełamania dominacji kartelu przez Leppera, później Palikota, wreszcie Kukiza zakończyły się fiaskiem. Hołownia przypuszczalnie też padnie ofiarą tego mechanizmu.

Fakt, że główna kontrkandydatka Andrzeja Dudy jest kobietą, może mieć znaczenie?

Jest pewien odsetek wyborców, także płci żeńskiej, który uważa, że

eprasa.pl a01f6cfe92

prezydentem powinien być mężczyzna. Można się oburzać, że to stereotyp, ale prawda jest taka, że to ma znaczenie. Przy czym to nie jest coś charakterystycznego wyłącznie dla Polski, podobnie było i jest w USA oraz w wielu innych krajach. Chociaż oczywiście mamy już ileś prezydentek, więc widać, że powoli się to zmienia, ale akurat Polska pod tym względem wydaje mi się ciągle bardziej konserwatywna. Bycie mężczyzną daje zatem pewien plus, ale nie przesądza, że Andrzej Duda wygra z Małgorzatą Kidawą-Błońską, bo jeśli zadziała wspomniany mechanizm plebiscytu, to może to mieć mniejsze znaczenie.

Czy Andrzej Duda może liczyć na coś takiego jak wdzięczność wyborców – za „500+", obniżenie wieku emerytalnego, 13. emeryturę, podwyżkę stawki godzinowej etc. – czy to płonne nadzieje sztabowców?

Mechanizm wywoływania wdzięczności już jest wykorzystywany, ale nie jesteśmy w stanie ocenić poziomu jego skuteczności. Sztab Dudy i wspierające go media od dawna grają narracją pt. „Oni wam to wszystko zabiorą", ale trzeba pamiętać, że PiS ma olbrzymi elektorat negatywny, który przekłada się na Andrzeja Dudę, bo prezydentowi nie udało się pokazać, że jest kimś odrębnym od PiS. I o ile wyborcy, nazwijmy ich socjalnymi, pewnie nie poprą Małgorzaty Kidawy-Błońskiej ani nikogo innego z opozycji, o tyle istnieje ryzyko, że zostaną w domu. I o to się toczy gra, aby ich zmobilizować do głosowania, aby poszli i przeważyli wyborców wielkomiejskich, głosujących na kandydatkę Koalicji Obywatelskiej oraz innych centrowych i lewicowych. Podejrzewam bowiem, że Andrzej Duda uzyska słabe wyniki w wielkich miastach. Trzy ostatnie wybory pokazały, że wielkie miasta gremialnie odrzucają PiS. Główna polaryzacja idzie dziś po linii wielkie miasta kontra reszta kraju, a że w reszcie kraju mieszka większość Polaków, to dla PiS i Dudy jest to dobra wiadomość. O ile ta większość Polaków się zmobilizuje.

Spodziewa się pan rekordowej frekwencji w tych wyborach?

Sam jestem ciekaw, jaka będzie mobilizacja, bo wydaje mi się, że najsilniejsze emocje mogliśmy obserwować w ubiegłym roku przy okazji wyborów do Parlamentu Europejskiego. Zwłaszcza po stronie anty-PiS. Później część wielkomiejskiego elektoratu poczuła się przegrana i oszukana, bo uwierzyli, że te wybory są do wygrania. Do niedawna spodziewałem się, że padnie rekord frekwencyjny, ale im dłużej patrzę na tę kampanię, tym więcej mam wątpliwości, bo wciąż mało jest w niej naprawdę silnych emocji. A tym, co powoduje, że ludzie zwykle niegłosujący idą do urn, są emocje. Trudno zbudować emocje na geście posłanki Lichockiej czy na tym, że pani Turczynowicz-Kieryłło kogoś tam ugryzła, a tym usiłuje grać opozycja. To nie są poważne sprawy.

Akurat gest posłanki Lichockiej to z punktu widzenia opozycji obrazek, którym można grać przez całą kampanię.

Wracamy do odpowiedzi na pytanie, czy ostatecznie wybory będą plebiscytem, czy jednak wyborem osobowości. Jeśli to pierwsze, to gest Lichockiej może mieć pewne znaczenie, ale jeśli to drugie, to niespecjalnie, bo posłanka Lichocka nie jest z Andrzejem Dudą związana i trudno to bezpośrednio połączyć. W tym sensie pani Turczynowicz-Kieryłło jest większym problemem, bo to, że wydarzenia z jej przeszłości stają się tematem kampanii, jest niepoważne i niekorzystne dla prezydenta. Natomiast cała ta historia z nią związana jest na tyle kuriozalna, że nie sądzę, by ciągnęła się dłużej niż tydzień czy dwa.

> **Trudno zbudować emocje na geście posłanki Lichockiej czy na tym, że pani Turczynowicz-Kieryłło kogoś tam ugryzła, a tym usiłuje grać opozycja. To nie są poważne sprawy**

A nie jest tak, że problemy z kampanią prezydencką biorą się w dużej mierze z problemów w samej Zjednoczonej Prawicy? Tarcia między koalicjantami co do wizji, strategii, wpływów, personaliów. Nawet Kaczyńskiemu trudno nad tym zapanować.

Jarosław Kaczyński popełnił latem ubiegłego roku poważny błąd, gdy układał listy wyborcze. Zbagatelizował wówczas potencjał swoich przystawek. Można się było spodziewać, że po majowym triumfie PiS w wyborach do PE panowie Gowin i Ziobro dostaną propozycje nie do odrzucenia, które w praktyce będą oznaczały, że ich formacje zostaną w następnej kadencji kompletnie zmarginalizowane. Tymczasem okazało się, że ich ludzie dostali na tyle dobre miejsca wyborcze, że wypadli znacznie lepiej niż w 2015 r. W efekcie PiS ma dwie 18-osobowe drużyny i bez żadnej nie może rządzić. To znacząco zmieniło układ sił w obozie władzy i mówienie dziś, że PiS rządzi samodzielnie jest pewnym nadużyciem. PiS rządził samodzielnie w poprzedniej kadencji. Teraz rządzi w koalicji z dwoma małymi, ale jednak odrębnymi podmiotami.

Czyli mamy rząd koalicyjny?

Tak, to jest tak naprawdę dzisiaj rząd koalicyjny i to będzie się coraz ostrzej rysowało. Nawet jeżeli Andrzej Duda wygra wybory, to obecna kadencja rządów Zjednoczonej Prawicy będzie wyglądała inaczej niż poprzednia. Małe partie koalicyjne, aby przetrwać na scenie politycznej dłużej i stać się dla PiS stałym partnerem, będą stale musiały zaznaczać swoją odrębność. Pamiętajmy jeszcze o samym prezydencie, który po ewentualnej drugiej kadencji nie będzie mógł już kandydować, a będzie wciąż w sile wieku i być może będzie chciał pozostać na scenie politycznej. Dlatego nie wykluczam, że w trakcie drugiej kadencji może chcieć w końcu zbudować sobie jakieś własne polityczne zaplecze – być może właśnie w oparciu o Porozumienie Jarosława Gowina.

A może taki rząd koalicyjny ze swoją różnorodnością da się przekształcić w atut? Wychodzi na to, że PiS ma własną wewnętrzną opozycję, która jest skuteczniejsza niż wszystkie partie opozycyjne razem wzięte.

Jednak tylko pod warunkiem zgodnej współpracy wszystkich trzech podmiotów, z których każdy reprezentowałby nieco inną część elektoratu, łącznie składając się na te 40–45 proc. głosów, które trzeba realnie dostać jako koalicja, aby mieć większość w Sejmie. To się Kaczyńskiemu, Ziobrze i Gowinowi udawało w latach 2015–2019, bo zawsze ostatnie słowo miał ten pierwszy, ale nie założyłbym się o to, że ten układ zdoła przetrwać kolejne cztery lata. Po pierwsze dlatego, że widać już objawy jego zużywania się, a po drugie, ponieważ wybory z lat 2018–2019 nie pokazały jakichś wyraźnych odrębnych grup elektoratu, które byłyby przywiązane akurat do Solidarnej Polski czy Porozumienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Lepiej, czyli gorzej

Mam taki ulubiony cytat z Tacyta, który o chwilowym cesarzu Galbie napisał mniej więcej takie słowa: „Wydawało się, że był stworzony do rządzenia, dopóki nie rządził".

Tę cudnie przenikliwą myśl można by nieco zmodyfikować przy okazji obecnej kampanii wyborczej i wtedy brzmiałaby ona tak: „Wydawało się, że będzie wspaniałym politykiem, dopóki nie zaczął kampanii wyborczej".

Politycy to najwspanialszy chłopiec do bicia, jaki istnieje we wszechświecie. Można ich krytykować bez umiaru, walić jak w bęben, wyśmiewać głupotę, piętnować obłudę, grzmieć na niekompetencję, wytykać ignorancję. Politycy znoszą to z dość dużą pokorą, wbito im do głów, że prawo do ich krytyki to cena, którą płacą za swoje przywileje.

W bezpardonowej krytyce polityków oczywiście specjalizują się dziennikarze. Taka rola. Ale krytykowanie jest łatwe. Umówmy się – to najprostsza rzecz na świecie. Dlatego myśl, że można robić coś lepiej od tych, których się krytykuje, jest co prawda powabna, ale niebezpieczna. Boleśnie przekonuje się teraz o tym Szymon Hołownia, który uznał, że może być lepszym politykiem od tych już istniejących.

Tymczasem on i jego ekipa kompromitują się już na etapie kampanii. Porażka goni porażkę, wpadka goni wpadkę. Brak logiki, konsekwencji, wiedzy. Nie chcę się znęcać, bo zaraz dojdę do wniosku, że sam zrobiłbym to lepiej, i rozpocznę karierę polityczną. Ale ten wywiad dla Onetu, w którym Hołownia i jego ludzie poprawiają pytania dziennikarzy, to jest coś, co jak w soczewce ukazuje istotę problemu. Przecież Hołownia to dziennikarz, jego sztab to też ludzie z mediów. Szefem kampanii jest bodaj Michał Kobosko, a więc człowiek o ogromnym medialnym doświadczeniu. Jeszcze dwa miesiące temu sami oburzaliby się na wieść o tym, że jakiś polityk gmera w pytaniach, i labiedziliby, jak w ogóle można było o tym pomyśleć. Tyle że politycy wcale tego nie robią. Robią to oni – ludzie mediów, którzy mieli dość beznadziejnych polityków i postanowili zająć ich miejsce. I okazują się jeszcze gorsi.

Nie chcę bronić polityków. Obserwuję ich od wielu lat i widzę, że ich poziom się obniża, a w obecnym Sejmie jest przynajmniej jedna posłanka, która nie wiedziała, ilu posłów liczy ciało, do którego kandydowała. Jednak myślenie, że „ja bym to zrobił lepiej", świadczy o braku pokory. Łatwo być mądralą do momentu, kiedy się nic nie robi. Potem jednak człowiek zaczyna kampanię i robi to na tle wielkiego napisu „Dlaczego i po co?" i dopiero jak ludzie zaczynają kpić, że dość głupio to wyszło, dziwi się, że nie przewidział tej dwuznaczności. A potem jest już tylko gorzej.

Jest taka zagadka: Czym się różni dziennikarz od impotenta? Niczym. Obaj wiedzą jak, ale nie potrafią. Może to nie Tacyt, ale też celne. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Bezprawie prawa

Wbrew pozorom nie zamierzam pisać o polskim sądownictwie. Pod wieloma względami sytuacja u nas jest wielokrotnie lepsza niż w wysokorozwiniętych krajach, w których wszystko usiłuje się rozstrzygać na drodze prawa, pokonując wielokrotnie szczyty absurdu. Prawo dawno wkroczyło tam, gdzie dotąd wystarczały kultura, przyzwoitość, dobre obyczaje, normy towarzyskie, władza rodzicielska.

Ktoś poparzył się kawą w barze szybkiej obsługi i wyprocesował milionowe odszkodowanie, bo nie był poinformowany o możliwym zagrożeniu. Dawniej wystarczyłyby przeprosiny, ewentualnie kawa na koszt firmy, a na przyszłość wywieszka: „Kretynów nie obsługujemy!". Na ulicy w USA lekarz obawia się udzielić pierwszej pomocy, bo, po pierwsze, leżący na ziemi nieborak może nie być ubezpieczony, a po drugie może oskarżyć o złą terapię i puścić go z torbami.

Inwazja prawa wtargnęła też do życia intymnego. Już dziś co ostrożniejsi obywatele na randkę umawiają się w towarzystwie prawników, romanse biurowe są zakazane, coraz trudniej nagrywać filmy, gdyż potencjalne gwiazdy tylko dybią, aby oskarżyć producenta czy reżysera o molestowanie. Kiedyś nazywało się to podrywaniem, a łóżko było nieodłącznym elementem angażowania (skądinąd obu stron). Dzisiaj w rozerotyzowanym świecie wraca pruderia. Oczywiście nie dla zasad, a dla kasy. W dodatku – czy prawo jest obiektywne? Pouczające są przypadki Johnny'ego Deppa z byłą żoną, która biła go systematycznie, a w sądzie oskarżała o przemoc domową i pewnie by wygrała, gdyby „pirat z Karaibów" nie dokumentował skrzętnie działania swej partnerki, skądinąd działaczki #Me Too!

Świat oddany w ręce prawnikom okazuje się światem bezmyślnym. Ile gorsze od życia w rodzinie pochopnie uznanej za patologiczną jest oddanie dzieci rodzinom zastępczym? Ile oskarżenie oparte na zeznaniach wyłącznie ofiary, i to często po wielu latach, okazuje się krzywdą dla oskarżonego, który nie jest w stanie się bronić?

Także molestowanie bywa często oparte na urojeniach i nie bierze pod uwagę, że my, mężczyźni, o innej wrażliwości i reakcji na bodźce, poddawani jesteśmy nieustannej molestacji przez strój, makijaż i styl bycia pań. Jeśli kobiety nie chcą adoracji, hołdów czy seksistowskich żartów, to niech chodzą w burkach, wyłącznie w towarzystwie opiekuna. A swoją drogą, gdyby w USA wprowadzić cennik opłat prawnych, np. widełki 50–500 dol., bez udziału adwokata w zyskach z odszkodowania, świat od razu by mocno znormalniał. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

debata DO RZECZY

Piotr Semka

Łatwe etykietowanie za pomocą określenia „zdrajca Polski" kojarzy się wielu Polakom z szukaniem zwady i obrażaniem ludzi. Trzeba znajdować rozsądny język polityki, by docierać do elektoratu centrowego

Lepiej bronić suwerenności

Jeśli pojęcie »zdrada narodowa« w ogóle ma cokolwiek znaczyć, to opozycja totalna budując wyborczy program na postulacie uznania nadrzędności prawa europejskiego nad krajowym, tej właśnie zbrodni się dopuszcza" – tak brzmi początek tekstu „Zdrada" Rafała A. Ziemkiewicza („Do Rzeczy" 9/2020).

Mój redakcyjny kolega, jak zwykle niezwykle ostrym piórem, zachęca do dyskusji na temat sensu słowa „zdrada" w odniesieniu do dzisiejszej polityki polskiej.

Zabierając głos w tej debacie, chcę od razu skrótowo zarysować moje stanowisko: problem istnieje, ale niełatwo jest odpowiedzieć, jakim językiem o tym problemie dyskutować.

Poczułem się raźniej, gdy obok tekstu Rafała odnalazłem wywiad z Markiem Jurkiem. Wskazał on, że „zdrada stanu to przestępstwo i zawsze trzeba chronić przed nim państwo. Nie należy natomiast tego pojęcia nadużywać w bieżącej debacie politycznej. [...] jeśli ktoś chce poważnie komuś stawiać zarzut zdrady stanu, to powinien to robić w prokuraturze", a ten dwugłos pokazuje, z jak skomplikowanym zjawiskiem mamy do czynienia. W największym skrócie wynika on z rozchodzenia się teorii i praktyki Unii Europejskiej. Ma rację Rafał A. Ziemkiewicz, pisząc, że pojawienie się polaryzacji nadrzędność prawa krajowego kontra przewaga prawa unijnego „cofa debatę publiczną o kilkanaście, jeśli nie o całe 30 lat".

ŁADNE OPAKOWANIE

Skąd akurat data 1990 r.? Otóż wyrywając się 30 lat temu z dawnego bloku sowieckiego, zerkaliśmy ku wspólnocie europejskiej jako modelowi łączącemu suwerenność poszczególnych państw z mądrze pomyślaną współpracą i unifikacją. I tak naprawdę było. Ówczesna EWG, a potem od 1993 r. Unia Europejska, była bardzo atrakcyjnym wzorcem. Tyle że od tego czasu zaczęły się mnożyć tendencje do narzucania krajom unijnym jednego federalistycznego prawa. Zmiany te przebiegały tak wolno i subtelnie, że trzeba było ostatnich kryzysów, np. prób narzucenia kwot uchodźców czy poszerzania swojej władzy przez Komisję Europejską, by te tendencje zaczęły być zauważalne.

Jednak są one cały czas opakowywane w celofan szczytnych haseł o wartościach europejskich. A obok cichego, ale skutecznego zamieniania idei europejskiej w wehikuł do egzekwowania np. zmian w obyczajowości było mnóstwo wydarzeń, które setki tysięcy Polaków mogą wspominać jak najlepiej. Słynny już program Erasmus, brak kontroli na granicach czy swoboda podejmowania pracy przyniosły satysfakcję i zarobek wielu Polakom. Jednak – jak się okazuje – każdą instytucję i każdą ideę można skompromitować, próbując mało szlachetnych działań pod wspaniałymi auspicjami.

I to spowodowało pojawienie się dwóch nurtów: globalistów i lokalistów. Jeden z niewielu polskich politologów, którzy zechcieli poruszyć ten temat – dr Michał Kuź – opisał to bodaj najtrafniej: „Nowe podziały polityczne przebiegać muszą teraz na linii państwowa lokalność vs. globalizm oraz kulturowe zakorzenienie vs. kosmopolityzm. [...] Globaliści to przy tym ci, którzy opowiadają się za niczym nieskrępowanymi rynkami i rytualną już w dużym stopniu demokracją, a przeciw suwerenności politycznej, dającej słabszym członkom społeczeństwa realną ochronę przed gospodarczymi zawirowaniami. Lokaliści to zaś ci, którzy wybierają suwerenność w ramach tradycyjnych podmiotów politycznych i są zwolennikami zahamowania gospodarczej globalizacji.".

Aby sytuację jeszcze skomplikować, w dzisiejszej Unii działania globalistów bardzo często zbiegają się z interesami dwóch największych unijnych graczy – Francji i Niemiec. Ci, którzy na serio traktowali integrację jako sojusz równych z równymi, zaczęli dostrzegać, że bardzo wiele zasad nie stosuje się do polityki Paryża lub Berlina, za to jest surowo egzekwowanych wobec mniejszych państw, szczególnie tych z Europy Wschodniej.

eprasa.pl a01f6cfe92

TEMAT TYGODNIA

Zdrada

Rafał A. Ziemkiewicz

INTERES OPOZYCJI PONAD NARODEM

NARZUCANIE ZWIERZCHNICTWA

Jeśli główny postulat opozycji zostałby zrealizowany, to Polska stałaby się terytorium zależnym, autonomicznym, ale rządzonym przez obcych

FOT. TRAX

19

niż szafować etykietkami

Ponieważ proces ten odbija się na setkach różnych spraw, nawet jego krytycy potrafią być przyłapywani na niekonsekwentnym stosunku do faktycznej globalizacji. Uderza to np. w PiS, który dziś oburza się na „donoszenie na Polskę", a w swoim czasie starał się upublicznić i umiędzynarodowić swoje pretensje wobec platformerskiej władzy. Marek Jurek ma rację, kiedy wskazuje: „Bardzo od tego kolegów odwodziłem nawet wcześniej, gdy składali skargi na PSL-owską telewizję. Mówiłem im: nie uprawomocniajcie takich apeli, które jutro uderzą w Węgry, a pojutrze, po zmianie władzy, w nas".

Oczywiście każdy ma tendencję do chwytania się opinii unijnej, gdy jest przekonany, że jego głos nie dociera do adwersarza. Tak było, gdy eurodeputowani PiS składali skargi na SLD-owską telewizję. I tak jest teraz, gdy posłowie totalnej opozycji odwołują się wprost do TSUE jako cudownej siły, która potrafi pomóc utrącić Andrzeja Dudę. Prawniczka z inicjatywy obywatelskiej Wolne Sądy, Sylwia Gregorczyk-Abram, deklaruje to z podziwu godną otwartością: „Jesteśmy w atmosferze ciągłej wojny, walki i zmęczenia. Jesteśmy już tak bardzo zmęczeni tym stanem wojny, niech ten TSUE nas uratuje".

NA DWÓCH STOŁKACH

Nic dziwnego, że takie wezwania kojarzą się z apelami polskich magnatów, którzy odwoływali się do carycy Katarzyny II z żądaniem, by była gwarantką swobód szlacheckich w Polsce. Jednak to jeszcze nie koniec lojalności ponadnarodowych. Lojalność unijna bywa niekiedy dublowana poprzez narzucanie tzw. standardów ONZ. Na kolejnych szczytach ludnościowych presja na rzecz akceptowania ideologii gender czy łagodzenia przepisów aborcyjnych uderza w tych, którzy nie ufają wprowadzaniu socjotechniki do lansowania np. aborcji czy przepisów przychylnych grupie LGBT. Oni działają globalnie i byliby zapewne

Od lat mnożą się tendencje do narzucania krajom unijnym jednego federalistycznego prawa. Zmiany te przebiegały tak wolno i subtelnie, że trzeba było ostatnich kryzysów, by te tendencje zaczęły być zauważalne

eprasa.pl a01f6cfe92

bardzo zdziwieni, gdyby ktoś im zwrócił uwagę, że łamią lojalność wobec swojego kraju. Od tak dawna myślą kategoriami globalistycznymi, że są wręcz zdziwieni, gdy ktoś zarzuca im brak lojalności wobec mieszkańców swojej ziemi.

Widzimy więc, że w polskie życie ingerują zarówno globaliści wykorzystujący do swoich celów tzw. standardy Unii Europejskiej, jak i np. feministki powołujące się na standardy ONZ. Ponieważ przyzwyczajeni jesteśmy do starej siatki pojęciowej, w której zdrada oznacza działanie na rzecz konkretnego państwa, to bywamy często bezradni wobec sytuacji, gdy ktoś lekceważy interesy naszego kraju, a działa według logiki zagranicznych struktur ponadnarodowych.

Jeszcze jedną diaboliczną cechą tego typu ingerencji w życie Polski czy Węgier jest to, że ideologia ubierana jest w kostium, który ogólnie kojarzy się pozytywnie. Przykładowo: George Soros, zakładając w Budapeszcie Uniwersytet Środkowoeuropejski, odwoływał się do przekonania, że im więcej uczelni na zachodnim poziomie, tym lepiej dla włączenia się kraju Madziarów we Wspólnotę Europejską. Trzeba było pewnego czasu, aby Viktor Orbán nie tylko uznał, że taki uniwersytet jest dla jego kraju szkodliwy, lecz także podjął realne działania, aby go wypchnąć z Budapesztu.

Dlaczego o tym opowiadam? Robię tak, by wskazać, że takie proste używanie określenia „zdrada" jest dzisiaj trudne w sytuacji, gdy wszystkie kraje unijne ze sobą w jakimś stopniu współpracują. Jednocześnie ludzie nie są ślepi. Widzą, że coraz częstsze są przykłady eurokarier, w których posłuszeństwo wobec Brukseli daje szansę na długie lata zamożnego i łatwego życia. To oczywiście przypadek Donalda Tuska, który tak kierował swoją misją premierowską, aby nie stracić szans na objęcie funkcji szefa Rady Europejskiej.

W środowisku lewicy także znaleźć można przykłady, kiedy ścieżka kariery idzie po krzywej ponadkrajowej. To przykład Sławomira Sierakowskiego, który obok kierowania Krytyką Polityczną z chęcią przyjął zaproszenie do objęcia stanowiska pracownika naukowego Niemieckiego Instytutu Polityki Zagranicznej (DGAP). Inny dobry przykład podwójnej afiliacji to Aleksander Smolar. W czasach emigracji został członkiem Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych, a jednocześnie zaangażowany był jako prezes zarządu w stworzenie Fundacji im. Stefana Batorego. Jego syn Piotr, dziennikarz francuskiego dziennika „Le Monde", przybył niedawno z wizytą do Warszawy jako członek świty prezydenta Francji Emmanuela Macrona. W jakiej roli występował na spotkaniu Macrona z polskimi intelektualistami? Jako doradca francuskiej głowy państwa? Jako dziennikarz? Jako przedstawiciel polskich elit?

W świecie, w którym nie było żadnych różnic między polityką Niemiec i Francji a Polską, takie podwójne afiliacje nie wywoływały emocji. Jeśli dochodzi do konfliktów i różnic interesów między Polską a Berlinem czy Paryżem, to muszą się pojawiać pytania, czy ten czy ów naukowiec jest czynnikiem wiedzy o polskim stanowisku w instytucjach zagranicznych, czy też na odwrót. Czy jest czynnikiem nacisku na Polskę z wykorzystaniem doskonałej znajomości sytuacji nad Wisłą.

COŚ TRZEBA WYBRAĆ

Te różnice interesów ujawniły się także niedawno w czasie kryzysu brexitu. Przykładowo ambasador Wielkiej Brytanii w USA Kim Darroch, mimo referendum, w którym Brytyjczycy opowiedzieli się za brexitem, prezentował stanowisko zdecydowanie przeciwne wyjściu z Unii Europejskiej. W lipcu 2019 r. podał się do dymisji. Inny przykład – gdy w 2016 r. rząd Beaty Szydło odwołał z funkcji stałego przedstawiciela przy Unii Europejskiej Marka Prawdę, ten niemal natychmiast został przez Komisję Europejską wyznaczony na swego przedstawiciela w Polsce. Krótko mówiąc, Prawda – przyjmując propozycję Komisji Europejskiej w tak kryzysowej sytuacji – potwierdził, że bliższa mu jest polityka KE niż państwa, które wcześniej reprezentował w Brukseli.

Proste używanie określenia „zdrada" jest dzisiaj trudne w sytuacji, gdy wszystkie kraje unijne ze sobą w jakimś stopniu współpracują

Takich sytuacji może być coraz więcej. Będą one trudne, gdyż współczesna kultura liberalna podkreśla raczej prawo jednostki do wyboru opcji politycznej ponad partykularyzmem narodowym. Ponadto rzucają się w oczy sytuacje, gdy politycy np. Platformy Obywatelskiej ewidentnie starają się o wprowadzenie sankcji wobec Polski. Narzuca się wręcz w takich sytuacjach mówienie o tak dużym stopniu szkodzenia swojemu państwu, że nasuwa się określenie „zdrada".

Jednocześnie ma ono tak silne i negatywne brzmienie, że wywołuje ostre reakcje. Sprawę dodatkowo utrudnia to, o czym mówił w niedawnym wywiadzie na łamach „Do Rzeczy" Marek Jurek: „[język mówienia o zdradzie – przyp. P.S.] używany jest często nie tyle jako kwalifikacja prawna i moralna, ile po prostu narzędzie walki wyborczej, co więcej, dyspensująca od odpowiedzialności tych, którzy go używają". Jeśli Marek Jurek ma problemy z używaniem słowa „zdrada", to co dopiero mówić o osobach, które np. traktują symetrycznie przewiny obozu rządzącego i opozycji. Jednak jak byśmy opakowywali w celofan konflikt interesów, który pojawia się na linii Bruksela–Warszawa, to on niewątpliwie istnieje. Pytanie: Jak go nazywać?

Wszystko to skłania do odwrotnego rozkładania akcentów. Lepiej skupić się na podkreślaniu podmiotowości krajów unijnych niż lekką ręką wydawać werdykty, że ktoś zdradza. Sytuacja, z którą mamy do czynienia w Unii Europejskiej, jest o wiele bardziej skomplikowana. Owszem, zdarzają się sytuacje, gdy Komisja Europejska kieruje się interesem – czy to Berlina, czy Paryża – ale znacznie częściej zwyciężają opcje ideologiczne o ponadnarodowym charakterze. Są takie sytuacje i takie. Niekiedy europosłowie Platformy powtarzają slogany wygodne np. dla Angeli Merkel – tak jak wtedy, gdy gotowi byli na przymusowy rozdział kwot uchodźców w całej Europie. W innych wypadkach, np. krytykując rezolucję miast i województw w sprawie „stref wolnych od LGBT", idą w kierunku wspierania postulatów lobby rewolucji obyczajowej. W obu wypadkach trzeba znajdować rozsądny język polityki, z takim wyważeniem, by docierać do elektoratu centrowego. Łatwe etykietowanie tych czy innych za pomocą określenia „zdrajca Polski" poza obozem prawicy kojarzy się wielu Polakom z szukaniem zwady i obrażaniem ludzi.

Nie będę udawał, że problem jest łatwy do rozwiązania. W każdej debacie potrzebni są publicyści, którzy wyjaskrawiają pewne kwestie, aby skłonić do refleksji. Z drugiej strony nadużywanie języka na najwyższym „C" zniechęca wielu obserwatorów ze środka sceny politycznej. Niestety, słowa mają w polityce znaczenie. Ale temat jest.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Z Krzysztofem Bosakiem, kandydatem Konfederacji na prezydenta
rozmawia Łukasz Warzecha

Scenariusz brytyjski jest możliwy

ŁUKASZ WARZECHA: Wielu wyborców oczekuje od kandydatów na prezydenta doświadczenia nie tylko życiowego, lecz także politycznego i instytucjonalnego. Pan spośród głównych kandydatów wypada tu najsłabiej.

KRZYSZTOF BOSAK: Zanim Andrzej Duda został kandydatem PiS w 2015 r., jego kariera biegła bezpieczną, partyjną ścieżką bez elementu osobistego przywództwa. Kariera Władysława Kosiniaka-Kamysza była zapośredniczona rodzinnie, bo jego ojciec był również politykiem PSL. Kosiniak-Kamysz nie zdobył też swojej pozycji w rządzie PO-PSL dzięki twardej walce czy asertywności. Kolejna bezpieczna partyjna kariera. Robert Biedroń – nieudany polityk SLD, sztucznie wykreowany na lidera partyjnego. Słupskiem jako prezydent rządził źle. Złamał obietnicę, że po wprowadzeniu swojego ugrupowania do Parlamentu Europejskiego zrezygnuje z mandatu i zajmie się polityką krajową, więc jest całkiem niewiarygodny.

Wytykanie wad konkurentom to trochę mało, żeby uznać, że ma pan konieczne doświadczenie.

Zawsze szedłem własną drogą, niezależnie od koniunktury. W dużej polityce jestem od 15 lat. Najpierw pracowałem w europarlamencie, potem zasiadałem w Sejmie, później w think tankach – byłem wiceszefem zespołu ekspertów Fundacji Republikańskiej, a w końcu budowałem od podstaw całkiem nowy ruch polityczny. Konfederacja to jedyna w ostatnich latach partia zbudowana od zera, która się udała. Przetrwaliśmy wiele lat poza parlamentem, przeprowadziliśmy wiele ogólnopolskich kampanii wyborczych, by wreszcie wejść do Sejmu. To pokazuje zdolność do przywództwa i pracy w niesprzyjających warunkach.

Świetnie, ale nie kierował pan nigdy żadną instytucją.

Od kierowania urzędem są setki osób personelu Kancelarii Prezydenta. Prezydent korzysta z zaplecza MSZ, z Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Zajmuję się życiem publicznym od lat i wiem, że tym, co musi wnieść lider, nie jest administrowanie, ale osobiste przywództwo.

Dlaczego osoby o prawicowych poglądach miałyby zagłosować na młodego Krzysztofa Bosaka, a nie na sprawdzonego już, dojrzałego, przewidywalnego prezydenta Andrzeja Dudę?

Mam 38 lat i to nie jest wiek młody, ale średni. W tym wieku ma się najwięcej energii, a zarazem wystarczające doświadczenie, żeby nie działać pochopnie. Natomiast między mną a Andrzejem Dudą jest fundamentalna różnica: pan prezydent jest politykiem centrowym, a ja politykiem ideowej, konserwatywnej, narodowej i wolnościowej prawicy. Andrzej Duda nigdy nie zabiegał o wiarygodność w środowisku, z którego ja się wywodzę.

Jak to nie? Przecież to jest prezydentura wyraźnie stawiająca na konserwatywne wartości.

Bynajmniej. Pan prezydent zawsze zabiegał o centrum i lewą stronę. Jeżeli przeanalizować na przykład skład gremiów doradczych przy prezydencie, to nie ma tam niemal żadnych osób z ideowej prawicy. Jest za to wiele związanych z centrum i lewicą. Do Rady Bezpieczeństwa Narodowego do dziś nie został zaproszony żaden przedstawiciel Konfederacji. Podobnie z Narodową Radą Rozwoju.

Naprawdę? W jej składzie są takie osoby, jak wywodzący się z Fundacji Republikańskiej Marcin Chludziński, dziś prezes KGHM, prof. Andrzej Waśko, Dariusz Gawin, był śp. Miłowit Kuniński, Krzysztof Mazur, prof. Andrzej Nowak... Wszystko to osoby kojarzone z ideową prawicą.

Ideowa prawica to gotowość do konfrontacji z lewicą, a ja tego tam nie widzę. Osoby z naszego kręgu ideowego były przez pięć lat obecnej prezydentury pomijane. Gdy prezydent uruchamiał pozorowane moim zdaniem dyskusje o zmianie konstytucji, nie zaprosił nikogo ze środowisk, które dziś tworzą Konfederację Wolność i Niepodległość.

Może prezydent nie chciał mieć w tym gronie skrajnych polityków?

Odrzucam takie określenie. Skrajność to Partia Razem, którą pan prezydent zaprosił do komitetu obchodów stulecia niepodległości, do którego niestety nie zaprosił nikogo ze Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Andrzej Duda niekiedy operuje językiem konserwatywnym, ale w jego czynach nie widać realizacji konserwatywnych postulatów, realizuje za to postulaty lewicowe.

Na przykład?

Nie zawetował żadnej lewicowej reformy PiS, choćby zmiany prawa łowieckiego, wprowadzającej zakaz uczestniczenia nieletnich w polowaniach, co oznacza, że ojciec nie może zabrać niemal dorosłego syna na polowanie. To kryminalizowanie tradycji łowieckiej i kłanianie się lewicy. Podpisywał też wszystkie lewicowe projekty gospodarcze rządu PiS, przekształcające Polskę w państwo

eprasa.pl a01f6cfe92

socjaldemokratyczne. Akceptował masową imigrację dopuszczoną przez rząd.

A co zmieniłby tu prezydent Bosak? Przecież socjal mamy już rozbudowany?

Nie podpisywałbym kolejnych tego typu ustaw. Rząd znalazłby się w nowej dla siebie sytuacji współpracy z prezydentem, który zacząłby stawiać warunki. Rząd nie mógłby już przekupywać społeczeństwa jego własnymi pieniędzmi. Gdyby w jakimś obszarze chciał zwiększyć wydatki, w innym musiałby znaleźć oszczędności.

W jakim?

Niemal w każdym. Od kosztów administracji poprzez zbędne urzędy, analizę tego, jak wydawane są pieniądze na nieracjonalne lub pozorne inwestycje w dowolnej dziedzinie. Polskie państwo dotuje teraz na przykład tworzenie miejsc na uczelniach dla obcokrajowców. Jaki w tym jest nasz interes?

Chciałby pan oszczędzać na administracji? Jej pracownicy od lat nie mieli większych podwyżek i są na granicy rebelii.

Na przykład w rolnictwie mamy trzy różne inspekcje, których kompetencje zachodzą na siebie. Nakładają się kompetencje ZUS i urzędów skarbowych. Rząd w 2016 r. zlikwidował Ministerstwo Skarbu. Mateusz Morawiecki, cztery lata temu minister finansów, zapowiadał wielkie oszczędności z tego powodu. Z mównicy sejmowej zapytałem premiera, czy te oszczędności zostały zrealizowane. Odpowiedzi oczywiście nie było. Sprawne państwo musi być oparte na nielicznej kadrze dobrze wynagradzanych i wyspecjalizowanych urzędników.

Gdyby był pan na miejscu prezydenta Dudy, czy podpisałby pan ustawę dezubekizacyjną oraz ustawę o wyprawce plus, czyli 300 zł na dziecko na początku każdego roku szkolnego?

Zdecydowanie popieram pozbawienie przywilejów ludzi, którzy pracowali w UB lub SB. Uważam też, że analogicznie powinno się postąpić wobec osób, które pracowały w politycznych pionach służb wojskowych – a tego PiS nigdy nie zrobił, skupiając się tylko na resortach cywilnych. Natomiast kompletnie niezrozumiałe jest dla mnie, że w zakres działania ustawy trafiły osoby, które pracowały dla suwerennego państwa polskiego już po 1989 r. To podważa zaufanie do państwa ze strony wszystkich, których chciałoby ono rekrutować do pracy w swoich służbach. Nie ma gwarancji, że dowolne zobowiązania nie zostaną w którymś momencie podważone. Wyprawka plus z kolei to ewidentny element populizmu wyborczego i socjalnego. Opieka nad dziećmi została już dofinansowana w bezprecedensowy sposób w postaci „500+".

Czyli „500+" zostaje?

Ten program wymaga głębokiego przemyślenia, ponieważ jest zbudowany jak program socjalny, a nie prodemograficzny, którym miał być. Możemy wydawać pieniądze na rzecz tak istotną jak demografia, ale tylko pod warunkiem przekonania o skuteczności danego rozwiązania, a obecnie większość nie wierzy w przełamanie kryzysu demograficznego i zaczyna dopuszczać masową imigrację.

W tej sprawie ma pan poglądy sprzeczne z opinią większości przedsiębiorców, którzy wyraźnie stwierdzają, że bez imigrantów polska gospodarka miałaby się fatalnie.

Krótkookresowy interes biznesu i długookresowy interes całego narodu czasem są w kolizji. Nie powinniśmy iść w tej sprawie drogą Europy Zachodniej. Musimy myśleć o wzroście gospodarczym, ale przy zachowaniu odpowiedzialnej polityki imigracyjnej. Określmy poziom imigracji bezpieczny z punktu widzenia integracji społecznej, a imigrantów niezbędnych dla obsługi życia gospodarczego powyżej tego poziomu dopuszczajmy wyłącznie na kontrakty czasowe, po zakończeniu których musieliby Polskę opuścić.

Co prezydent Bosak zrobiłby w polityce zagranicznej? Reset z Rosją?

Nie ma żadnego stanowiska Konfederacji, dokumentu czy stanowiska programowego, które miałyby charakter prorosyjski. Przeciwnie – gdy w ostatnich miesiącach nasze państwo zostało zaatakowane przez Władimira Putina, a rząd na te ataki odpowiedział, poparliśmy jego stanowisko. Oskarżanie nas o prorosyjskość to element cynicznie prowadzonej gry PiS przeciw Konfederacji. Dzisiaj nie jesteśmy dla Rosji ani atrakcyjnym, ani wystarczająco silnym partnerem.

A co ze Stanami Zjednoczonymi? Wielokrotnie twierdziliście, że za mocno ulegamy Waszyngtonowi, ale to przecież USA zapewniają nam strategiczne bezpieczeństwo.

Jesteśmy zwolennikami polityki wielowektorowej, pragmatycznej. Negocjowanie z jednymi partnerami tego, co chcemy osiągnąć, przy jednoczesnym ubezpieczaniu się rozmową i współpracą z innymi.

Czyli na przykład, żeby wywrzeć presję na USA, prezydent Bosak spotyka się w serdecznej atmosferze z prezydentem Macronem?

Serdeczna atmosfera w polityce międzynarodowej nie jest najważniejsza. Ale jeśli chcemy wywrzeć presję na USA na przykład w sprawie korzystnego dla nas kontraktu na śmigłowce, to jednocześnie powinny się toczyć w dobrej atmosferze negocjacje z koncernami z innych państw. Na koniec powinniśmy wybrać najkorzystniejszą ofertę. Tymczasem my z wolnej ręki, w imię politycznej „przyjaźni" – której w stosunkach międzynarodowych przecież nie ma – decydujemy się kupić bez offsetu i transferu technologii śmigłowce od Amerykanów. Podobnie rzecz się ma z myśliwcami F-35.

Może to po prostu cena za zapewnienie nam strategicznego bezpieczeństwa?

Ale co to właściwie jest strategiczne bezpieczeństwo? To zaklęcie, którym można usprawiedliwić kapitulację w każdej sprawie. Tak naprawdę kryje się za tym nadzieja, że gdyby wydarzyło się coś złego, Amerykanie będą nas bronić. Ale gdyby faktycznie mieli to zrobić, to dlatego, że im się to będzie opłacać z geostrategicznego punktu widzenia. W takim przypadku jeden czy drugi kontrakt zbrojeniowy niczego nie zmienia.

Czy jednak fizyczna amerykańska obecność w Polsce nie zwiększa naszego bezpieczeństwa? A płacimy za to – trudno – zakupami wojskowymi.

To by oznaczało, że ta obecność ma charakter wyłącznie transakcyjny, a nie strategiczny. Czyli że realnie Amerykanie nie mają żadnego interesu, aby się u nas angażować wojskowo. Taka zresztą opinia jest obecnie konsensusem wśród amerykańskich elit. W mojej ocenie obecność wojsk USA w Polsce ma charakter demonstracyjny.

Ma też znaczenie odstraszające.

Odstraszanie jest ważne, ale należy je osiągać przede wszystkim przez rozbudowę własnych sił. Pamiętajmy, że użycie sił USA jest zawsze uzależnione od ich procesu demokratycznego i chwilowej zbieżności interesów.

Co z naszym członkostwem w UE? Czy w pana planach jest polexit?

To nie jest prawdopodobne w krótkim okresie. Ponadto niezależnie od formy

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

naszej współpracy z innymi państwami europejskimi należy podkreślić, że ze względu na położenie jesteśmy naturalnie zorientowani na współpracę polityczną, gospodarczą i obronną z państwami europejskimi. Trzeba to podkreślać, bo zbyt często – fałszywie – utożsamiano krytyków UE ze zwolennikami izolacjonizmu.

Co to ma oznaczać w praktyce? Drogę Wielkiej Brytanii? Jesteśmy w innym miejscu w Europie. Jeśli wyjdziemy formalnie z UE, znajdziemy się w strategicznej próżni.

Strategiczna próżnia to kolejne zaklęcie. Mamy tak ścisłe relacje gospodarcze z Europą Zachodnią, że w przypadku wystąpienia z UE oczywista będzie chęć natychmiastowego przejścia do nowego reżimu wymiany handlowej z Polską. Scenariusz brytyjski jest jak najbardziej możliwy i byłby obustronnie opłacalny. Za mało się mówi o tym, że to „stara Unia" zyskuje na handlu i inwestowaniu w Polsce.

Ale Polacy tego w większości nie chcą.

To prawda. To wynika z niewiary w siłę polskiej gospodarki, tymczasem jesteśmy największym rynkiem w naszej części Europy. Polacy musieliby sobie to uświadomić i jednocześnie dostrzec, jaki jest poziom strat wynikających z naszej obecności w UE. Ale to kwestia przynajmniej kilkunastu lat. Gdybym zatem wygrał najbliższe wybory prezydenckie, broniłbym polskich interesów wewnątrz Unii – i jestem na to przygotowany.

Sondaże nie są na razie dla pana zbyt korzystne. Zbiera pan do 5 proc. To mniej, niż dostała Konfederacja w wyborach, i mniej, niż dziś dostaje w sondażach.

Do sondaży podchodzę ostrożnie. Poza tym jako siła spoza głównego nurtu jesteśmy w dużej mierze izolowani przez media i sądzę, że do wielu Polaków wciąż nie dotarła wiadomość o mojej kandydaturze. Moja rozpoznawalność jest na poziomie 50 proc. W przypadku kogoś, kto ma 38 lat, przez długi czas był obecny niemal wyłącznie w mediach internetowych, a do Sejmu wrócił po kilkunastu latach przerwy, to niezły wynik.

Kogo poprze Konfederacja w drugiej turze, jeśli pan do niej nie wejdzie?

Rozważanie przed pierwszą turą scenariusza porażki byłoby nieodpowiedzialne. Wchodzę w kampanię pełen energii, optymizmu i gotów do ciężkiej pracy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Z Andrzejem Fedorowiczem, dziennikarzem, autorem książek
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Setka dla pokrzepienia serc

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Jakimi kryteriami kierował się pan, selekcjonując 100 przedmiotów II Rzeczypospolitej?

ANDRZEJ FEDOROWICZ: Przede wszystkim chciałem pokazać kreatywność ówczesnych Polaków we wszystkich możliwych dziedzinach. Wciąż nie do końca uświadamiamy sobie, że generacja, która w 1918 r. odzyskała niepodległe państwo, musiała de facto zaprojektować je na nowo. Po 123 latach zaborów nie mieliśmy prawie nic z tego, co posiadały ówczesne państwa – podręczników szkolnych, mundurów wojskowych, własnej floty, portów, broni, planów rozwoju przemysłowego, architektury, prawa, masowych organizacji, państwowej propagandy, motocykli, samochodów, samolotów, narodowej drużyny olimpijskiej czy nawet łączącej ludzi z różnych dzielnic kultury masowej. Nie mieliśmy nawet akceptowanej przez wszystkich symboliki państwowej, gdyż Polska upadła jako monarchia, ale odrodziła się w republice. To wszystko trzeba było dopiero stworzyć i pokolenie dwudziestolecia międzywojennego, mimo skrajnie trudnych warunków, sprostało wyzwaniu. Przez te 100 przedmiotów chciałem również uwypuklić niesamowitą barwność i dynamizm owej epoki.

Co z nich przetrwało próbę czasu?

„Cuda" ówczesnej techniki w większości uległy zniszczeniu w trakcie wojny lub po prostu zostały skazane na zapomnienie w PRL. Końcem pewnego świata był także oczywiście Holokaust. Nie mamy dziś lukstorpedy ani bombowca Łoś, a myśliwiec PZL-11 zachował się tylko w jednym egzemplarzu. Podobny los spotkał motocykl Sokół czy pistolet vis. To dziś kolekcjonerskie rarytasy, tak jak lalki „szrajerki" z Kalisza. Wiele straciliśmy w wyniku zmiany granic, chociaż pamiątki z tamtych lat można jeszcze spotkać na Ukrainie czy Białorusi. W czasach PRL zakazane zostały przedwojenne organizacje i ich symbole. Jednak wiele z II Rzeczypospolitej przetrwało. Szlagiery muzyki rozrywkowej grane są do dziś, podobnie jak „My, Pierwsza Brygada". Z sentymentem oglądamy międzywojenne filmy. Transatlantyk „Batory" pływał jeszcze w latach 60. XX w. i wielka szkoda, że sprzedano go na złom. „Dar Pomorza" wciąż możemy podziwiać, podobnie jak drapacz chmur Prudential albo stołeczny tor wyścigów konnych. Istnieją Grób Nieznanego Żołnierza, port w Gdyni, jeździ kolejka na Gubałówkę. Działają też – w wersji zmodernizowanej – słynne sławojki, oczko w głowie ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, a później premiera, Felicjana Sławoja-Składkowskiego.

Wychowałem się na najpopularniejszym komiksie międzywojnia.

„Przygody Koziołka Matołka", tandemu Kornel Makuszyński – tekst, Marian Walentynowicz – ilustracje, są regularnie wznawiane. Z elementarza Mariana Falskiego poznawało alfabet ponad 60 roczników polskich uczniów! Obowiązywał do połowy lat 80. XX w., co jest światowym rekordem! To dowodzi, jak wiele z II RP przetrwało także w nas samych. Uczyliśmy się z tych samych książek, co nasi przodkowie.

Szczególny status miało wtedy radio.

Stanowiło element integracji. Fakt, że była rozgłośnia nadająca program po polsku na obszarze całego państwa, a także daleko poza jego granicami, urastał do rangi symbolu. To było takie powiedzenie całemu światu: „Halo, my tu jesteśmy. Słyszycie nas?". Bo przecież wcześniej przez 123 lata Polska nie widniała na mapach. Dlatego właśnie II RP była jednym z pierwszych krajów na świecie, który przeprowadził masową radiofonizację za pomocą słynnego radia detektorowego – Detefonu, sprzedawanego na raty w urzędach pocztowych. Z tego też powodu w Raszynie pod Warszawą została zbudowana jedna z najsilniejszych na świecie radiostacji. Jednocześnie radio dostarczało Polakom popularnych audycji rozrywkowych. Przykładem wileńska „Kukułka", a zwłaszcza „Wesoła lwowska fala".

Wizytówką kolejową międzywojennej Polski był stołeczny Dworzec Główny, lukstorpeda czy parowóz Pm36?

Z pewnością miał być nią Dworzec Główny – pierwowzór nowoczesnych kom-

eprasa.pl a01f6cfe92

Parowóz pośpieszny Pm36 z otuliną aerodynamiczną, czyli Piękna Polka. Powstały jedynie dwa jego egzemplarze FOT. NAC

pleksów komunikacyjnych. Docelowo miał być połączony z metrem i komunikacją autobusową, wyposażony w wielopiętrowy hotel, centrum kongresowe, nowoczesne restauracje, a nawet kaplicę. Niestety, nie zdążono zrealizować całego przedsięwzięcia, a kres budowli położyła wojna. Dzisiaj nawet wielu warszawiaków nie wie, że pozostałością jej podziemnej części są perony Dworca Warszawa-Śródmieście. Chyba bardziej jest kojarzona lukstorpeda, czyli najszybsze spalinowe pociągi, mogące kursować z prędkością nawet 140 km/h. Przed wojną jeździły do Zakopanego, a także Zaleszczyków oraz Kołomyi. Parowóz Pm36, czyli Piękna Polka, zdobył medal na paryskiej wystawie, lecz powstały jedynie dwa jego egzemplarze.

Motoryzacja kraju ślimaczyła się z uwagi na brak dróg czy też wysokie ceny benzyny tudzież samochodów?

Wszystkie trzy elementy na to wpłynęły. Bitych traktów było 100 razy mniej niż obecnie, przy znacznie większej powierzchni kraju. W porównaniu z inwestycjami w kolejnictwo infrastruktura drogowa była ogromnie zaniedbana. Sytuacja zaczęła się zmieniać pod koniec lat 20., kiedy władze zorientowały się, że w całej Polsce jest mniej samochodów niż w samym Paryżu. Ruszył program budowy dróg, a także masowej motoryzacji, w czym miała pomóc licencja na produkcję Fiata Balilla, czyli sławetnej „pięćsetósemki". Przełomu nie dokonano, niemniej pod koniec lat 30. motoryzacja nieco przyśpieszyła.

Symbolizował ją Sokół?

Owszem, wzorowany na amerykańskich harleyach i indianach. Co prawda w swojej kompletnej wersji kosztował niemal tyle, ile auto, toteż mało kogo było na niego stać, ale korzystały z niego policja, wojsko, a także Poczta Polska. Ubożej wyposażony model był tańszy i właśnie na takich maszynach grupa zapaleńców wjechała w sierpniu 1939 r. na Kasprowy Wierch. Sokół stał się motoryzacyjną ikoną dwudziestolecia również z uwagi na estetykę. W ogóle przemysłowy design z tamtych czasów był wyjątkowy, czego przykładami są również bombowiec Łoś czy pistolet vis.

Najsławniejszą reklamę epoki wymyślił Melchior Wańkowicz?

Tak, to były jego zdaniem dwa najdroższe słowa w historii reklamy. Plakaty z hasłem „Cukier krzepi" miały zachęcać Polaków do spożywania większej ilości cukru – w tej dziedzinie Polska była na końcu Europy, a nawet świata. Autor zarobił na swoim haśle 5 tys. zł – równowartość samochodu – lecz niewiele to pomogło. Polacy dalej nie kupowali cukru, ponieważ był horrendalnie drogi – kilogram kosztował złotówkę, równowartość obecnych 16 zł.

Po głównej ulicy handlowej tamtej Polski nie pozostał żaden ślad?

Warszawskie Nalewki można chyba porównać tylko z Wielkim Bazarem w Stambule. To był ogromny labirynt wielkich kamienic zwanych babilonami, podwórek, bram i przejść. Wszędzie coś produkowano lub sprzedawano, zaopatrywała się tam cała Warszawa i nie tylko. Szczególnie że żydowscy sprzedawcy dbali o jakość i dobrą markę, pomarańcze pochodziły np. z najlepszych sadów w palestyńskiej Jafie. To wszystko przepadło w czasie wojny.

Najlepsze papierosy II RP pochodziły z ojczyzny faraonów?

„Egipskie" produkowano w kraju. Były luksusową marką, paloną zarówno przez Józefa Piłsudskiego, jak i Hankę Ordonównę. Generalnie ówczesne papierosy były dość drogie, toteż kwitła ich kontrabanda. Przemycano je zarówno z sowieckiej Rosji, jak i z innych regionów globu, m.in. przez Wolne Miasto Gdańsk.

ANDRZEJ FEDOROWICZ
„DRUGA RZECZPOSPOLITA W 100 PRZEDMIOTACH"
FRONDA 2019

Kto korzystał z kodeksu Boziewicza?

Najpierw dopowiedzmy, że był jednym z wielu ówczesnych kodeksów honorowych. Niewątpliwie najpopularniejszym dowodem jest dziewięć wydań! Regulował sposób rozstrzygania sporów zgodnie z zasadą, że człowiek honoru na zniewagę nie odpowiada zniewagą, tylko wyzywa przeciwnika na pojedynek. Oczywiście nie każdego można było wyzwać, gdyż według kodeksu niektórzy ludzie nie mieli zdolności honorowej. Boziewicz zaliczał do nich np. dziennikarzy pism brukowych, homoseksualistów i mężczyzn utrzymywanych przez kobiety, ale radził, aby dawać honorową satysfakcję posłom komunistom – z racji pełnionej przez nich publicznej funkcji. Przepisy kodeksu regulowały też bardzo precyzyjnie zasady pojedynku. Dajmy na to pistolety musiały mieć jednakowy kaliber i niegwintowane lufy, klingi szabli zaś trzeba było bardzo dokładnie zdezynfekować, za co odpowiadali sekundanci. Większość „bojów na ubitej ziemi" kończyła się zwykle oddaniem strzałów w powietrze, względnie niegroźnym cięciem, niemniej zdarzały się i przypadki śmiertelne. Zatem nic dziwnego, że pojedynki tępiono. Za udział w nich groziły wysokie kary, szczególnie w wojsku, ponieważ stanowiły poważne naruszenie regulaminu. Niewiele to dawało, a niestawienie się na pojedynek uważano za wielką hańbę i dyshonor. To też sporo nam mówi o naszych przodkach oraz tłumaczy ich zachowanie podczas wojny i okupacji. Kodeks Boziewicza obrazuje przy okazji drugi biegun międzywojennej Polski, w której ciągle funkcjonowały tradycje szlacheckie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Andrzej Fedorowicz – dziennikarz, popularyzator polskiej historii najnowszej. Autor książek: „Warszawa – stolica szpiegów", „Słynne ucieczki Polaków", „25 polskich wynalazców i odkrywców, którzy zmienili świat".

eprasa.pl a01f6cfe92

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Włosi w Sowietach

Często się zapomina, że Niemcy wcale nie walczyli ze Związkiem Sowieckim w samotności. U boku Wehrmachtu na wschód pociągnęła połowa Europy, m.in. Finowie, Węgrzy, Słowacy, Chorwaci i Rumuni. A także Francuzi, Rosjanie, Belgowie, Holendrzy, Ukraińcy, Norwedzy, Duńczycy, Estończycy, Łotysze, Hiszpanie, Kozacy, Kałmucy, Turkmeni, Azerowie i Gruzini. Wymieniać by tak można jeszcze długo.

Szczególną rolę w walce z bolszewizmem odegrali jednak Włosi. Na rozkaz Mussoliniego – który chciał w ten sposób okazać solidarność z Hitlerem – już w 1941 r. na front wschodni wysłany został potężny kontyngent włoskiej armii. Kampania, która miała być kolejnym blitzkriegiem, szybko zamieniła się jednak w długotrwałą krwawą wojnę na wyniszczenie.

Walczący daleko od domu, na śnieżnych rosyjskich równinach włoscy żołnierze byli dziesiątkowani przez bolszewickie kule, mróz i choroby. Do największej rzezi doszło pod Stalingradem. Włosi na froncie wschodnim w sumie stracili ponad 80 tys. żołnierzy. Część z nich poległa w walkach – większość została zgładzona przez bolszewików w niewoli.

W Polsce ukazały się wstrząsające wspomnienia młodego oficera Eugenio Cortiego, który miał szczęście i przeżył tę jatkę.

„Za naszymi plecami pozostała dolina zawalona martwymi ciałami – wspominał odwrót wojsk włoskich Corti. – Pośród nich byli Niemcy, Rosjanie, których Niemcy wzięli do niewoli i bezlitośnie rozstrzelali, a także Włosi – tych było najwięcej – którzy zginęli od ostrzału, polegli w ataku na bagnety i umarli z zimna i głodu. Najgorzej męczyła mnie myśl o wielu setkach rannych, których porzucono na śmierć bez pomocy. W jednym z naszych punktów opatrunkowych pozostał kapelan. Mówiono na niego »padre Celestino«. Zadźgał go bolszewik, który wpadł do lazaretu w chwili, kiedy na wpół oślepły z ran ksiądz po omacku przeciskał się między rzędami rannych, dając ostatnie namaszczenie. Ranni, którzy byli w stanie stanąć na nogach, usiłowali iść za kolumną. Długo jeszcze kuleli, wlekli się, pełzali po jej śladach w ostatniej, beznadziejnej próbie ratowania życia. Parę kilometrów drogi do Arbuzowa było zasłane ciałami nieszczęsnych okaleczonych ludzi. Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie ten widok czytelniku?”.

Tytuł książki – „Wrócili tylko nieliczni” – mówi wszystko. ©℗

★★★★★★

EUGENIO CORTI „WRÓCILI TYLKO NIELICZNI” FUNDACJA HISTORIA.PL

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Książę Śląska

Kariera Edwarda Gierka rozpoczęła się właściwie w 1948 r., gdy wraz z rodziną powrócił z Belgii do Polski. Dla rządzących krajem stanowił pewną zagadkę, przez ponad 20 lat przebywał na zachodzie Europy, co wzbudzało nieufność. Jednak miał w sobie potencjał, którego brakowało innym członkom PZPR. W gronie działaczy o niemal identycznych biografiach stanowił odmianę, która mogła okazać się przydatna.

Rok po objęciu władzy przez Gomułkę Gierek był już osobą numer jeden na Śląsku

Kariera tow. Edwarda nabierała rozpędu. Wziął udział w stłumieniu strajków górniczych w 1951 r. (bez użycia siły) i w nagrodę został członkiem KW PZPR w Katowicach. Zwrócił na niego uwagę Bierut i dokooptował w szeregi Biura Politycznego. A rok po objęciu władzy przez Gomułkę Gierek był już osobą numer jeden na Śląsku. 8 marca 1957 r. został I sekretarzem KW PZPR.

Z perspektywy lat trudno sobie wyobrazić poziom rzeczywistej władzy pierwszych sekretarzy wojewódzkich. Nic w regionie nie mogło odbyć się bez ich wiedzy, samorząd całkowicie podporządkowano ich decyzjom. Jednak akurat Gierek dobrze współpracował z wojewodą śląskim, Jerzym Ziętkiem.

„On był strasznym leniem – twierdził Kazimierz Kutz – nic mu się nie chciało. Gierek był szczęśliwy, gdy Ziętek wszystko za niego robił, i się raczej nie wtrącał. A Stary był szczęśliwy, bo mógł rządzić. Ale owoce zbierał Gierek, to o nim mówiono, że jest dobrym gospodarzem i organizatorem”.

Inna sprawa, że tandem Gierek-Ziętek miał się czym pochwalić. Węgiel był kluczowym surowcem dla polskiej gospodarki, co Ziętek w mistrzowski sposób wykorzystywał. Za jego czasów na Śląsku pojawiały się nowoczesne drogi, w Katowicach wybudowano Spodek, a w Chorzowie słynny Park Kultury i Wypoczynku. Mieszkańcy regionu nie mogli narzekać na zaopatrzenie, a rozsiane po kraju branżowe ośrodki wczasowe stanowiły przedmiot podziwu i zazdrości.

O Gierku mówiono „śląski książę” i na tle oszczędnego Gomułki wydawał się człowiekiem z innej planety. Popularność ta miała z czasem przynieść określone profity i już w 1968 r. był przez wielu uważany za potencjalnego następcę Gomułki. Władcą PRL został ostatecznie w grudniu 1970 r., po krwawych wydarzeniach na Wybrzeżu. Wraz z jego intronizacją rozpoczęła się epoka propagandy sukcesu.

„Bierut nie był specjalnie inteligentny – oceniał Jerzy Putrament – ale miał mądrych doradców. Gomułka był mądry, ale miał kiepskich pomocników. Natomiast Gierek był ograniczony i miał głupich doradców”. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl a01f6cfe92

„Bolszewik" podbije Amerykę?

Jacek Przybylski

78-letni Bernie Sanders, syn imigranta z Polski, po zdecydowanej wygranej w prawyborach w Nevadzie umocnił się na pozycji lidera w walce o nominację Partii Demokratycznej. Sami demokraci boją się jednak, że jest on zbyt lewicowy, aby wygrać listopadowe starcie o Biały Dom

Żaden sztab nie ma takiego oddolnego ruchu jak nasz i także dlatego wygramy te wybory – przekonywał Bernie Sanders po zdecydowanym zwycięstwie w Nevadzie. Na socjalistę głos oddało w tym stanie aż 47 proc. wyborców. Joe Biden, były wiceprezydent i dawny faworyt w tym wyścigu po nominację, zdobył 20 proc. A trzeci na podium Pete Buttigieg zaledwie 14 proc.

I chociaż Sandersowi w listopadowych wyborach trudno byłoby pokonać Donalda Trumpa, to z pewnością ma on coraz większe szanse na doprowadzenie do rewolucji w szeregach partyjnych elit i zdobycie nominacji Partii Demokratycznej.

PIERWSZY POLSKI PREZYDENT?

Czy Polska powinna wówczas zacząć świętować? W końcu Bernie Sanders, podobnie jak wielu innych amerykańskich Żydów, ma polskie korzenie. W 2013 r. odwiedził nawet Słopnice, niewielką wieś w Małopolsce, w której w 1904 r. urodził się jego ojciec Eli. Lewicowy polityk był ponoć pod wrażeniem darmowego systemu opieki zdrowotnej oraz edukacji. Nie ma jednak zbyt wielu dobrych skojarzeń z ojczyzną przodków. Lewicowy senator w ubiegłym roku wspominał, że jego ojciec jako 17-latek uciekał z Polski przed nędzą i „powszechnym antysemityzmem", choć trzeba mu oddać, że wyraźnie zaznaczył, iż praktycznie cała jego rodzina podczas wojny „została wybita przez nazistowskie barbarzyństwo".

Biały senator lubiany zarówno przez Latynosów, jak i wielu Afroamerykanów, przez studentów, jak i osoby bez wyższego wykształcenia, przez młodych zdolnych i przez najuboższych, a także przez bardzo wiele kobiet, ma już na koncie bardzo ważne wygrane w prawyborach nie tylko w Nevadzie, lecz także w New Hampshire oraz w Iowa (chociaż akurat w tym pierwszym stanie zwyciężył ex aequo z Petem Buttigiegiem – młodziutkim, bo zaledwie 38-letnim byłym burmistrzem, poliglotą i pierwszym zadeklarowanym gejem, który walczy o Biały Dom i radzi sobie bardzo dobrze jak na człowieka, którego nazwiska nie potrafi wymówić większość Amerykanów).

Oczywiście zanim będzie mógł szykować się do finałowej listopadowej batalii, 3 marca czeka go jeszcze tzw. superwtorek, podczas którego prawybory odbywają się aż w 15 stanach jednocześnie.

BRZYDKIE SŁOWO NA „S"

W czasach rozpasanej do granic możliwości politycznej poprawności coraz trudniej jest nazywać rzeczy po imieniu. Napiszmy więc wprost: potencjalny przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych to

eprasa.pl a01f6cfe92

Socjalista Bernie Sanders rozkochał w sobie amerykańską młodzież FOT. DREW ANGERER/GETTY IMAGES

socjalista. Zdeklarowanym socjalistą jest niemal całe swoje życie i przyznaje to bez wstydu, choć jego europejscy zwolennicy zapewne woleliby go nazywać umiarkowanym socjaldemokratą.

W niedalekiej przeszłości żaden kulturalny Amerykanin z politycznego mainstreamu nie nazwałby innego polityka „socjalistą", bo równie grzeczne byłoby podrapanie się pod okiem środkowym palcem. „Socjalizm" uważany był bowiem powszechnie za brzydkie słowo na „s". Był swoistym tabu, niczym pedofilia czy kazirodztwo.

W ostatnich latach tacy aktywiści jak siwowłosy Bernie Sanders czy młodziutka Alexandria Ocasio-Cortez zdołali doprowadzić do magicznego oczyszczenia terminu „socjalizm" i niczym Alexander Dubček (pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii CSRS) przekonali mieszkańców ojczyzny kapitalizmu do budowy „socjalizmu z ludzką twarzą". Trzeba przyznać, że robią to naprawdę skutecznie. W przeprowadzonym w roku 2018 sondażu Gallupa okazało się, że wyborcy Partii Demokratycznej mają bardziej pozytywny obraz socjalizmu niż kapitalizmu (na socjalizm pozytywnie patrzyło 57 proc. ankietowanych demokratów oraz wyborców niezależnych o lewicowych skłonnościach, a na kapitalizm zaledwie 47 proc.).

Wysoka pozycja Sandersa w tegorocznych prawyborach nie jest więc „wypadkiem przy pracy". Bernie Sanders już w roku 2016 miał duże szanse, aby zostać pierwszym socjalistycznym kandydatem na prezydenta USA. Wówczas elity Partii Demokratycznej zdecydowały jednak o wysunięciu kandydatury Hillary Clinton – byłej pierwszej damy, dawnej szefowej dyplomacji oraz amerykańskiej senator, która kompletnie zniweczyła szanse demokratów na utrzymanie Białego Domu.

W tym roku żadna ze startujących kobiet nie ma w wyścigu po prezydenturę większych szans. Przyznał to zresztą sam Bernie Sanders, podkreślając, że „żadna kobieta nie pokona Trumpa". Tych słów nie mogła wybaczyć mu lewicowa amerykańska senatorka Elizabeth Warren, która mimo kiepskich wyników w prawyborach nie porzuca marzeń o przeprowadzce do Białego Domu nawet w sytuacji, w której wiele wskazuje na to, że nie będzie miała szans stanąć do walki z Donaldem Trumpem.

– Tu zaczęła się rewolucja – mówił przed rokiem Sanders do skandującego tłumu, gdy swą kolejną kampanię prezydencką zaczynał od New Hampshire, stanu, w którym trzy lata temu zmiażdżył w prawyborach kandydatkę głównego nurtu Hillary Clinton. Termin „rewolucja" jest zaś jednym z jego ulubionych. – Myślę, że nie tylko pokonamy Trumpa, lecz także go zmiażdżymy, ponieważ w tym kraju narasta rewolucja przeciw zachowaniu tego człowieka. Gdy dzieci są w domu, ludzie wyłączają już telewizory, bo wstydzą się im pokazać, kto jest prezydentem – mówił Sanders podczas debaty CNN już po zwycięstwie w Nevadzie.

Socjalista z Partii Demokratycznej od kilku lat zyskuje sympatię lewicowych wyborców z różnych grup społecznych. Sanders oczarował zwłaszcza Latynosów, młodzież oraz studentów, chociaż rodzice wielu nasto- i dwudziestolatków pewnie kompletnie nie mogą w to uwierzyć. Jak to możliwe? Dzieci w Ameryce od lat były przekonywane, że jeśli chcą dla siebie dobrej i bezpiecznej przyszłości, to muszą skończyć studia wyższe. Kłopot w tym, że – jak zauważa CNBC – od lat 70. XX w. wysokość czesnego rosła sześć razy szybciej niż inflacja. Młodzi ludzie po ukończeniu studiów, jeszcze zanim wezmą sobie na głowę kredyt hipoteczny, są więc po uszy w długach. Całkowita wysokość studenckich pożyczek w USA wynosi zaś ponad 1,6 bln (sic!) dol. To właśnie do młodzieży i studentów – ważnej grupy wyborców, o której zapomniały zarówno Partia Republikańska, jak i Partia Demokratyczna – zwrócił się siwowłosy Bernie Sanders. Młodzi Amerykanie są więc obecnie dużo bardziej lewicowi niż ich rodzice i dziadkowie, którzy pamiętają zimną wojnę i nie chcieliby, aby Ameryka zmieniła się w drugą Rosję czy Wenezuelę.

SOCJALIZM W AMERYCE

Naiwny młody grunt jest idealny pod postulaty podstarzałego „bolszewika", który chce umorzyć studenckie długi, wprowadzić darmowe studia, bezpłatny system powszechnej opieki zdrowotnej oraz darmową opiekę przedszkolną dla dzieci do lat trzech, niezależnie od dochodów ich rodziców. Najpopularniejszy socjalista w Ameryce chce również wzmocnić związki zawodowe i podnieść płacę minimalną do 15 dol. za godzinę.

Budowę „socjalistycznego raju" w USA Sanders chce sfinansować, wprowadzając wysokie podatki dla korporacji i łupiąc najbogatszych, którzy mieliby płacić wysoką, progresywną daninę nie tylko od dochodów, lecz także od wartości posiadanego majątku. Problem w tym, że według szacunków The Tax Foundation nałożenie 70-procentowego podatku na najbogatszych Amerykanów przyniosłoby w ciągu dekady 291 mld dol., czyli nie starczyłoby na pokrycie nawet jednej dziesiątej kosztów bezpłatnej opieki medycznej dla wszystkich Amerykanów.

Oczywiście sam Sanders zapewne zapomniał, a młodzi Amerykanie mogą po prostu tego nie wiedzieć, że socjalizm nigdzie na świecie nie zdał egzaminu, a kraje skandynawskie, do których amerykańscy „socjaliści" tak chętnie nawiązują, nigdy nie były i nie są państwami socjalistycznymi.

Jeśli wierzyć politycznym statystykom, Bernie Sanders nominację powinien mieć już niemal gwarantowaną. Jak pokazują doświadczenia ostatnich kilkunastu lat, każdy kandydat Partii Demokratycznej, który wygrywał w Iowa, ostatecznie okazywał się również zwycięzcą batalii o partyjną

eprasa.pl a01f6cfe92

nominację. Dobrze tę zasadę pamiętać powinien sam Sanders, który w 2016 r. w Iowa minimalnie, bo minimalnie, ale dał się pokonać Hillary Clinton.

W OBRONIE FIDELA CASTRO

W tym roku sprawdzona od lat prawidłowość może jednak nie zadziałać. Dużo bardziej centrowi od Sandersa członkowie demokratycznego establishmentu wiedzą bowiem, że jeśli socjalista otrzyma partyjną nominację, to jego progresywny program najprawdopodobniej okaże się zbyt radykalny dla przeciętnego Amerykanina. – Za żadne skarby nie zagłosuję na Sandersa – socjalistę – mówił na antenie Fox News Don Peebles, były członek sztabu Baracka Obamy.

Partia Demokratyczna z Sandersem na sztandarach nie tylko straci szanse na odbicie Białego Domu, lecz także poniesie porażkę w walce o Izbę Reprezentantów oraz Senat. Dobrym pomysłem wydaje się więc skłonienie socjalisty do porzucenia marzeń o Białym Domu.

– Jeśli go wybierzemy, to przegramy wszystko – ostrzegali rywale z Partii Demokratycznej podczas wtorkowej debaty w Karolinie Południowej.

Partyjne władze muszą jednak działać bardzo ostrożnie. Wyniki pierwszych prawyborów pokazują bowiem, że wyborcy Partii Demokratycznej mają kompletnie dość waszyngtońskich elit. Jeżeli więc partyjny establishment „wykolei" kampanię Sandersa, to pokaże, że nie liczy się z głosem ludu. Efekt jest prosty do przewidzenia: w listopadzie frekwencja wśród rozczarowanych młodych wyborców znacząco spadnie, co ułatwi zwycięstwo Trumpowi, a Partii Republikańskiej powrót do panowania nad całym Kongresem. Rozczarowani młodzi wyborcy mogą zaś już nigdy nie zaufać Partii Demokratycznej lub w ogóle przestać interesować się polityką.

Uosobieniem największych obaw partyjnych elit był niedawny wywiad Sandersa, podczas którego wielki fan lewicowych rewolucji i potencjalny prezydent USA bez skrupułów bronił rządów kubańskiego rewolucjonisty oraz komunistycznego dyktatora. – Sprzeciwiamy się autorytaryzmowi na Kubie. Powiedzenie, że wszystko tam było źle, byłoby jednak nie fair. Co zrobił Fidel Castro, gdy doszedł do władzy? Wprowadził masowy program walki z analfabetyzmem. Czy to coś złego? Mimo że zrobił to Fidel Castro? – przekonywał senator Stanów Zjednoczonych podczas telewizyjnego wywiadu, nie wspominając jednocześnie o tym, że Castro przeprowadził też nacjonalizację obcego kapitału (głównie amerykańskiego), wprowadził obozy pracy przymusowej, pozbawił życia dziesiątki tysięcy Kubańczyków, doprowadził kraj do nędzy, prześladował duchownych oraz wiernych, zerwał relacje dyplomatyczne z USA, wtrącił do więzień wielu Amerykanów i współpracujących z CIA Kubańczyków, a także był gotów pomóc Sowietom w dokonaniu atomowej inwazji na Stany Zjednoczone.

Na tym etapie kampanii obrona komunistycznego dyktatora wystawiła jedynie Sandersa na ostrą krytykę ze strony konserwatywnych mediów oraz demokratycznych konkurentów, takich jak Mike Bloomberg czy Joe Biden. Cristóbal Alex, jeden z czołowych doradców politycznych byłego wiceprezydenta, zwrócił uwagę, że nie pierwszy raz Sanders publicznie podziwiał autokratycznych liderów. „Wydaje się, że czerpie on więcej inspiracji od Sowietów, sandynistów, chavistów czy Castro niż od Ameryki" – napisał Alex.

Na jaw wyszło bowiem, że lider w wyścigu po nominację Partii Demokratycznej wiosną 1988 r. wybrał się w 10-dniową podróż poślubną do Związku Sowieckiego. Jak wynika ze wspomnień innych Amerykanów, choć zimna wojna jeszcze wtedy trwała, Sanders popijając kolejne butelczyny wódki, chętnie krytykował USA za sposób, w jaki interweniują one w innych krajach świata. – Bierzmy to, co najlepsze z obu systemów – przekonywał po powrocie do Ameryki. Wybryk młodości? Można by próbować tak to tłumaczyć, choć Sanders miał wówczas 47 lat. Rok później odwiedził zaś komunistyczną Kubę, chwaląc darmową opiekę zdrowotną, bezpłatny system edukacji oraz spółdzielnie mieszkaniowe.

Sanders, przedstawiany przez konserwatywnych komentatorów, takich jak Hannity, jako „»Bolszewik« Bernie", był również jedynym reprezentantem USA, który wziął udział w rocznicy rewolucji sandynistowskiej w Nikaragui w 1985 r. Sanders spotkał się zresztą z rewolucjonistą i prezydentem Nikaragui Danielem Ortegą – zatwardziałym przeciwnikiem Ronalda Reagana – którego chwalił w swej książce „Outsider in the House". Sanders krytykował również Reagana za szkolenie antysandynistycznych bojówek i porównywał działania USA do rosyjskiej inwazji na Afganistan.

Zapalony socjalista jest więc dla Partii Demokratycznej niczym bomba z opóźnionym zapłonem. Problem w tym, że demokraci niczym polska opozycja cierpią na problem krótkiej ławki. Niby kandydatów jest kilkunastu, ale potencjalnie do wyrównanej walki z Trumpem może stanąć jeszcze Joe Biden. Były wiceprezydent chce zreformować obecnie obowiązujący system, ale jest przeciwny radykalnej rewolucji. Cieszy się więc popularnością wśród wielu starszych wyborców, a także – poprzez skojarzenie z Barackiem Obamą – wśród wielu Afroamerykanów.

Bidena, który długo był liderem w wyścigu, pogrążyły demokratyczne elity, wyciągając na światło dzienne aferę ukraińską, związaną z kontrowersyjną działalnością syna Bidena dla skorumpowanej ukraińskiej firmy i doprowadzając do impeachmentu Trumpa, zakończonego kompletnym blamażem Partii Demokratycznej. Buttigieg ma wiele atutów, ale były burmistrz wydaje się zbyt młody i zbyt niedoświadczony, aby mógł jak równy z równy stanąć w szranki z obecnym prezydentem USA.

JAK KUPIĆ BIAŁY DOM?

Kto jeszcze mógłby spróbować pokonać Donalda Trumpa? Teoretycznie największe szanse ma multimiliarder Michael Bloomberg, który postanowił sprawdzić, czy ma wystarczająco dużo pieniędzy, aby kupić sobie wymarzoną prezydenturę. Bogacz z Nowego Jorku jeszcze nie brał udziału w żadnych prawyborach. Do walki w prawyborach włączy się dopiero w marcu.

W tym wypadku hasło: „Kto bogatemu zabroni" może się jednak nie sprawdzić. Bloomberg, mimo majątku na kontach i gotowości do mówienia każdemu tego, co akurat chciałby usłyszeć, reprezentuje bowiem dokładnie to, czego młodzi wyborcy Partii Demokratycznej szczerze nienawidzą, czyli przekonanie, że Biały Dom można po prostu kupić. Trump jest też od Bloomberga o wiele bardziej autentyczny. Mówi to, co myśli, i w prosty sposób zło nazywa złem, a dobro dobrem, co podoba się milionom Amerykanów, zmęczonych poprawnością polityczną. Wynoszące od 42 do 45 proc. poparcie dla Donalda Trumpa daje jednak demokratom nadzieję na przeprowadzkę do Białego Domu. Jeśli jego nowym gospodarzem pierwszy raz w historii zostałby socjalista, to oznaczałoby to prawdziwą rewolucję nie tylko w Ameryce, lecz także w wielu krajach świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. JULIETTE BRUYNSEELS/AFP/EAST NEWS

PARADNY ANTYSEMITYZM

Belgijskie miasto Aalst ma własną, długą tradycję karnawałową – wielką paradę. Przeszła i w tym roku. Pojawiły się na niej m.in. karykatury Żydów: owadopodobne postacie z dużymi nosami, obsypane kosztownościami. Parada oburzyła Komisję Europejską. Jednak burmistrz Aalst odpowiedział, że to wcale nie antysemityzm, bo na paradzie śmieją się ze wszystkiego i z każdej religii. Co by się stało, gdyby taka parada przeszła w Warszawie?

FIŃSKI GENDER NA DROGACH

Fińska rządowa agencja zajmująca się transportem i infrastrukturą poinformowała o wprowadzeniu nowego oznakowania pionowego dróg. I opublikowała obrazy nowych znaków. Część z nich stanie się po prostu czytelniejsza, ale przy okazji z części usunięto męskie postacie, zastępując je piktogramem człowieka pozbawionym cech pozwalających rozróżniać płeć. Zamiast mężczyzny na znaku „przejście dla pieszych" będzie bezpłciowy „chłopek". A ze znaku „uwaga rowerzyści" zniknie rowerzysta, zostanie tam sam rower. Wymiana znaków ma zająć dłuższy czas. Co ciekawe najszybciej zamienione zostanie właśnie oznakowanie, na którym pojawią się bezpłciowe piktogramy.

O CZYM MÓWIĆ NIE WOLNO

Dyrektor generalny linii lotniczych Ryanair pozwolił sobie na zbyt dużą szczerość w rozmowie z „The Times". Michael O'Leary odpowiedział bowiem, kto może stanowić zagrożenie w samolotach. „Nie można tak mówić, bo to rasizm, ale na ogół będą to mężczyźni o wyznaniu muzułmańskim" – stwierdził. Muzułmańska Rada Wielkiej Brytanii natychmiast uznała, że poglądy O'Leary'ego są „dokładną definicją islamofobii", i zarzucono mu, iż chce dyskryminować klientów swoich linii.

WŁOSKIE SPEKULACJE KORONAWIRUSOWE

Maska ochronna we Włoszech jeszcze do niedawna kosztowała ok. 1 eurocenta. Obecnie trzeba za nią zapłacić 10 euro. Z kolei litr płynu dezynfekującego do rąk kosztował jeszcze niedawno 7 euro, dziś nawet 39. Zastępca prokuratora generalnego Mediolanu zapowiedział wszczęcie dochodzenia w sprawie szalonych cen, w których te produkty zaczęto oferować w Internecie po tym, jak w kraju zaczęła się szerzyć choroba.

OSTATNI LOT PŁASKOZIEMCA

Mike Hughes w kręgach osób twierdzących, że Ziemia jest płaska, znany jako „Szalony Mike" po raz kolejny spróbował empirycznie dowieść, iż nasza planeta ma kształt dysku (a rządy i służby specjalne specjalnie wmawiają od lat, że to kula). W rakiecie własnej konstrukcji chciał się wznieść na ponad 100 km od gruntu. Niestety, podczas lotu odpadł spadochron do opóźniania lądowania i Mike zginął. Płaskoziemcy nie mają więc nadal dowodu na płaskość Ziemi, mają jedynie dowód, że kłamstwem na pewno nie jest grawitacja. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wszystko już było

Dezawuowanie wszystkiego i niezgadzanie się na wszystko, co dzieje się bez udziału opozycji, jest niegodne. To podważanie demokratycznego wyboru, na co patrzę z wielką przykrością" – powiedział ważny polityk. I teraz zagadka: Kto i kiedy to powiedział? Proszę zauważyć: jest to wypowiedź uniwersalna, bo mogła paść zarówno w latach 2007–2015 i wtedy wygłaszałby ją polityk PO, a mogła paść teraz i wtedy musiałby to powiedzieć polityk PiS.

Nie będę państwa trzymał w napięciu: to Stanisław Karczewski o planowanej uchwale Senatu, który występuje w roli oblężonej przez wroga twierdzy i pod wodzą marszałka Grodzkiego, coraz bardziej sprawiającego wrażenie nawiedzonej postaci z „Żywotu Briana" Monty Pythona, głosi, iż „nadejdzie czas, gdy krzywdy zostaną naprawione, a zachowania niegodne i niezgodne z prawem – osądzone". To z kolei mogłaby być jakaś uchwała posłów PiS z roku, dajmy na to, 2012.

Wszystko już było. Słowa o podważaniu demokratycznego wyboru, o ukaraniu winnych, o psuciu demokracji. Te kontredanse nie powinny już robić wrażenia na nikim, kto potrafi mieć dystans do tego coraz nudniejszego spektaklu.

Nihil novi sub sole, jak stwierdza Eklezjasta. Zieeew. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

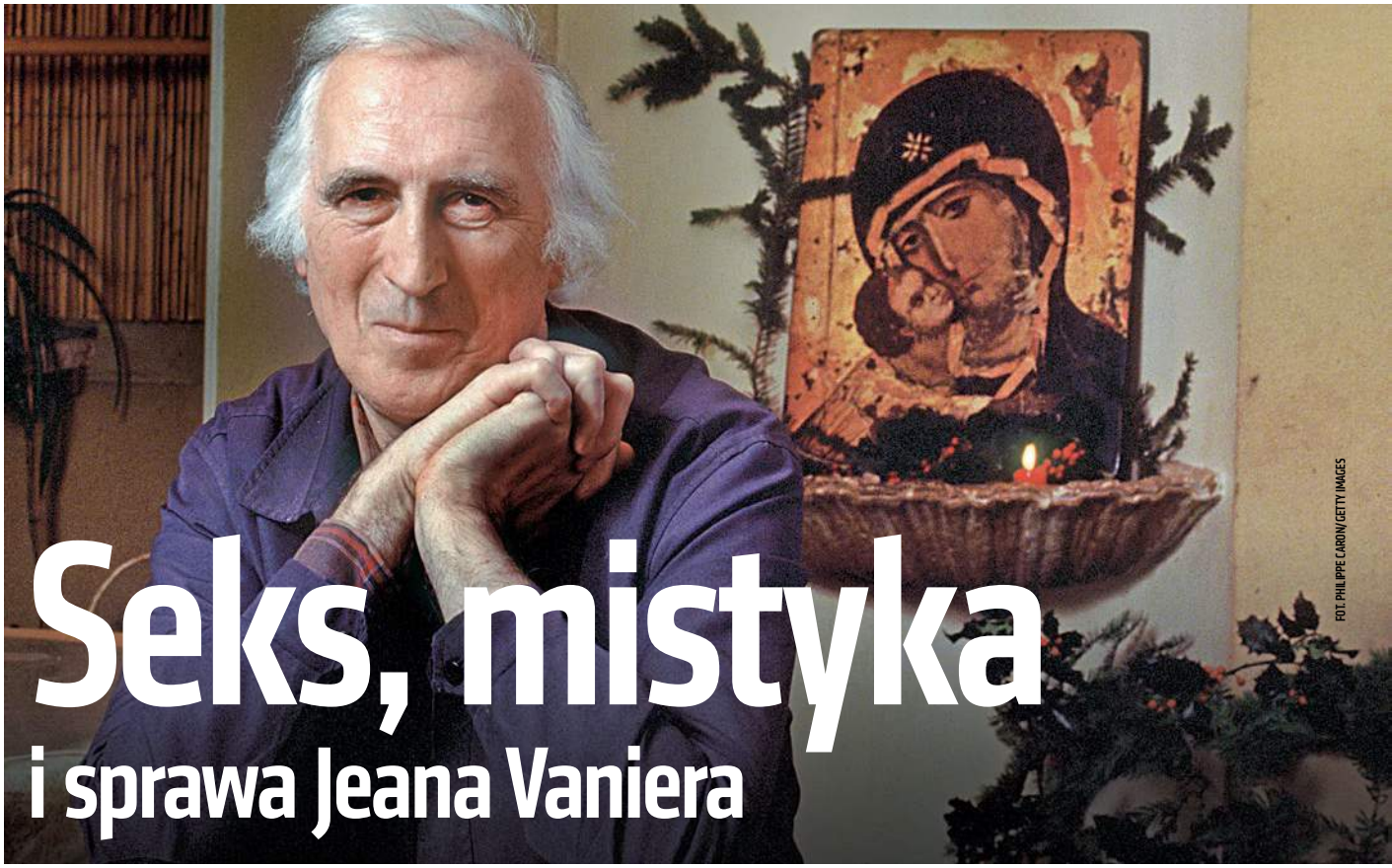

FOT. PHILIPPE CAROU/GETTY IMAGES

Seks, mistyka i sprawa Jeana Vaniera

Tomasz P. Terlikowski

Jeśli sprawa Vaniera coś nam mówi o rzeczywistości eklezjalnej XX i XXI w., to co najwyżej to, że w latach 60. i 70. niepotrzebnie zrezygnowano z wypracowanych przez wieki metod kontroli i sprawdzania pewnych zjawisk

Nie ma co ukrywać, że to była medialna i kościelna bomba. Jeden z największych autorytetów katolickich wieków XX i XXI, człowiek, który zmienił, a może lepiej powiedzieć – upowszechnił prawdziwie ewangeliczne podejście do osób niepełnosprawnych intelektualnie, a także stworzył jeden z najważniejszych ruchów katolickich (jak jest on ważny, uświadomimy sobie, gdy policzymy wszystkich tych – nawet tylko w polskim Kościele – którzy przewinęli się przez Wspólnotę L'Arche oraz Wiarę i Światło), okazał się manipulantem seksualnym wykorzystującym przez lata uzależnione od siebie albo będące w kryzysie kobiety. Jean Vanier, bo o nim mowa, uznawany był przez wielu za potężny autorytet, a po jego śmierci nawet papież Franciszek mówił o nim jako o „świętym z sąsiedztwa". Teraz ten obraz trzeba będzie głęboko zweryfikować, bo dane, tóre zostały ujawnione w raporcie Wspólnoty L'Arche, rzeczywiście szokują.

„SYMBOL NAJWIĘKSZEJ MIŁOŚCI"

Co z nich wynika? Otóż tyle, że w ciągu kilkudziesięciu lat swojego przewodzenia wspólnocie jej założyciel wykorzystał seksualnie przynajmniej sześć kobiet (w tym siostry zakonne), a prawdopodobnie więcej. A żeby móc to robić, zbudował osobliwą pseudoteologię i mistykę, wedle której – jak to wyjaśniał jednej z sióstr zakonnych – współżyjąc lub oddając się jemu, ona w istocie współżyła i okazywała miłość Jezusowi, bo „Jezus i on nie są dwoma, ale jednym". Innej kobiecie tłumaczył, że czułość i erotyczna bliskość, którą jej okazuje, nie ma nic wspólnego ze zwyczajną seksualnością, ale wpisuje się w teologię Pieśni nad Pieśniami, a wykorzystanej mężatce, która żaliła się, że to, co robił z nią Vanier, prawie doprowadziło do rozpadu jej małżeństwa, lider wspólnoty wyjaśnił, iż jej mąż nic nie rozumie i jest złym człowiekiem.

Poglądy te przejął Vanier od swojego mistrza duchowego, dominikanina o. Thomasa Philippe'a, który już w latach 50. przekonywał kobiety, które były poddane jego kierownictwu duchowemu, że akty seksualne z nim są w oczach Pana Jezusa i Matki Bożej czymś wspaniałym, bo „organy płciowe są symbolem największej miłości, znacznie większym niż Najświętsze Serca Pana Jezusa". Uzasadnieniem seksu z nim miała być także „doktryna złączenia mistycznego" będąca sprawnym (bo nie ma co ukrywać, że jeśli chodzi o budowanie pseudoreligijnych uzasadnień, to zakonnik był mistrzem) połączeniem odniesień do ofiary Abrahama, Księgi Ozeasza, Pieśni nad Pieśniami czy tajemnic chwalebnych Różańca Świętego. Tyle że w latach 50. kobiety zgłosiły się do odpowiednich struktur kościelnych i te natychmiast zainterweniowały, wysyłając dominikanina w miejsce odosobnienia i uniemożliwiając mu publiczne sprawowanie kultu i kierownictwo duchowe, a także oddzielając go od członków wspól-

eprasa.pl a01f6cfe92

noty, w której podobne poglądy głosił, i zakazując z nimi kontaktu.

Vanier, który był wówczas jej członkiem i wiadomo, że już wtedy uczestniczył w usprawiedliwianych religijnie zbliżeniach erotycznych, kontaktu nie zerwał, a potem wytrwale pracował nad przywróceniem dobrego imienia dominikanina, którego – gdy z niewiadomych przyczyn karę zawieszono – uczynił kapelanem nowej wspólnoty, co umożliwiło mu wykorzystywanie kolejnych kobiet. Jakby tego było mało, panowie niekiedy wymieniali się uwagami na temat poszczególnych kobiet, a nawet samymi kobietami.

W procederze religijnie i pseudomistycznie motywowanego wykorzystywania kobiet uczestniczył także rodzony brat o. Thomasa Philippe'a, czyli znakomity filozof i twórca męskiego zgromadzenia Wspólnoty św. Jana i jego żeńskiego odpowiednika o. Marie-Dominique Philippe OP. On także, co wynika z ustaleń jego wspólnoty, wykorzystywał seksualnie powierzone swojemu kierownictwu duchowemu kobiety (w tym siostry z założonej przez siebie wspólnoty) i przekonywał je do tego za pomocą dziwacznej teologii.

NIC NOWEGO POD SŁOŃCEM

Oburzenie na podobne zachowanie nie powinno przesłaniać tego, że w istocie takie wydarzenia nie są niczym nowym w historii religii i religijności. Starożytna gnoza, a także pewne nurty manicheizmu również wykorzystywały religię i mistykę do budowania zaskakujących uzasadnień rozmaitych praktyk seksualnych. Buddyjska tantra także jest powiązaniem mistyki i seksualności. A jeśli przeanalizować język chrześcijańskiej mistyki, to także można dostrzec jego mocne powiązanie z językiem i obrazami erotyki. Nic w tym dziwnego ani zaskakującego, bo zjednoczenie erotyczne i mistyczne są – pod względem strukturalnym – do pewnego stopnia podobne. Od strony symbolicznej także dostrzec można rozmaite elementy takiego powiązania.

Nie jest także niczym szczególnie zaskakującym nadużywanie władzy przez charyzmatycznych liderów religijnych, i to często nadużywanie władzy w celach ściśle seksualnych. Założyciel mormonów Joseph Smith, a także jego bezpośredni następca robili dokładnie to samo i także budowali mistyczne uzasadnienia swoich działań w dziedzinie seksualnej. A w historii Kościoła nie brak zgromadzeń czy grup, w których dochodziło do rozmaitych wynaturzeń i wypaczeń, także związanych z władzą.

Kościół od samego początku swojego istnienia miał świadomość ścisłego powiązania seksualności, mistyki oraz władzy i dlatego bardzo pilnował, by nie budować struktur, które ułatwiają takie powiązania. Już w pierwszych dwóch wiekach potępiono pomysł, by asceci mieszkali razem z dziewicami, które miały im usługiwać, bo miano świadomość, że – z powodu ludzkiej słabości – takie wspólne mieszkanie może szybko doprowadzić do tego, że dziewice przestaną być dziewicami. W kolejnych wiekach bardzo pilnowano, by mnisi nie mieli kontaktu z kobietami, a także by w trakcie spowiedzi czy kierownictwa duchowego nie dochodziło do rozmaitych nadużyć. To właśnie obawa przed nimi była jednym z powodów, dla których stworzono konfesjonały, a także wprowadzono zasady postępowania dla kapłanów, które mocno separowały ich od świeckich, szczególnie kobiet. I choć można narzekać, że metody te były przesadnie surowe czy kostyczne, to nie ulega wątpliwości, że chroniły one przed pewnymi nadużyciami.

Kościół rozwiązywał pewne kwestie przez wieki, miał świadomość niebezpieczeństw i wydaje się, że błędem była rezygnacja z nich w imię otwartości, relacyjności, wiary w naturalną dobroć człowieka i zastąpienie ascetyki oraz prawa psychologią, która nie przeszła testu wieków. Nie, nie odrzucam psychologii, psychoterapii, psychiatrii ani ich odkryć, ale przypominam, że poza nimi jest także mądrość wieków chrześcijańskiej ascetyki i rozumna doktryna (dotycząca zarówno Boga, człowieka, jak i moralności oraz zdrowej mistyki), z których trzeba korzystać. Kościół nie zaczął się dzisiaj, problemy w nim nie zaczęły się dzisiaj, warto więc pamiętać, jak rozwiązywano je kiedyś.

O wiele surowsza była także kiedyś kontrola wizjonerów czy mistyków, a także charyzmatycznych przywódców. W wielu przypadkach Święte Oficjum rozwiązywało zgromadzenia czy zakony (nawet jeśli później je przywracało), a także poddawało surowym ocenom prawdziwość objawień czy mistycznych teologii. Zdarzało się, że oskarżano niewinnych, że skazywano autentycznych wizjonerów, ale odsiewano przy okazji to wszystko, co z prawdziwą mistyką niewiele miało wspólnego. Doskonałym tego przykładem jest zresztą to, że o. Thomas Philippe został skazany przez watykański urząd i gdyby tylko pilnowano tego zakazu, gdyby nie okołosoborowe zamieszanie, to zapewne nie popełniłby on już następnych przestępstw. Co ciekawe, suspendowany i odsunięty w latach 50. od kierowania Legionistami Chrystusa był także największy z przestępców seksualnych w Kościele – ks. Marcial Maciel Degollado, ale i jego w nieznanych okolicznościach, właśnie w okresie okołosoborowym, przywrócono do służby kapłańskiej i zarządzania zgromadzeniem. Gdyby zachowano poprzednie decyzje, wielu skandali udałoby się uniknąć.

RACJA BENEDYKTA XVI

I już tylko te dwie historie pokazują z całą mocą słuszność analizy Benedykta XVI zawartej w znakomitym liście dotyczącym przyczyn skandali seksualnych w Kościele. Papież senior wskazuje w tym tekście, że jednym z powodów, dla których Kościół nie radził sobie ze skandalami, była zmiana postrzegania prawa kanonicznego, które zaczęło się skupiać wyłącznie na prawach oskarżonego, „[…] i to do tego stopnia, że w rzeczywistości wykluczono jakiekolwiek skazanie. Jako przeciwwagę dla często niewystarczających możliwości obrony oskarżonych teologów ich prawo do obrony w ujęciu gwarantyzmu zostało rozszerzone do tego stopnia, że skazania były praktycznie niemożliwe". W ten sposób traktowano zresztą nie tylko oskarżonych o przestępstwa seksualne, lecz także wizjonerów, fałszywych mistyków, założycieli stowarzyszeń, którym pozwalano testować swoje rozwiązania, bez próby ich oceny z perspektywy katolickiej. A przecież pomysły, by mężczyźni i kobiety mieszkali razem, by małżeństwa dzieliły życie z kapłanami, były już kiedyś przetestowane i wiadomo było, do czego mogą doprowadzić.

Kościół, gdyby tylko chciał korzystać ze skarbnicy własnej ascetyki, miał także świadomość, do czego prowadzi brak kontroli nad charyzmatycznymi liderami czy mistykami. Niestety, w latach 60., 70., a i później, zapomniano o tym i pozwolono, by niekontrolowana odnowa religijna wydała także patologiczne owoce. Teraz przyjdzie nam się z nimi zmierzyć. I nie będzie to proces łatwy, bo wiele wskazuje na to, że mogą nas czekać kolejne skandale i pisanie historii Kościoła posoborowego od nowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Proces politycznej poprawności

Olivier Bault

Były wicepremier pozbawiony immunitetu i zagrożony procesem. Powód? Nie chciał wpuścić do Włoch nielegalnych imigrantów

Do 15 lat więzienia oraz od sześciu do ośmiu lat pozbawienia czynnych praw wyborczych – tyle ryzykuje lider włoskiej opozycji i senator Matteo Salvini po odebraniu mu immunitetu przez senat 12 lutego. I nie chodzi tu o jakieś zarzuty korupcyjne czy inne oskarżenia niezwiązane z pełnieniem jego funkcji politycznych. Wręcz przeciwnie – pozwolenie włoskiego senatu na postawienie Salviniego przed sądem dotyczy bezpośrednio decyzji natury politycznej, podjętych przez niego w okresie, gdy pełnił funkcję ministra spraw wewnętrznych i wicepremiera w lipcu ubiegłego roku.

Salviniego pozbawiono immunitetu głosami senatorów lewicowej koalicji rządowej, w tym również głosami Ruchu 5 Gwiazd (M5S). Tego samego, który w marcu ubiegłego roku w identycznej sprawie, gdy istniała jeszcze koalicja M5S z Ligą, opowiedział się przeciwko osądzeniu urzędującego ministra spraw wewnętrznych.

ZAKAZ DLA EMIGRANTÓW

Obecna sprawa dotyczy tego, że Salvini odmówił wypuszczenia na ląd 131 nielegalnych imigrantów przebywających w ostatnich dniach lipca na pokładzie statku włoskiej straży przybrzeżnej „Gregoretti". Zakaz zejścia na ląd był utrzymywany aż do czasu, kiedy pięć krajów europejskich oraz włoski episkopat zobowiązały się przyjąć owych imigrantów na własny koszt. Przez sześć dni, kiedy statek „Gregoretti" czekał w porcie miasta Augusta na Sycylii, przybywający na nim imigranci mieli zapewnioną opiekę. Mimo to trybunał ministrów z Katanii na Sycylii postanowił, wbrew opinii prokuratury, zwrócić się właśnie do senatu o możliwość osądzenia byłego już ministra za rzekome bezprawne pozbawienie wolności tych imigrantów. Trybunał ministrów to we Włoszech specjalny wydział sądów powszechnych, zajmujący się przestępstwami popełnionymi przez członków rządu.

Jak były koalicjant Ligi uzasadnia odmienne stanowiska w przypadku statku „Gregoretti" oraz w przypadku statku straży przybrzeżnej „Diciotti", wobec którego Salvini podjął podobne działania w sierpniu 2018 r.? Otóż Luigi di Maio, będący obecnie w drugim rządzie Giuseppe Contego ministrem spraw zagranicznych, a w pierwszym rządzie Contego ministrem pracy i rozwoju gospodarczego oraz wicepremierem, tłumaczył w grudniu, że w przeciwieństwie do decyzji blokującej zejście na ląd imigrantów przybywających na pokładzie „Diciotti" w sierpniu 2018 r. decyzja odnośnie do statku „Gregoretti" została podjęta w kontekście większej solidarności europejskiej dotyczącej relokacji imigrantów i służyła głównie celom propagandowym Salviniego. Po porażce M5S w styczniowych wyborach regionalnych Di Maio zrezygnował z szefostwa partii, ale retoryka senatorów Ruchu 5 Gwiazd w czasie głosowania z 12 lutego była podobna. Jak widać, motywy pozbawienia Salviniego przysługującego mu immunitetu są czysto polityczne.

Sam Salvini jeszcze w styczniu namawiał senatorów Ligi do poparcia wniosku o pozbawienie go immunitetu,

eprasa.pl a01f6cfe92

gdyż – jak twierdzi – nie boi się procesu, a jego „dzieci mają prawo wiedzieć, że ich tata był często poza domem nie po to, aby porywać ludzi, ale po to, aby bronić granic i bezpieczeństwa kraju". Poza tym lider Ligi dowodzi, że decyzje w sprawie statku „Gregoretti" były podejmowane w porozumieniu z rządem, co zamierza udowodnić przed sądem, aby pogrążyć premiera Contego i ministrów z M5S. Lutowe głosowanie w Senacie przedstawiciele Ligi ostatecznie zbojkotowali na prośbę Salviniego, a pozostałe partie bloku prawicy – Forza Italia (FI) byłego premiera Silvia Berlusconiego oraz nacjonalistyczna partia Fratelli d'Italia (FdI) – głosowały przeciw tej decyzji, stwierdzając, że postawienie byłego ministra spraw wewnętrznych przed sądem stanowi niebezpieczny precedens.

NAJAZD IMIGRANTÓW

Wygląda bowiem na to, że przy współpracy lewicowej koalicji rządowej grupa sędziów może trwale „unieszkodliwić" głównego lidera prawicowej opozycji lub co najmniej nękać go procesem trwającym latami. „Oponentów należy pokonywać w urnach, a nie w sądach" – oskarża Matteo Salvini. Tyle tylko że – jeśli wierzyć sondażom – od czasu powołania koalicji M5S z centrolewicową Partią Demokratyczną (PD) lewica w urnach nie miałaby szans. Liga Salviniego nieco osłabła w ostatnich miesiącach, ale skorzystali na tym narodowcy z FdI pod wodzą Giorgii Meloni, a więc formacja w obrębie bloku prawicy, który wciąż miałby zagwarantowaną większość bezwzględną w razie przyspieszonych wyborów. I tak w lutowych sondażach Liga utrzymywała się na poziomie ok. 30 proc., FdI osiągał ok. 12 proc., FI miał cały czas 6–7 proc., podczas gdy na lewicy Partia Demokratyczna (PD) mogła liczyć na 20–21 proc. głosów, M5S spadł do poziomu 13–14 proc., a Italia Viva byłego premiera Matteo Renziego, który grozi wyjściem z koalicji rządowej, oscylowała między 4 a 6 proc. Postawienie lidera opozycji przed sądem następuje zatem w momencie, kiedy przetrwanie drugiego rządu Contego stoi pod znakiem zapytania, a lewica nie ma praktycznie szans na pokonanie swoich oponentów w urnach.

Warto również zauważyć, że od momentu zawiązania koalicji pomiędzy M5S i PD oraz otwarcia włoskich portów na statki z imigrantami następuje ponowny, znaczny wzrost nielegalnej imigracji. O ile do końca ubiegłego roku udawało się to maskować, porównując dane z 2019 r. do tych z 2018 r., o tyle od stycznia 2020 r. nie da się już tego robić. W styczniu 1275 imigrantów zeszło na ląd we włoskich portach. Jeśli dodać do tej liczby 373 imigrantów, którzy 31 stycznia znajdowali się na pokładzie statku hiszpańskiej organizacji pozarządowej Proactiva Open Arms i mieli niebawem także zejść na ląd, nielegalnych imigrantów, którzy przedostali się do Włoch drogą morską, było już 1648 – to osiem razy więcej niż w styczniu 2019 r.

Od września 2019 r., czyli od momentu powołania drugiego rządu Contego i zmiany polityki imigracyjnej, liczba nielegalnych imigrantów przewyższa co miesiąc liczbę sprzed roku. Od 1 września 2019 r. do 31 stycznia 2020 r. do Włoch dotarło 7611 nielegalnych imigrantów (nie licząc tych, którzy znajdowali się jeszcze na pokładzie Proactiva Open Arms 31 stycznia) w stosunku do 2476 osób przez pierwszych osiem miesięcy 2019 r., kiedy Salvini kierował polityką imigracyjną pierwszego rządu Contego.

Wbrew retoryce działaczy organizacji pozarządowych, wysyłających swoje statki w pobliże wybrzeża Libii, liczba utonięć zaczęła znów rosnąć od momentu, gdy nowy lewicowy rząd włoski otworzył porty dla nielegalnych imigrantów. Na migracyjnym szlaku środkowo-śródziemnomorskim wiodącym do Włoch Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji zarejestrowała 437 utonięć w okresie od września 2019 r. do stycznia 2020 r., podczas gdy w analogicznym okresie od września 2018 r. do stycznia 2019 r. było ich 336.

Postawienie Matteo Salviniego przed sądem za jego ministerialne decyzje podjęte za wiedzą i przyzwoleniem premiera Contego i ministrów z Ruchu 5 Gwiazd (w przypadku statku „Gregoretti" minister transportu Danilo Toninelli z M5S domagał się razem z Salvinim w lipcu ubiegłego roku, aby inne kraje UE zobowiązały wziąć do siebie imigrantów przebywających na pokładzie) jeszcze bardziej zastanawia w zestawieniu z przypadkiem Niemki Caroli Rackete. W czerwcu 2019 r. Rackete jako kapitan statku „Sea Watch 3" należącego do niemieckiej organizacji pozarządowej Sea Watch zabrała na pokład 53 nielegalnych imigrantów, umyślnie wyprzedzając, wbrew otrzymanym poleceniom, akcję ratunkową libijskiej straży przybrzeżnej, choć morze było spokojnie i nic tym migrantom nie zagrażało. Następnie nie zastosowała się ani do poleceń Libijczyków, którzy nakazali jej odprowadzić te osoby do portu w Trypolisie, ani do poleceń włoskich władz nakazujących wysadzenie ich na ląd w najbliższym tunezyjskim porcie. Skierowała swój statek na włoską wyspę Lampedusę, gdzie sforsowała blokadę portu, uderzając w statek włoskiej Gwardii Finansowej. Chociaż niemiecka działaczka nieukrywająca swoich poglądów skrajnie lewicowych i proimigracyjnych została zatrzymana po zejściu na ląd, to sąd bardzo szybko ją uwolnił. Argument? Ratowała ludzi, a portów libijskich oraz tunezyjskich nie można uznawać za bezpieczne. O ile teza ta jest do obrony w przypadku portów libijskich (choć większość tych imigrantów przybyła wcześniej dobrowolnie właśnie do Libii), w przypadku Tunezji może tylko dziwić.

JAK ZAREAGUJE NARÓD?

Pod koniec lutego temat osądzenia Matteo Salviniego zniknął z włoskich mediów z powodu wybuchu epidemii koronawirusa we Włoszech, ale nie oznacza to, że sprawa nie toczy się dalej. 20 lutego prokuratura Katanii poinformowała o złożeniu wniosku do sądu o ustalenie terminu wstępnej rozprawy, co jest pierwszym etapem postępowania sądowego przeciwko byłemu wicepremierowi Salviniemu o bezprawne pozbawienie wolności osób zabranych na pokład „Gregoretti". Tymczasem w marcu włoski senat ma głosować nad zniesieniem immunitetu Salviniego na wniosek Trybunału Ministrów z Palermo, który ma wobec byłego ministra podobne zarzuty w odniesieniu do odmowy dostępu do włoskiego portu dla statku hiszpańskiej organizacji Proactiva Open Arms w sierpniu zeszłego roku, w ostatnich dniach urzędowania pierwszego rządu Contego.

Pozostaje pytanie, jak zareaguje naród, który w większości popierał skuteczną politykę szefa Ligi przeciw nielegalnej imigracji, jeśli grupie sędziów aktywistów uda się uniemożliwić Salviniemu start w przyszłych wyborach czy nawet skazać go na karę więzienia? Działania podjęte przez parlamentarną lewicę, które dały tym sędziom zielone światło do rozprawienia się z politycznym przeciwnikiem, mogą się jeszcze na niej zemścić. I na to właśnie liczy Matteo Salvini.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Małgorzata Wołczyk

8 marca to w kalendarzu Hiszpanii wyjątkowy dzień – kulminacja wojny płci

FOT. MAŁGORZATA WOŁCZYK

Dzień kobiet w cieniu aborcji

Już na parę tygodni przed (i po) tej dacie półki księgarskie uginają się pod ciężarem znaczących tytułów: „Mamo, chcę zostać feministką", „Feminizm dla początkujących", „To nie jest kraj dla cipek", „Mama nieposkromiona, feministyczne spojrzenie na macierzyństwo", „Feminizm czwarta fala" itp.

W większych księgarniach można znaleźć nawet kilkadziesiąt tytułów, dlatego projektanci okładek ścigają się na efekt: wyciągnięta, zaciśnięta damska pięść, portrety kobiet w geście Kozakiewicza, obrazki upokorzonej lub związanej sylwetki mężczyzny, dozwolone są zresztą wszystkie inne symbole walki z patriarchatem.

8 marca to nie tylko wyczekiwany przez feministki dzień wielotysięcznych bojowych demonstracji, aby dać upust rozgoryczeniu czy nienawiści wobec mężczyzn, ale też swoista fiesta i biznes. W ubiegłym roku w samym tylko Madrycie Manifa zgromadziła ok. 375 tys. kobiet. Obserwowanie z bliska tak gigantycznej masy rozsierdzonych kobiet nie należało jednak do przyjemności, przynajmniej dla mnie. Problem w tym, że nie mając pojęcia o obowiązującym dress codzie w barwach czarno-fioletowych, dość szybko odczułam, że ani mój kobiecy ubiór, ani buty na wysokim obcasie nie są mile widziane i powinnam się oddalić od sióstr walczących w moim imieniu o lepszy świat. Zastanawiające, że nawet kobiety w leciwym wieku nie wzbraniały się przed wojowniczym oznakowaniem sobie policzków symbolami feminizmu,

eprasa.pl a01f6cfe92

a niejednokrotnie mazały też twarze towarzyszącym im dzieciom czy wnuczkom. Zupełnie jakby szykowały się na wojnę, w której ten trupi czarno-fioletowy kolor miałby okazać się sprzymierzeńcem.

PRAWO AÍDO

Problem w tym, że jak pokazuje większość badań, to akurat Hiszpanki zamieszkują jeden z najlepszych, dostępnych nam światów.

Według wskaźników stosowanych przez światowego lidera w tej dziedzinie – Georgetown Institute for Women – badającego dostęp kobiet z poszczególnych krajów do edukacji, stanowisk, monitorujący poziom bezpieczeństwa i jakości życia Hiszpania zajmowała do 2019 r. wysokie piąte miejsce na świecie. Innymi słowy – należała i wciąż należy do czołówki państw, gdzie najlepiej jest się urodzić kobietą (w tym czasie Polska była na 28. miejscu). W ostatnim roku spadła z piątego miejsca na 15., podczas gdy Polska awansowała na 25. miejsce. To jednak sporo mówi o warunkach życia Hiszpanek, tym bardziej że żyją najdłużej na naszym kontynencie, osiągając średnio 86 lat i korzystając z uroków życia, klimatu, śródziemnomorskiej diety i świetnej opieki zdrowotnej.

Mimo to panuje nieprzerwana moda na obwinianie mężczyzny, zwłaszcza białego, zwłaszcza tego „pod ręką", czyli Hiszpana, za wszelkie zło tego świata. Żadna z feministycznych organizacji nigdy nie zająknęła się na temat plagi gwałtów zbiorowych, tzw. manadas, uskutecznianych przede wszystkim przez imigrantów, i to nieletnich (jak podają odważniejsi dziennikarze, przybysze – zwłaszcza z Maghrebu – odpowiedzialni są za 70 proc. gwałtów). Znajomy policjant z Madrytu mówi mi, że nie wolno mu udostępniać prawdziwych danych na ten temat, bo w kraju politycznej poprawności nie wolno nikogo stygmatyzować nawet wtedy, jeśli statystyki są nieubłagane. Prosi, abym poczekała dwa lata, aż przejdzie na emeryturę i nikt nie pociągnie go do karnej odpowiedzialności.

Feministki nie narażą się lewicowej władzy, która wspiera ich coraz nowsze roszczenia i dlatego bardziej zaprząta ich głowy problem rzekomej nierówności. Po raz pierwszy ministerstwo ds. równouprawnienia (czy też równości płci) stworzył w 2008 r. socjalistyczny premier Zapatero i to jego minister Bibiana Aído była odpowiedzialna za liberalizację ustawy aborcyjnej, która do tej pory skutkuje rokrocznie hekatombą szacowaną średnio na… 90 tys. zabiegów aborcyjnych, ostatnie dane za rok 2018 to 95 917.

Ustawa o wolnym dostępie do aborcji, zwana prawem Aído, najbardziej radykalna w Europie, pozwala na darmową aborcję do 14. tygodnia ciąży, a w przypadku gwałtu lub potwierdzenia, że ciąża stanowi fizyczne lub psychiczne zagrożenie dla matki, okres ten wydłuża się do 22. tygodnia. Faktycznie jednak mówi się wprost, że nie ma ograniczeń czasowych.

Czego więc domagają się feministki hiszpańskie, skoro żyją długo i szczęśliwie w przeciwieństwie do dzieci abortowanych w liczbie ok. 300 każdego dnia? Wróg jest zawsze ten sam: „maczyzm". Przejawia się w „kulturze gwałtu i przemocy" i mikromaczyzmach typu: komplement na temat wyglądu kobiety, przepuszczenie w drzwiach.

HISZPANIE BOJĄ SIĘ HISZPANEK

Mimo że słynne prawo „o przeciwdziałaniu przemocy ze względu na płeć" uchwalone jeszcze za czasów Zapatero spowodowało drastyczne w skutkach konsekwencje dla mężczyzn i rozpętało prawdziwą wojnę płci, wszystko to okazuje się jeszcze za mało. Przypomnijmy, że Hiszpania jest jedynym krajem na świecie, gdzie obowiązuje domniemanie winy ze względu na płeć. Kobieta, która poczuje się ofiarą przemocy, nie musi okazywać ani wyników obdukcji, ani świadków, wystarczy, aby złożyła dwa niesprzeczne zeznania o doświadczeniu agresji (także słownej), aby mężczyzna został oskarżony i skazany. Nader często pozbawiony też majątku czy prawa do opieki nad dziećmi, co stanowi wyjątkową pokusę dla kobiet znudzonych związkiem lub mających widoki na nową przygodę miłosną. Hiszpanie boją się wchodzić w związki z Hiszpankami, co skutkuje nie tylko drastycznym spadkiem zawieranych ślubów cywilnych (o kościelnych już nie wspominając), ale prawdziwym demograficznym samobójstwem Hiszpanii, nie mówiąc już o największej w Europie „konsumpcji pornografii". Gdy związki z kobietami obarczone są tak wielkim ryzykiem, Hiszpanie wolą wybrać samotne życie lub małżeństwo z Hispanoamerykankami, które w powszechnej opinii uchodzą za bardziej troskliwe i kobiece niż wojujące rodaczki.

Od kiedy jednak w początkach roku 2020 uformował się socjalistyczno-komunistyczny rząd koalicyjny, feministki dostały wsparcie w osobie nowej minister do spraw równouprawnienia: Irene Montero. Hiszpanie lubią mówić z przekąsem, że nawet Ameryka nie oferuje tak szybkich karier, którą zrobiła małżonka lidera partii Podemos.

PANI MINISTER RZĄDZI

CV pani minister to najpierw praca kasjerki w markecie z elektroniką, a potem już błyskotliwa kariera w Kongresie u boku męża Pablo Iglesiasa. Ministrem została więc w wieku 32 lat i od razu wniosła znaczący wkład w dziedzinę równych praw: ogłosiła, że w ministerstwie nie będzie pracował ani jeden mężczyzna. Nominowała dwie aktywistki ruchu LGBT, Beatriz Gimeno i Boti García, które były pierwszą parą lesbijską, która otrzymała ślub (żeby z hukiem rozwieść się parę lat później) na najważniejsze stanowiska. Pani Gimeno stanęła teraz na czele Instytutu Kobiety i od razu wpędziła w zażenowanie całą przytomną opinię publiczną. Przypomniano sobie nie tylko o jej licznych wypowiedziach usprawiedliwiających prześladowanie Kościoła, palenie świątyń, lecz także wysłuchano nowych postulatów pani prezes: heteroseksualność nie jest zgodna z naturą, a jedynie jest narzuconą opresją przez reżim patriarchatu. Dlatego też kobiety, które nie są w stanie dobrowolnie uwolnić się od tradycji i żyć w związku lesbijskim, powinny przynajmniej w ramach uprawnień „penetrować analnie swoich partnerów". Pomimo gromkiego oburzenia prezes Instytutu zachowała i urząd, i dobre mniemanie o sobie. Jej ekszżona Boti García została zaś mianowana na rządowe stanowisko i odpowiada „za sprawy różnorodności seksualnej i LGBT".

8 marca wypada w niedzielę, więc Hiszpanki zastanawiają się nad przeprowadzeniem generalnego strajku także 9 marca. Trzeba w końcu pokazać, jak bardzo krzywdzone i uciskane są kobiety na Półwyspie Iberyjskim. Jednym z planowanych punktów programu jest akt symbolicznego poniżenia Santiago Abascala, lidera konserwatywnej partii Vox. Trudno w zasadzie odgadnąć, co znaczy hasło „Madryt będzie grobem Abascala" (bo innych wznoszonych okrzyków nie godzi się tłumaczyć na łamach tak szacownego pisma). Abascal zdążył już odpowiedzieć w swoim stylu: „Nienawiść wszystko może zatruć, a nawet pięknym kobietom odebrać urodę. Mniej grobów, drogie panie, za to więcej kołysek".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

Dostawa amerykańskiego gazu do Terminala LNG im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu

FOT. BARTEK SADOWSKI/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Bruksela przeciwko amerykańskiemu LNG

Jakub Wozinski

Przygotowywana przez Komisję Europejską nowa strategia ograniczania emisji metanu może potencjalnie zagrozić dostawom amerykańskiego LNG do Europy. Pod pretekstem troski o środowisko naturalne tworzone są warunki sprzyjające importowi gazu z Rosji

Pod koniec stycznia unijny komisarz ds. energii, Kadri Simson, przekazał informację o przygotowywanej przez Komisję nowej strategii zakładającej ograniczenie emisji metanu. Na razie nieznane są prawie żadne szczegóły dotyczące tego, jakich dokładnie ograniczeń należy się spodziewać ani też w jakim terminie zostaną one wprowadzone. Wiadomo jedynie, że oficjalne stanowisko Komisji Europejskiej ma zostać zaprezentowane jeszcze w tym roku.

NIESPODZIEWANA ZMIANA

Jeszcze w maju ubiegłego roku Bruksela informowała o swoich planach zwiększenia importu amerykańskiego gazu do poziomu 8 mld m sześc. rocznie, co miało stanowić niemal dwukrotność dotychczasowego wolumenu. Jak deklarowali unijni przywódcy oraz przedstawiciele amerykańskiego rządu, decyzja ta miała pomóc rozładować napięcia w polityce transatlantyckiej i jednocześnie ułatwić uniezależnienie się od dostaw rosyjskiego gazu. Od momentu objęcia urzędu prezydenta USA przez Donalda Trumpa eksport LNG (ciekłego gazu ziemnego) do Europy wzrósł do niespotykanych wcześniej rozmiarów, a ostatnie miesiące pokazały, że trend ten wciąż się utrzymuje. W styczniu obecnego roku USA zachowały pozycję lidera w zakresie gazu sprowadzanego do Europy, dlatego informacje o nowej strategii ograniczania emisji metanu mogą wywoływać pewne zdziwienie.

Zdaniem redaktora naczelnego serwisu Energetyka24.com Jakuba Kajmowicza doniesienia o planowanych ograniczeniach nie powinny jednak znacząco zaburzyć obecnego stanu rzeczy: „Nie spodziewam się, aby dostawy gazu miały spotkać jakieś szczególne reperkusje. Będziemy mieli zapewne do czynienia z rytualnym pokrzykiwaniem przeciwko paliwom kopalnym, natomiast nie sądzę, aby długofalowo odbiło się to na gazie. Po pierwsze dlatego, że Niemcy same inwestują ogromne środki (nie tylko finansowe) w rozbudowę infrastruktury gazowej, a po drugie dla gazu, jako stabilizatora i paliwa przejściowego, nie za bardzo istnieje alternatywa, odkąd atom znalazł się na cenzurowanym. Gaz ziemny jest bardzo istotny z perspektywy odnawialnych źródeł energii, gdyż energetyka gazowa w przeciwieństwie do węglowej jest bardziej »elastyczna« i po prostu potrzebna w fazie przejścio-

eprasa.pl a01f6cfe92

wej. Bez gazu lub innego »elastycznego« źródła odnawialne źródła energii (OZE) nie będą funkcjonować bez reperkusji dla europejskich gospodarek".

Nieoficjalnie wiadomo jednak, że przygotowywane przez Komisję Europejską przepisy zapobiegające nadmiernej emisji metanu mają uderzyć przede wszystkim w gaz sprowadzany ze Stanów Zjednoczonych, a nie z Rosji czy Norwegii. Pozyskiwanie gazu tradycyjnymi metodami ma być rzekomo o wiele mniej szkodliwe dla środowiska niż to, które stosuje się głównie w Ameryce przy eksploatacji złóż gazu łupkowego.

NOWY SYSTEM HANDLU EMISJAMI

Oprócz tego można się spodziewać, że Komisja Europejska będzie próbowała wpłynąć na rynek dostaw gazu do Europy w jeszcze inny sposób. Redaktor naczelny portalu BiznesAlert.pl Wojciech Jakóbik przekonuje, że „Komisja Europejska zamierza kontrolować emisję metanu i rozważa nawet wprowadzenie systemu handlu emisjami, a także wprowadzenie innych rozwiązań, które będą penalizowały emisję metanu np. przy wydobyciu czy przy spalaniu. Jest to wyzwanie dla całego sektora gazowego, który jest narzędziem transformacji energetycznej w krajach znajdujących się na wcześniejszym etapie transformacji energetycznej, np. w Polsce. Gaz służący teoretycznie do tego, żeby zmniejszać emisję dwutlenku węgla, stanie wkrótce pod pręgierzem polityki unijnej, zmierzającej do usunięcia kolejnego gazu cieplarnianego (czyli metanu) z działalności gospodarczej. Odpowiedzią mogą być kosztowne inwestycje na rzecz uszczelnienia procesu pozyskiwania energii z gazu lub inwestycje w nowe źródła tego gazu, czyli tzw. źródła odnawialne (biogaz, wodór)".

Komisja Europejska ma więc, jak widać, do dyspozycji co najmniej kilka narzędzi, za pomocą których jest w stanie uderzyć w import amerykańskiego gazu. Na poparcie swoich działań będzie jednak zmuszona przedstawić wiarygodne badania naukowe ukazujące, jak wielka jest skala emisji metanu przy wydobyciu gazu. Eurokratom sprzyja bez wątpienia to, że według obowiązujących w USA przepisów raporty dotyczące skali emisji tworzą same firmy wydobywcze, co znacząco ogranicza wiarygodność podawanych danych. Mimo wszystko obecnie wciąż dominuje przekonanie, że skala emisji metanu nie stanowi wcale wielkiego zagrożenia dla środowiska. „Skala emisji antropogenicznej metanu do atmosfery w porównaniu np. z CO_2 jest wielokrotnie niższa. Biorąc pod uwagę strukturę emisji światowej gospodarki, metan nie jawi się obecnie jako ten gaz cieplarniany, którym powinniśmy martwić się najbardziej" – przekonuje Kajmowicz.

Jednakże w sytuacji, gdy w grę wchodzą ogromne pieniądze, prawda bywa bardzo często brana w szeroki nawias. Działa to w obie strony: firmy zajmujące się wydobyciem i transportem gazu tradycyjnie zaniżają dane, zaś ekolodzy i politycy odpowiedzialni za regulacje skłonni są do tego, aby przedstawiać wyliczenia zwiększające rangę problemu.

WYSOKO POSTAWIONA POPRZECZKA

Skutki ewentualnego wprowadzenia przepisów regulujących emisję metanu mogą niestety uderzyć najmocniej w kraje naszego regionu, w tym oczywiście w Polskę. Wojciech Jakóbik jest przekonany, że wcześniej czy później odbije się to na gotowości Europy Środkowo-Wschodniej do podążania za rozwiązaniami narzucanymi w ramach europejskiego Zielonego Ładu: „Tak radykalne rozwiązania proponowane przez Komisję Europejską nie uwzględniają różnic rozwojowych poszczególnych krajów. Nie uwzględniają faktu, że w krajach takich jak Polska gaz jest narzędziem, które przyspiesza dekarbonizację, i dlatego działania przeciwko rozwojowi tego sektora, a takimi będą proponowane regulacje, mogą spowolnić transformację. Pozorna walka z emisją metanu skończy się wyższymi emisjami dwutlenku węgla, a być może także niechęcią wobec wzięcia udziału w polityce klimatycznej w sytuacji, gdy poprzeczka jest postawiona tak wysoko". Forsowana przez Niemcy polityka oparcia energetyki europejskiej na dostawach gazu z Rosji przy jednoczesnym ograniczaniu dostępu do LNG z USA może potencjalnie doprowadzić do jeszcze większej dezintegracji wspólnej polityki energetycznej Unii Europejskiej oraz polaryzacji stanowisk państw członkowskich.

Na szczęście obecna sytuacja pozwala patrzeć na przyszłość z pewnym optymizmem. Komisja Europejska nie zajęła jeszcze żadnego oficjalnego stanowiska w sprawie emisji metanu, a realizacja najważniejszych z polskiego punktu widzenia projektów wydaje się niezagrożona. Niedawno Parlament Europejski przyjął listę kluczowych projektów infrastrukturalnych Wspólnoty, a wśród nich znalazł się m.in. gazociąg Baltic Pipe. Decyzję tę chwali Jakub Kajmowicz: „Nie sądzę, aby naszym polskim projektom cokolwiek zagrażało. [...] Niedawne głosowanie w Parlamencie Europejskim pokazało, jaka jest dynamika polityczna. Jeśli pomimo protestów ekologów i lewicy udało się zatwierdzić najważniejsze projekty, to znaczy, że dziś w Europie jest większość, która zachowuje odrobinę zdrowego rozsądku".

Bez wątpienia właśnie zdrowego rozsądku najbardziej brakuje dziś wielu osobom, które mają największy wpływ na kształtowanie polityki energetycznej w Unii Europejskiej. Ewentualne wprowadzenie obostrzeń przy imporcie gazu lub też uruchomienie nowego rynku emisji może jeszcze bardziej zaognić spory wśród krajów członkowskich. W ostatnich latach import LNG z USA znacząco poprawił perspektywę bezpieczeństwa energetycznego Polski i całej Europy, lecz – jak widać – wyraźnie wpływy środowisk, którym taki stan rzeczy nie odpowiada, są wciąż bardzo duże.

Cała Europa coraz silniej odczuwa skutki forsownego tempa narzuconego w związku z próbami osiągnięcia do 2050 r. tzw. neutralności emisyjnej. Przyglądając się temu procesowi, nie sposób oprzeć się jednak wrażeniu, że wbrew deklarowanym oficjalnym celom zdecydowany priorytet uzyskują niezmiennie interesy polityczne najpotężniejszych państw. Działanie na szkodę państw Europy Środkowo-Wschodniej, w których podejście do kwestii klimatycznych jest o wiele bardziej zdroworozsądkowe niż na zachodzie kontynentu, może w dłuższej perspektywie postawić pod znakiem zapytania całą politykę Zielonego Ładu.

Rozwiązania, nad którymi pracuje obecnie Komisja Europejska, mogą mieć znaczący wpływ na bezpieczeństwo energetyczne Polski, tym bardziej że według najnowszych planów Niemcy chcą za pomocą Nord Stream 2 pozyskiwać z Rosji wodór w celu realizacji programu neutralności klimatycznej. Zdaniem przedstawicieli niemieckich władz cena amerykańskiego gazu jest zbyt wysoka, lecz trudno te słowa zinterpretować inaczej niż jako szukanie kolejnego pretekstu do energetycznego zbliżenia z Rosją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

polemika DO RZECZY

Prawo do atomu

dr inż. Andrzej Strupczewski

Nie ma powodów, by obawiać się odpadów radioaktywnych – ani z punktu widzenia zdrowia, ani ze względów finansowych

W wywiadzie udzielonym tygodnikowi pt. „Maskarada" („Do Rzeczy" 3/2019) prof. Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej słusznie stwierdza, że energia odnawialna może być tylko uzupełnieniem dla węgla, gazu, atomu, „i to bardzo kosztownym i niekoniecznie potrzebnym". Jednak na pytanie dziennikarza o to, czemu nie postawimy na energię jądrową, na której opiera się np. gospodarka Francji, prof. Mielczarski odpowiada, że jest to ślepa uliczka, i twierdzi, że nigdzie na świecie „nie wymyślono sposobu" na przechowywanie odpadów, które będą „radioaktywne przez miliony lat". Jest to twierdzenie modne wśród przeciwników energetyki jądrowej, chociaż od dawna nieprawdziwe. Jaka jest rzeczywistość?

JAK TO JEST Z ODPADAMI

Aktywność odpadów, a więc i narażenie radiacyjne społeczeństwa, z czasem maleje. W energetyce jądrowej stosuje się odizolowanie odpadów od środowiska człowieka przez taki czas, jaki jest potrzebny, by ich aktywność zmalała do wartości nieszkodliwych dla otoczenia.

Odpady promieniotwórcze z energetyki jądrowej pochodzą głównie z przetwarzania wypalonego paliwa jądrowego oraz z procesów oczyszczania obiegów technologicznych elektrowni. W wypalonym paliwie jądrowym, które jest wysokoaktywne, znajdują się izotopy promieniotwórcze o różnorodnym, także o długim okresie półrozpadu – tj. czasie, po którym aktywność ich spada do połowy. Jest ich bardzo mało. Gdyby cała energia zużywana przez człowieka pochodziła tylko z reaktora jądrowego, to odpady wysokoaktywne zgromadzone w ciągu życia ważyłyby zaledwie 39 gramów. A dominują izotopy o krótkim i średnim okresie półrozpadu.

Promieniowanie odpadów radioaktywnych z elektrowni ma małą energię i wystarczy niewielka grubość materiału osłonowego, by je zatrzymać. Zasadniczym potencjalnym zagrożeniem jest wprowadzenie odpadów promieniotwórczych do środowiska, przeniknięcie ich do wody pitnej i wchłonięcie przez istoty żywe, w których promieniowanie może oddziaływać bezpośrednio na komórki i procesy zachodzące w organizmie.

Dlatego w gospodarce odpadami radioaktywnymi stosuje się system barier, które zapewniają skuteczne zatrzymywanie izotopów radioaktywnych daleko od otoczenia człowieka. To właśnie energetyka jądrowa była pierwszą gałęzią przemysłu, która od początku swego rozwoju wprowadzała w życie zasadę oddzielenia odpadów od środowiska człowieka tak, by nie zagrażały jego zdrowiu i środowisku. I tę praktykę wprowadzono jako obowiązującą w Polsce, określając nawet w rozporządzeniu Rady Ministrów wysokość wpłat, które operator elektrowni jądrowej musi dokonywać na fundusz zapewniający unieszkodliwianie odpadów, a w przyszłości bezpieczną likwidację elektrowni jądrowej „do zielonego pola", tak by można było na jej miejscu budować inne obiekty lub siać zboże. Wszelkie analizy finansowe dla energetyki jądrowej wykonuje się, uwzględniając te wpłaty.

Odpady nisko- i średnioaktywne z elektrowni jądrowej to szeroka gama przedmiotów i materiałów, począwszy od rękawiczek gumowych i pokrowców ochronnych na obuwie (są to tzw. odpady niskoaktywne) poprzez ścieki z obiegów chłodzenia elektrowni, a skończywszy na odpadach stałych (odpadach średnioaktywnych). Są one podobne do odpadów z przemysłu i medycyny, z którymi mamy już ponad pół wieku doświadczenia. W Polsce są one składowane w Krajowym Składowisku Odpadów Promieniotwórczych w Różanie, działającym od 1960 r. Nie powoduje to zagrożenia dla miasta i mieszkańców – przeciwnie, gmina Różan należy do najzdrowszych w całym kraju, a prowadzona systematycznie kontrola niezależnych organizacji potwierdza, że odpady są dobrze zabezpieczone.

WYPALONE PALIWO

Unieszkodliwianie wysokoaktywnych odpadów długożyciowych jest trudniejsze, jednak wbrew twierdzeniu prof. Mielczarskiego nie tylko wymyślono, lecz także podjęto już prace techniczne dla realizacji dwóch sposobów postępowania. Wypalone paliwo wyładowuje się z reaktora po dwóch czy trzech latach pracy w rdzeniu. Jest w nim jeszcze blisko 96 proc. uranu pierwotnie zawartego w paliwie, a wyładowuje się je z reaktora głównie dlatego, że nagromadzone w toku pracy produkty rozszczepienia stanowią zatrucie, pochłaniające neutrony i utrudniające efektywną pracę reaktora. Po usunięciu tych zatruć można ponownie wykorzystywać materiały rozszczepialne – uran i pluton – zawarte nadal w wyładowanym z reaktora paliwie.

Dlatego wypalone paliwo można traktować dwojako – albo jako odpad promieniotwórczy, który przechowuje się w oddzieleniu od środowiska człowieka, albo jako cenny materiał potrzebny do ponownego wykorzystania jako materiał rozszczepialny w nowych elementach paliwowych. Gdy traktuje się je jako odpad, przechowuje się je w otoczeniu systemu barier głęboko pod ziemią. Uranu używa się tylko raz, stąd nazwa tej metody to „cykl otwarty" – uran wydobyty z rudy jest wypalany w reaktorze i wraz z powstałymi w nim produktami rozszczepienia wraca do ziemi, zabezpie-

eprasa.pl a01f6cfe92

czany w składowisku przed kontaktem ze środowiskiem człowieka. Druga metoda polegająca na wielokrotnym wykorzystaniu paliwa to tzw. cykl zamknięty. Pozwala ona na wielokrotne wykorzystanie uranu i zapewnia materiał paliwowy przez bardzo długi okres, a jednocześnie usuwa obawy o zagrożenia mogące powstać w ciągu tysięcy lat przechowywania wypalonego paliwa.

Przy cyklu otwartym paliwo umieszcza się w wielowarstwowych i wysoce odpornych na korozję oraz naciski mechaniczne pojemnikach, a pojemniki składuje się głęboko pod ziemią, w pokładach geologicznych stabilnych przez miliony lat, a więc gwarantujących, że aktywność wypalonego paliwa spad-

EKONOMIA

Maskarada

Z prof. Władysławem Mielczarskim, ekspertem od rynku energetycznego rozmawia Błażej Toranski

BŁAŻEJ TORANSKI: Prawa robiem na wszystkim ma?czyzna w Kalonach prezydent Andrzej Duda mówił wczoraj, że na nas plany rozwojowe i węgla w Polsce. Węgiel jest tanie, wystarczy na 250 lat. Dlaczego Niemcy na węgiel, skoro cały świat wysyła do Niemiec węgiel?

PROF. WŁADYSŁAW MIELCZARSKI: Wszystko wskazuje na to, że w Polsce jest to najlepszy wybór. Węgiel gwarantuje najbezpieczniejszy i najtańszy sposób dostarczania paliwa i energii elektrycznej. Jest stare powiedzenie, czyli ciągłość? Jest stare powiedzenie, czyli trybów: energia musi płynąć 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Cena musi być taka, żeby gospodarka była konkurencyjna, a ludzie nie musieli rezygnować z podstawowych potrzeb.

W przeciwnym razie podcina gospodarka?

Polecam wydany w Niemczech thriller Marca Elsberga „Blackout" o tym, jak ludzie są uzależnieni od elektroniki. Opisany tam został czarny scenariusz wydarzeń, gdyby Europa nagle pogrążyła się w ciemności np. w wyniku zmasowanego elektronicznego ataku terro-

80

FOT. TRAX

nie poniżej pierwotnej aktywności rudy uranowej i przestanie zagrażać otoczeniu na długo wcześniej, niż mogą zmienić się warunki geologiczne. Zapewnienie bezpieczeństwa wokoło składowiska nie jest problemem natury technicznej, lecz społeczno-politycznej. Zdanie mieszkańców brane jest pod uwagę i w wielu krajach składowiska są w pełni akceptowane. Na przykład w Szwecji i w Korei Południowej gminy konkurują ze sobą, by właśnie na ich terenie powstało takie składowisko. W Finlandii parlament w specjalnej uchwale podkreślił, że energia jądrowa służy zdrowiu człowieka i budowa składowisk odpadów promieniotwórczych jest działaniem dla dobra społeczeństwa. W USA od wielu lat uzgodniono techniczne wymagania dla składowiska w Yucca Mountain, a opóźnienia wynikają głównie ze sporów politycznych między dwoma uwikłanymi w konflikt czołowymi partiami politycznymi.

Druga metoda to odzyskanie materiałów rozszczepialnych (uran, pluton) z wyładowywanego paliwa i usunięcie z nich produktów rozszczepienia, które wychwytują neutrony i pogarszają bilans neutronów w rdzeniu. Po usunięciu produktów rozszczepienia i aktynowców aktywność paliwa jest znacznie mniejsza, a okres zaniku promieniotwórczości paliwa znacznie się skraca. Po upływie ok. 400 lat jego aktywność jest mniejsza niż aktywność uranu będącego pierwotnie w ziemi, a potrzebnego kiedyś do wyprodukowania paliwa. Materiały rozszczepialne są wykorzystywane ponownie do produkcji nowego paliwa jądrowego zwanego MOX (mieszanina tlenków uranu i plutonu). Ta metoda, zwana recyklizacją, zapewnia wielokrotne wykorzystywanie materiałów rozszczepialnych paliwa. Jest ona już stosowana na skalę przemysłową i stanowi najbardziej perspektywiczną metodę unieszkodliwiania paliwa. Obecnie na świecie produkuje się ok. 400 ton paliwa typu MOX, co wystarcza dla kilkunastu reaktorów o mocy 1000 MW każdy.

W obu przypadkach problemy techniczne są rozwiązane i można zapewnić, że ani odpady średnio- i niskoaktywne, ani usunięte z reaktora paliwo nie stanowią zagrożenia dla ludności lub personelu.

NIE STRASZMY

Profesor Mielczarski próbuje nastraszyć czytelników, pisząc, że „USA siedzą na bombie 47 tys. ton radioaktywnego paliwa". Może lepiej byłoby spojrzeć na sprawę odpadów promieniotwórczych w szerszej perspektywie. Wiemy, że substancje radioaktywne były od początku świata, są i będą obecne we wszechświecie, w tym i na Ziemi. Są one rozproszone w skorupie ziemskiej, ale przeciętny ogródek o powierzchni 400 mkw. zawiera w warstwie o głębokości 1 metra aż 2 kg uranu. Warto zdać sobie sprawę, że w warstwie o grubości 1 m na terytorium USA znajdują się 44 mln ton uranu! Wraz z uranem występują jego radioaktywne produkty rozpadu – tor, rad, radon i inne – również liczone w milionach ton.

Czy wiedząc o tym, nadal damy się straszyć rzekomą „bombą" odpadów radioaktywnych?

Naprawdę nie ma powodów, by obawiać się odpadów radioaktywnych – ani z punktu widzenia zdrowia, ani ze względów finansowych.

Energetyka jądrowa zapewnia stabilną i tanią produkcję energii elektrycznej, jest zalecana jako źródło czystej energii przez Międzynarodową Agencję Energii IEA, przez Parlament Europejski, przez Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu IPCC, przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej IAEA i przez wiele rządów. Polska ma do niej prawo i powinniśmy ją wybrać jako perspektywiczne rozwiązanie, korzystne dla nas i dla naszych wnuków. Według zasad przyjętych w Unii Europejskiej każdy kraj ma prawo do kształtowania własnej polityki energetycznej. Nie dajmy się pozbawić tego prawa!

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem Narodowego Centrum Badań Jądrowych.

eprasa.pl a01f6cfe92

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Brednia maksymalna

Jak wiadomo, Bruksela nie ma dosłownie żadnych zahamowań przed ingerowaniem w dowolnie przez siebie wybraną dziedzinę życia politycznego, gospodarczego, społecznego – w tym także w wymiar sprawiedliwości – w dowolnie wybranym – a raczej wskazanym przez możnych Unii Europejskiej – państwie. Bo przecież nie w rządzonych przez tychże możnych Niemczech czy we Francji. Wsadzanie nosa w nie swoje sprawy to – bez cienia przesady – w coraz większym stopniu znak rozpoznawczy UE.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej, nieoceniona Ursula von der Leyen, właśnie wzięła na cel kolejny obszar, gdzie w najbliższym czasie państwa członkowskie mogą się spodziewać inwazji Brukseli. Otóż szefowej KE, a raczej tym, którzy namaścili ją na tę funkcję, zamarzyła się europejska płaca minimalna – a więc wspólna, taka sama dla wszystkich państw Unii – najniższa pensja.

W UE płaca minimalna obowiązuje w 22 z 28 krajów, w tym w Polsce. Nie obowiązuje natomiast w Austrii, we Włoszech i na Cyprze, a także w Szwecji, Danii i Finlandii – ale tam pensje minimalne określane są w umowach zbiorowych negocjowanych między związkami zawodowymi a pracodawcami. Jednak to władze każdego z tych 22 państw – same, w przewidzianym przez własne prawo trybie – określają wysokość obowiązującej u nich płacy minimalnej.

Rzecz jasna, von der Leyen chce to zmienić. A konieczność wprowadzenia takiej – jak to sama z przejęciem nazywa – „sprawiedliwej płacy minimalnej", czyli równej dla całej UE, uzasadnia chęcią wspierania najbiedniejszych.

Tymczasem nie trzeba długo roztrząsać, by dojść do wniosku, że taki nakaz unijny byłby bardzo na rękę najbogatszym państwom UE i bardzo nie na rękę biedniejszym, goniącym je państwom Unii, przyśpieszyłby bowiem proces pozbawiania je kolejnej przewagi konkurencyjnej w walce z bogatszymi krajami, którą jeszcze posiadają – właśnie owych niższych płac pracowników.

Można mieć więc tylko nadzieję, że władze państw członkowskich UE obronią się przed tym – kolejnym – zamachem Brukseli na ich prerogatywy. I nie dopuszczą do realizacji owego niedorzecznego pomysłu, nawet w wersji łagodniejszej, o której wobec obserwowanej skali oporu zaczyna się przebąkiwać. Czyli już nie obowiązku podporządkowania się jednej, równej płacy minimalnej, lecz „tylko" obowiązku ustalania w każdym kraju UE płacy minimalnej na poziomie 60 proc. krajowej mediany. Mediana to wartość środkowa; poniżej niej znajduje się jedna połowa zarabiających, a powyżej – druga połowa. Albowiem nawet taka ingerencja mocno uderzyłaby w suwerenność władz nad własną gospodarką i dodatkowo pogorszyła szanse państw uboższych.

Europejska płaca minimalna to nic innego jak brednia maksymalna. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Podróże wirusów

Za słusznie minionego okresu komuny żartowano sobie, że Józek podarował Staszkowi most Poniatowskiego. No i co z tego, że nie był jego? Ale za to jaki miał gest. Podobnie było z głosowaniem Senatu w sprawie pieniędzy dla Telewizji Polskiej. Od razu dodam, nie oglądam żadnej telewizji od prawie dekady, więc nie mam wyrobionego poglądu w tym sporze. Ale wiem, że Senat zachował się jak Józek, który darował Staszkowi most.

W zasadzie zdziwiłem się, że Senat zgłosił tak małą poprawkę. Mógł przecież przekierować dziesiątki miliardów złotych, a nie tylko te marne dwa i nie tylko na onkologię, lecz także na naczyniówkę, ortopedię i wiele innych chorób, bo przecież wiemy, że polska służba zdrowia jest niedofinansowana. A gdyby Senat naprawdę był przejęty zbyt niską skalą finansowania polskiej onkologii, to mógłby ograniczyć własny budżet i te środki przekazać szpitalom leczącym raka. Albo zamiast przekazywać 2 mld na dofinansowanie TVP, mógł przekazać 50–100 mln z puli TVP i trochę własnych środków. Być może taka poprawka nie przepadłaby w Sejmie.

Oczywiście senatorom opozycji wcale nie zależy na wspieraniu onkologii, tylko na stworzeniu takiego przekazu medialnego, który odbierze popularność rządowi. Nie widziałem też żadnych badań, które szacują, jaka wysokość dofinansowania TVP jest optymalna dla realizacji misji telewizji publicznej, a jaka generuje niepotrzebne wydatki. Zresztą misja TVP zmienia się wraz ze zmianą rządzących.

W czasie odrzucania poprawki senackiej pojawił się nowy symbol na polskiej scenie politycznej, czyli środkowy palec pewnej pani poseł skierowany ku górze, czyli gest powszechnie znany w krajach anglosaskich pod nazwą fakju albo apjors. Można być pod wrażeniem, ponieważ często podróżujący po całym świecie za nasze pieniądze posłowie i senatorowie nie marnują tego czasu, odbywają edukację międzykulturową i są potem w stanie wzbogacać polską politykę zagranicznymi kodami kulturowymi.

Ale teraz z pewnością i Sejm, i Senat zaoszczędzą na podróżach zagranicznych, ponieważ wszyscy boją się wirusa z Wuhan. Jeżeli Włosi sobie nie poradzą, to wirus rozniesie się po Europie i będziemy świadkami rozpadu strefy Schengen, ponieważ wszystkie kraje wprowadzą kontrole graniczne.

Media panikują, do tej pory wirus z Wuhan zabił ponad 2,6 tys. osób. Podczas gdy sezonowa grypa zabija corocznie od 250 tys. do 600 tys. ludzi. O ile mniej ludzi umrze na sezonową grypę dzięki noszeniu masek, zamknięciu szkół i odwołaniu masowych imprez? Albo o ile mniej osób zginie w wypadkach drogowych? Prawdopodobnie bilans netto liczby zgonów jest pozytywny, czyli więcej osób ocali życie z powodu podjętych środków ostrożności, niż zostanie zabitych przez wirusa. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl a01f6cfe92

Rok rekordów „Polskiego Żubra”

Nigdy wcześniej Pekao nie zyskiwało nowych klientów w takim tempie jak w roku 2019. Realizacja strategii „Siła Polskiego Żubra” doprowadziła również do najszybszego od dekady wzrostu dochodów komercyjnych oraz do rozwoju technologicznego

Ubiegły rok pokazał zarówno odporność Pekao na ryzyka systemowe, jak i skuteczność strategii banku, która oparta jest na trzech głównych filarach: wzrost i efektywność, innowacyjność oraz troska o klienta i odpowiedzialny biznes – zauważył podczas prezentacji wyników finansowych Banku Pekao S.A. prezes Marek Lusztyn. – Otwieramy nową dekadę w historii Banku Pekao z aktywami, które pierwszy raz przekroczyły 200 mld zł – dodał, zauważając jednocześnie, że dzięki największej w historii akwizycji dochodowość banku rosła dwucyfrowo praktycznie we wszystkich segmentach działalności biznesowej Pekao.

Dynamicznie rozwijała się baza zarówno oszczędności, zwłaszcza detalicznych, jak i kredytów, w szczególności w bankowości detalicznej i kredytów hipotecznych. Dzięki temu skonsolidowany zysk netto Pekao S.A. wzrósł w ubiegłym roku o 10 proc. i nominalnie wyniósł 2,165 mld zł.

Aż o 12 proc. zwiększyły się również dochody komercyjne. Wynik z tytułu odsetek w 2019 r., głównie dzięki wyższym marżom, wzrósł rok do roku o 9,5 proc. do 5,47 mld zł. Wynik z tytułu prowizji i opłat wzrósł o 2,9 proc. do 2,53 mld zł, co uzyskano m.in. dzięki wyższym prowizjom kredytowym, działalności kartowej oraz wyższym przychodom związanym z transakcjami walutowymi.

KLIENT PRZEDE WSZYSTKIM

W 2019 r. Bank Pekao S.A. otworzył 455 tys. kont dla klientów indywidualnych, czyli 12 proc. więcej niż rok wcześniej i aż o 65 proc. więcej niż w roku 2017. Pekao zostało też uznane za jeden z najbardziej odpornych banków na ryzyka systemowe, a w stress testach Europejskiego Urzędu Nadzoru Bankowego zajął bardzo wysokie, trzecie miejsce w Europie. Bank z żubrem w logo otrzymał również prestiżowe nagrody i wyróżnienia. Magazyn „Global Finance” uznał Pekao za najlepszy bank inwestycyjny w Europie Środkowo-Wschodniej.

– Szczególnie ważny jest dla nas wzrost innowacyjności, która jest wbudowana w DNA naszego banku. Jako pierwsi w Polsce wprowadziliśmy możliwość zakładania konta za pomocą selfie – podkreślił prezes Marek Lusztyn.

Liczba użytkowników bankowości mobilnej, która na koniec 2019 r. wzrosła do 1,7 mln, co oznacza wzrost aż o 33 proc. więcej niż rok wcześniej i dwa razy więcej niż w 2017 r.

Bank nie zasypia gruszek w popiele. Podczas prezentacji wyników finansowych prezes Pekao zapowiedział, że w najbliższym czasie zostanie zaprezentowana aplikacja mobilna PeoPay w wersji 3.0. Prezes Marek Lusztyn zauważył, że już 40 proc. pożyczek gotówkowych jest sprzedawane on-line lub przez aplikację mobilną PeoPay, a jedna piąta nowych kont jest zakładana za pomocą kanałów zdalnych.

Pekao skutecznie walczy też o młodych klientów. W 2019 r. liczba nowych klientów w wieku 13–17 lat wzrosła o 60 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim, a wzrost klientów do 26. roku życia wyniósł 26 proc. (rok do roku).

Zarząd Pekao pochwalił się nie tylko wzrostem przychodów, lecz także najlepszą w sektorze poprawą wskaźnika kosztów do dochodów. Na koniec 2019 r. Bank Pekao S.A. obniżył powtarzalny wskaźnik kosztów do dochodów do poziomu 41 proc. i jest na dobrej drodze do osiągnięcia celu strategicznego 40 proc. w 2020 r.

CELE NA ROK 2020

– Wierzę, że w 2020 kolejny raz uda nam się zrealizować postawione przed organizacją cele biznesowe i finansowe, które zwieńczą realizację naszej strategii „Siła Polskiego Żubra” – zauważył prezes Pekao. W tym roku celem dla Pekao jest otwarcie 0,5 mln nowych rachunków.

Jednocześnie bank zamierza pozostać liderem odpowiedzialnej bankowości. Działania Pekao skoncentrowane są na zrównoważonym finansowaniu, a także wsparciu dla transformacji energetycznej, zwłaszcza fotowoltaiki. Pekao dba również o to, aby wyeliminować dyskryminację w środowisku pracy, i jako jedyna firma w Polsce i jedna z nielicznych w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej zostało włączone dla globalnego indeksu Bloomberg Gender-Equality (GEI).

eprasa.pl a01f6cfe92

TEST „DO RZECZY": LASEROWY PROJEKTOR EPSON EF-100B

Kompaktowe wymiary, stylowy design oraz nowoczesne laserowe źródło światła – to największe zalety przenośnego projektora laserowego japońskiej firmy Epson, który ma szanse sprawdzić się zarówno jako sprzęt typowo biznesowy, jak i jako projektor kina domowego.

Stosunkowo niewielka waga (2,7 kg) oraz kompaktowe wymiary (jego najdłuższa krawędź mierzy 227 mm, a pozostałe 210 mm oraz 88 mm) testowanego projektora sprawiają, że można go łatwo przenosić z gabinetu prezesa do sali konferencyjnej, zabrać ze sobą w podróż na wakacje, a po powrocie do domu – w zależności od nastroju – dyskretnie przenosić z salonu do sypialnianego regału z książkami.

Ładnie wyglądające i proste w konfiguracji urządzenie potrafi wyświetlić obraz o przekątnej od 30 do 150 cali i rozdzielczości 1280 x 800. Wyświetlany obraz nie jest niestety w rozdzielczości Full HD (co jest jego największą wadą). Brakuje też prawdziwej, głębokiej czerni. Przyzwoitej jakości obraz jest za to ostry i można go wyświetlać pod dowolnym kątem i na niemalże dowolnej powierzchni. Epson EF-100B nie potrzebuje bowiem specjalnego ekranu, wystarczy zwykła ściana lub sufit, aby obejrzeć filmy czy pokazać znajomym zdjęcia z ostatniego wyjazdu.

Maksymalna jasność jest wystarczająco wysoka, aby z projektora można było korzystać nawet w ciągu dnia w pomieszczeniach, które nie są całkowicie zaciemnione (2000 ANSI lumenów). Jest ona jednak zbyt niska, aby móc komfortowo oglądać film w słoneczny dzień, nawet przy zasłonitych żaluzjach.

Po stronie zalet trzeba wpisać wbudowany głośnik o mocy 5 W. Odtwarzany z niego dźwięk jest wyraźny, czysty i pełen detali, choć audiofile oraz miłośnicy mocnych basów powinni zainwestować w dodatkowe soundbary i subwoofer. Do projektora głośniki bezprzewodowe można łatwo podłączyć poprzez Bluetooth.

Plusem jest cicha praca urządzenia, które po zredukowaniu mocy światła generuje hałas na poziomie 26 decybeli. Najważniejszą zaletą jest jednak laserowe źródło światła. Żywotność tego typu lampy szacuje się na 20 tys. godzin bezawaryjnej pracy w trybie oszczędnym oraz 12 tys. godzin w trybie normalnym (to niezły wynik, bo tradycyjne lampy mogą przeżyć w normalnym trybie ok. 4 tys. godzin). Testowany projektor błyskawicznie można też włączyć lub wyłączyć (jego uruchomienie zajmuje w porywach do 6 s).

Wady? Użytkownikom biznesowym może brakować niewielkiego akumulatora. Przydałyby się również uchwyt do wygodniejszego przenoszenia projektora, a także większa liczba gniazd wejściowych. Testowany projektor ma bowiem tylko jeden port HDMI (ukryty w dodatkowym przewodzie z tyłu obudowy), który przeznaczony jest do podłączenia urządzeń do transmisji strumieniowej (np. Amazon Fire TV czy Google Chromecast). Bardzo brakuje więc choćby portu USB, który umożliwiałby odtwarzanie filmów czy przeglądanie zdjęć bezpośrednio z pendrive'a. Cena: 3999 zł. ©℗

Jacek Przybylski

DESIGNERSKI GRAMOFON

Na rynek wchodzi coś dla miłośników gramofonów, których w Polsce ponoć przybywa. Nieźle zaprojektowany, z mocnym dźwiękiem przenośny gramofon z połączeniem Wi-Fi i Bluetooth oraz dodatkowymi akumulatorami. Urządzenie nazywa się The Coturn CT-01 i jest rzeczywiście niewielkich rozmiarów: 31 x 12 x 2,5 cm, za to posiada solidną, masywną obudowę. Dodatkowo ma igłę Audio-Technica AT 3600 oraz dotykowy ekran i baterię zdolną do pracy przez 16 godzin. Uwaga – urządzenie obsługuje płyty CT-01 o połowę mniejsze od tradycyjnej płyty winylowej.

Gadżet kosztuje około tysiąca złotych, zamawiać można na portalu Kickstarter, a dostawa w maju.

NIE PATRZ ZA OKNO...

... a przynajmniej nie musisz, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda. Wiem, wiem, jesień tej zimy nas nie rozpieszcza. A w ogóle po co komuś jakieś gadżety „pogodowe", skoro wystarczy dobra apka w telefonie? A jednak nadal są, i to w sporej grupie, zwolennicy domowych „baz meteorologicznych" czy uroczych, często staroświeckich barometrów. Weathery staroświeckie nie jest – gadżet przypomina niewielkich rozmiarów budzik, a o tym, jaka jest pogoda – w dowolnym kraju świata – informuje, wyświetlając specjalną graficzną ikonkę. W dodatku również graficznie poinformuje, czy warunki są dobre np. na spacer lub do uprawiania sportu, zaproponuje też, co należałoby na siebie włożyć, by się nie przeziębić.

Weathery kosztuje tylko ok. 80 zł, zamawiać można na Kickstarterze, a dostawa w lipcu. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a01f6cfe92

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOWALSKI

„ŚREDNIOWIECZE. OBALANIE MITÓW"

~~730 ZŁ~~ > **282,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 454 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a01f6cfe92

Joanna Bojańczyk

Niemiła historia sweterka

Kaszmir wciąż jest modny. Jednak masowa produkcja odbywa się kosztem zwierząt i środowiska

Płaszcz z kaszmiru lub z wełny z jego dodatkiem jeszcze niedawno kosztował mnóstwo pieniędzy i był towarem luksusowym. Nadal jest drogi. Od kilkunastu lat ten bezcenny materiał, osiem razy cieplejszy od wełny owczej i o wiele od niej delikatniejszy, przeżywa bezprecedensowy boom. Na przełomie tysiącleci stał się modny i ta moda nie przemija, odwrotnie – jest coraz większa. Nastąpiła demokratyzacja „luksusu", który ma rzekomo być dostępny dla mas… Do kaszmiru zabrały się sieciówki. Kaszmirowe swetry, czapki, szaliki, spodnie, rękawiczki można kupić w H&M, Benettonie, COS, Tatuum, Zarze. Japońska sieć Uniqlo (dostępna w Internecie) wyroby z kaszmiru uczyniła swoim flagowym produktem.

Koszt tego liczy się jednak nie tylko w pieniądzach. Kosztem tej demokratyzacji jest cierpienie zwierząt i niszczenie przyrody. Popyt na wełnę kóz capra hircus, żyjących w wysokich górach Mongolii, Tybetu, północnych Indii, Iranu, Afganistanu i Nepalu, wciąż rośnie. Najwięcej stad znajduje się w południowo-zachodniej części Chin. Szacuje się, że w Państwie Środka jest w tej chwili 100 mln kóz. Mają bardzo delikatne futro, a najdelikatniejszy jest podszerstek, który wiosną zwierzęta zostawiają na krzewach. To najlepszy, najdelikatniejszy gatunek wełny – klasa A.

Tej jest bardzo niewiele. Jedna koza daje tylko 113 g cennej wełny raz na sezon. Na jeden sweter potrzeba wełny z sierści dwóch kóz. Jak zaspokoić rosnący apetyt globalnej konsumpcji?

Jak podaje branżowy portal Business of Fashion, w roku 2010 wyprodukowano 1,2 mld sztuk kaszmirowych ubrań. W roku 2016 było ich już 1,4 mld.

OKRUCIEŃSTWO NIE DO PRZYJĘCIA

Zwierzęta jedzą trawę i liście kolczastych krzewów, wspinają się na drzewa, żeby tam dosięgnąć świeże kąski. Ponieważ pastwisk nie przybywa, kozy mają coraz mniej pożywienia, a co za tym idzie – jakość wełny się pogarsza. A ponieważ hodowcy chcą odbić sobie straty za gorszą, a zatem tańszą wełnę, zwiększają stada. I błędne koło się zamyka. Do tego dokładają się łagodniejsze zimy, przez które wełna także traci na jakości. Eksperci ostrzegają, że w ciągu najbliższych 20–30 lat na skutek ocieplenia klimatu będzie z tym jeszcze gorzej. Europejscy importerzy kaszmiru, tacy jak Loro Piana, włoski producent luksusowych wełen, od dawna skarżą się na kłopoty z kaszmirem. Teraz jednak sytuacja staje się naprawdę niebezpieczna. Ziemia w Mongolii pustynnieje, na skutek braku paszy pada bydło. Kozy, które nie mają co jeść, wyrywają trawę z korzeniami, zostawiając klepisko.

To niestety nie wszystko. Organizacja PETA (People for the Ethical Treatment of Animals) od wielu lat przygląda się sytuacji hodowli kóz capra hircus. W zeszłym roku opublikowała raport, z którego wynika, że przy produkcji cennej wełny zwierzęta poddawane są niewyobrażalnemu okrucieństwu. Można to zobaczyć na filmie opublikowanym na stronie PET-y. Kozom wyrywa się włosy ostrymi grzebieniami, które je ranią. Ogłusza się je młotkiem, obdziera z futra, które jest ich naturalną ochroną przed zimnem w niskich temperaturach. A dzieje się to w środku zimy, kiedy zwierzęta najbardziej potrzebują swego naturalnego okrycia. Pozbawione go zginą.

A jeżeli przeżyły bolesny proces wydzierania włosów, to wówczas się je zabija. Wszystko po to, żebyśmy mogli przytulić się do naszego miłego sweterka.

PRAWDZIWY CZY NIE?

Największymi odbiorcami tej wełny są Włochy i Wielka Brytania – te dwa kraje zużywają 97 proc. rocznej produkcji kaszmiru. Firmy odzieżowe płacą 200 funtów za kilogram. Jak to się jednak dzieje, że sweter marki Loro Piana kosz-

eprasa.pl a01f6cfe92

tuje 2 tys. euro, a w japońskiej sieciówce Uniqlo można go już kupić za 30 euro? Czy to, co uważamy za kaszmir, naprawdę nim jest? Grupa CCMI (Cashmere and Camel Hair Manufacturers Institute, Instytut Producentów Wełny Kaszmirskiej i Wielbłądziej) wykazała, że 84–86 proc. tego, co na rynku jest sprzedawane jako kaszmir, nie jest wcale kaszmirem. Mieszany z wełną, akrylem, nawet futrem udaje coś lepszego.

Skąd to wiadomo? CCMI oraz wskazane przez niego laboratoria badają autentyczność kaszmiru. Pod mikroskopem można od razu poznać, że próbka nie jest wełną kozy capra hircus. Jakość włókna określają dwie właściwości: średnica oraz długość włosa. Średnica jednego włosa kozy wynosi od 14,5 do 16 mikronów, a najcieńszego, najbliższego skóry puchu, tzw. baby kaszmiru, nawet półtora mikrona. Co do długości, to zdaniem ekspertów najwyższej jakości przędza ma długość powyżej 36 mm. Takie włókno jest mocniejsze niż krótsze i się nie mechaci. Między 20 a 36 mm według purystów to już nie to, a poniżej 20 mm według znawców wełna nadaje się już tylko „na przemiał", do łączenia z jedwabiem. Najlepsze włókno dają białe kozy rasy Zalaa Ginst oraz kozy z płaskowyżów Tybetu.

Jak ma to poznać zwykły klient, który nie ma przy sobie mikroskopu? Kryterium jest niewątpliwie cena – kupując sweter w sieciówce, nie liczmy na dobrą jakość. Hodowcy kóz z Nepalu zalecają próbę techniczną, prostą, lecz ryzykowną, gdyż trzeba na nią poświęcić kawałek testowanego ubrania. Należy podpalić kawałek włókna. Prawdziwy kaszmir spali się na pyłek i ma zapach palonych włosów; włókno sztuczne sfajczy się jak plastik z czarnym dymem. Inny sposób sprawdzania: prawdziwy kaszmir pod światło nie jest przezroczysty, rzadko wyroby z niego są haftowane, najczęściej są gładkie. Jednak specjaliści branży mówią, że masowy klient nie zwraca uwagi na jakość, chce tylko, żeby jego sweter, czapka czy szalik były przyjemne w dotyku.

PŁATKI KASZMIROWE

Reakcją na protesty PET-y jest nowy ruch kaszmiru „etycznego". Chodzi o sprawdzanie, w jakich warunkach działają hodowcy kóz, czy zwierzętom nie dzieje się krzywda, czy pastwiska są rekultywowane. Marka Cuyana produkująca w Szkocji i we Włoszech gwarantuje jakość i etyczne warunki pozyskiwania wełny. Jej swetry kosztują od 140 do 450 euro. Nie jest to jakość Loro Piany czy włoskiej firmy Malo, ale zbliżona do niej i za rozsądniejszą cenę. Niszowa marka Kujten wytwarza swetry w cenie od 95 euro i spełnia warunki odpowiedzialnej produkcji zatwierdzone przez Global Organic Textile Standard. Woda użyta w produkcji jest odzyskiwana, oczyszczana i filtrowana.

Włoska rodzinna firma Saldarini, która nad jeziorem Como od pięciu pokoleń produkuje tekstylia, wystąpiła o patent tzw. płatków kaszmirowych, pozyskiwanych również z włosów kozy. Działają tak jak puch gęsi, są od niego lżejsze i cieplejsze. Włosi kupują wełnę bezpośrednio w Mongolii i Nepalu, unikając pośredników i dbając o to, by pastwiska były rekultywowane po każdym sezonie. Patentem na płatki zainteresowały się już domy mody: Armani, Hermes, Louis Vuitton i Prada. W działania ekologiczne na terenach, gdzie hoduje się carpa hircus, zaangażowała się także francuska sieć Bompard.

A jak na ostrzeżenia PET-y reagują masowi producenci, ci najbardziej winni sytuacji kóz w wysokich górach? Zarzekają się, że ich produkt powstaje w warunkach niepowodujących cierpienia zwierząt. Na ostrzeżenia PET-y zareagowała szwedzka sieć H&M, jeden z większych dystrybutorów wyrobów z kaszmiru. H&M zapowiedział, że do końca roku 2020 całkowicie zrezygnuje ze sprzedaży wyrobów z tej szlachetnej wełny (na razie w sklepie internetowym naliczyłam ich ponad 160). Internetowy sklep ASOS miał do końca 2019 r. wycofać ze swojej platformy wszystkie produkty z kaszmiru, moheru (wełna z kóz angorskich), naturalnych futer, puchu oraz jedwabiu. Osiemset pięćdziesiąt marek, które znajdują się w ASOS, będzie musiało przystosować się do tych zmian. Ubrania z moheru wycofają też m.in. H&M, Zara, GAP, Mango i Marks & Spencer.

Ciekawe, czy zostanie nam tylko poliester.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a01f6cfe92

RYCERZE I WARCHOŁY

Siemienowicz odpala rakiety

JACEK KOMUDA

Kazimierz Siemienowicz, XVII-wieczny teoretyk balistyki, twórca artylerii i pierwszych rakiet, to kolejna postać, do której roszczą sobie prawa spadkobiercy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, czyli Polacy, Litwini i Białorusini. Jak zwykle z ustaleniem jego pochodzenia są duże problemy. Siemienowicz określał sam siebie jako eques Lithuanus, a Józef Naronowicz-Narański mówił o nim, że pochodził „z Księstwa Żmudzkiego". Bohater służył jednak w armii koronnej, pisał po łacinie, a w 1648 r. został zastępcą starszego nad armatą koronną, czyli Krzysztofa Arciszewskiego.

Siemienowicz, urodzony ok. 1600 r., od dziecka poświęcił się służbie wojskowej, studiując arytmetykę, geometrię, optykę i inżynierię wojskową. Tadeusz Marian Nowak w jego biogramie podaje, że wiedzę zdobywał zarówno w szkołach w Rzeczypospolitej, jak i podróżując za granicę, do Niderlandów. Nie udało się jednak ustalić, gdzie konkretnie przebywał. Pierwsze wiadomości o jego służbie wojskowej mamy z 1633 r., z czasów wojny o Smoleńsk, gdzie służył pod rozkazami hetmana litewskiego Krzysztofa Radziwiłła i brał udział w oblężeniu Białej – twierdzy na pograniczu polsko-moskiewskim – trwającym do końca maja 1634 r. Później być może wyjeżdżał znowu do Niderlandów; jednak można sądzić, że w 1637 r. brał udział – już jako inżynier w armii koronnej – w walkach ze zbuntowanymi Kozakami Pawluka na Ukrainie. Kiedy bowiem resztki rozbitego pod Kumejkami wojska zaporoskiego schroniły się w Borowicy, jak podaje Szymon Okolski: „Pan hetman przyszedłszy, dwanaście razy w miasto z dział uderzył, potem racami zapalił je". Owe race to staropolskie rakiety, a Siemienowicz był w Rzeczypospolitej jedynym pionierem tej techniki

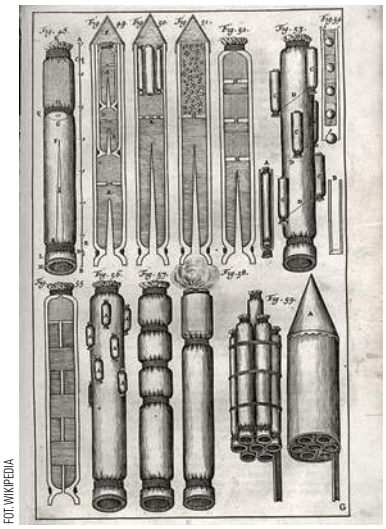

FOT. WIKIPEDIA

ostrzału wroga. Niespodziewany atak przeraził Kozaków, którzy skapitulowali, wydając w ręce hetmana Mikołaja Potockiego przywódców buntu, w tym Pawluka. Rok później, szykując się do obrony Hołtwy i obawiając się podobnego ataku, Zaporożcy, jak pisze Okolski, porozmieszczali na dachach domów czarowników i czarownice: „Aby inkantacje na prochy, strzelbę, powietrze i ogień czynili", a zatem aby pomagali w odpieraniu przerażających ataków rakiet Siemienowicza.

W 1644 r. bohater brał udział w wyprawie Stanisława Koniecpolskiego na Tatarów, przebywał potem znowu w Niderlandach, wrócił zaś na polecenie króla, który przygotowywał się do wojny z Turcją. Od 1646 r. służył w artylerii jako inżynier, awansując tuż przed śmiercią króla na stanowisko zastępcy dowódcy artylerii jako artilleriae regni Poloniae propraefectus. Kiedy wybuchło powstanie Chmielnickiego, zasłużył się, uzbrajając gwardię królewską w nowoczesne muszkiety, potem brał udział w wyprawie na Kozaków, zakończonej haniebną klęską pod Piławcami 23 września 1648 r. Co gorsza, po bitwie Arciszewski oskarżył go o defraudację pieniędzy przeznaczonych na artylerię i woźniców, co więcej – kazał go ścigać, a zarzuty te potwierdziła komisja sejmowa.

Siemienowicz uciekł zatem z kraju. Przy czym nie jest jasne, czy oczyścił się z zarzutów przed królem Janem Kazimierzem, jak podaje w listach Arciszewski, czy też – jak sugeruje Tadeusz Marian Nowak – król darował mu zagarnięte pieniądze jako zaliczkę na poczet przygotowywanego dzieła o artylerii.

Tak czy owak w 1649 r. Siemienowicz był już w Niderlandach i wkrótce opublikował monumentalne dzieło swego życia: „Artis magnae artilleriae pars prima…", które uznawane było za jedną z największych prac poświęconych artylerii. Siemienowicz zawarł w nim nie tylko wiedzę dotyczącą różnych rodzajów prochu, ustalania kąta strzału, sporządzania ładunków, lecz także nowatorskie projekty wielostopniowych rakiet, baterii rakietowych i stateczników – dzisiejszych skrzydeł typu delta. Wywody swoje opierał na praktyce – na obserwacjach i eksperymentach przeprowadzanych w trakcie różnych kampanii wojennych, w tym przeciwko Kozakom, wobec których użył pierwszy raz rakiet.

Dzieło, które ukazało się w Amsterdamie w 1651 r. po łacinie i w tym samym roku po francusku, było ostatnim akordem w życiu Siemienowicza. Nie wiadomo, co robił później, wszelki ślad po nim ginie po wydaniu pierwszej części „Artis magnae artilleriae". Części drugiej, w której miały znaleźć się opisy budowy dział i łóż dla nich, sprzętu pomocniczego, arsenałów, a nawet opis tajemniczego wynalazku, który miał zastąpić wszystkie przyrządy miernicze, nigdy nie ukończył. Najprawdopodobniej zmarł wkrótce, pozostawiając po sobie pamięć jednego z najsławniejszych artylerzystów dawnej Rzeczypospolitej. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

DOBROMIR SOŚNIERZ
W ŚWIECIE GARNKÓW I RONDLI

Potrawę, którą opiszę, ukształtowały trzy ważne wydarzenia historyczne. Otóż kilka lat temu awaria zmywarki uświadomiła mi bezdyskusyjną wyższość potraw jednogarnkowych. Jeszcze wcześniej nieodwracalna awaria małżeństwa spowodowała, że widmo śmierci głodowej zmusiło mnie do wkroczenia w nieprzyjazny i wrogi świat garnków i rondli. Do tej pory wiedziałem tyle, że gotowanie polega na wkładaniu różnych dziwnych rzeczy do garnka i wyciąganiu potem z niego obiadu, aczkolwiek szczegóły tego, co działo się w międzyczasie, pozostawały niejasne. Do tego doszła lektura Internetu, w którym ludzie używający groźnego słowa „akroleina" skutecznie oszkalowali w moich oczach smażenie.

Z tych trzech przesłanek (głód + awaria + akroleina) narodził się mój uniwersalny obiad, polimorficzne danie o wielu obliczach, spontanicznie nazwane strawą.

Strawa polega na tym, że do garnka wrzucamy mięso wieprzowe – mielone lub w kawałkach. Dorzucamy kostkę bulionową, mięsną, a jeśli to duży garnek i duża porcja mięsa – to także drobiową (żeby mieć pewność, że przynajmniej dwa zwierzęta ucierpiały). Zalewamy wodą, ale z umiarem – to ma być podtopienie, a nie głęboka kąpiel. Dodajemy przypraw, które tego dnia lubimy najbardziej (np. kminek, curry, kolendra i ostra papryka), oraz koncentrat pomidorowy (aczkolwiek istnieje też wersja bez koncentratu – strawa jest libertariańską potrawą odważnych, wolnych ludzi). No i zaczynamy to sobie gotować pod pokrywką. Kiedy mięso jest już wstępnie uduszone, dorzucamy czegoś, co wciągnie wodę, bo nie chcemy przecież stworzyć zupy – ja preferuję zwykle pęczak, ale moja starsza córka pęczak potępia, więc mogą to być ryż, manna, a nawet makaron. Albo wszystkiego po trochu. Do garnka trafiają też czasem groch albo soczewica. A jeśli wasze córki nie potępiają selera i pietruszki, możecie zetrzeć je razem i dorzucić na sam koniec do garnka (ja muszę najpierw nałożyć dzieciom). Poza tym staram się nie gotować warzyw, bo gotowane to wiadomo – faszyzm i lewactwo.

Strawę gotuje się w dużych ilościach i je przez dwa–trzy dni, dzięki czemu ograniczamy ryzyko oparzenia się nad piecem do minimum, a Greta uśmiecha się do nas z telewizora. A córki mówią, że jest to dobre.

Niektórzy oczekiwali pewnie ruskich pierogów albo FASZerowanego „krulika" po „krulewsku" – ale to plotki: nie lubię takich rzeczy.

A następnym razem zdradzę wam, jaką zupę lubię najbardziej. Albo przepis na czekoladę.

PS Może ktoś wie, jak naprawić zmywarkę? ©℗

FOT. ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Dobromir Sośnierz jest posłem, wiceprezesem partii KORWiN.

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Wysoka cena za kwiaty zimą

FOT. ADOBE STOCK

Pytam kwiaciarkę, która zawija bukiet z kremowych róż, z odcieniem bladoniebieskim, o strzępiastych dorodnych pąkach. – Czy one są świeże? – Oczywiście, dziś rano przywiezione – zapewnia.

Świeże… Co to właściwie znaczy? Moja róża rozpoczęła swoją wędrówkę jakiś czas temu, gdy ścięto ją z krzaka w Holandii, Boliwii, Ekwadorze lub Kenii. Posortowana, spędziła dwa dni w chłodni w temperaturze ok. 2 st. C. Bez schłodzenia byłoby po niej – klapnie, zwiesi głowę.

A tak może trzymać się i miesiąc. Po zimnej kąpieli rozpoczyna pierwszy etap podróży – do Holandii. Tam trafia na jedną z 11 giełd, gdzie prawdopodobnie nazajutrz, lub najdalej za kilka dni (ale kiedy naprawdę, tego się nie dowiemy), zostaje kupiona przez jednego z hurtowników. Następnego dnia wsiądzie do samolotu, pociągu lub tira i podąży do kraju przeznaczenia. Tam znowu trafi do hurtu, na jedną z giełd krajowych. Takich jak np. ta w Broniszach pod Warszawą, gdzie zaczeka na polskiego odbiorcę. Stamtąd odbędzie przedostatnią trasę – do kwiaciarni. Mój wazon będzie punktem docelowym tej podróży.

Przez całą zimę piękny widok zapewniają mi moje ulubione alstroemerie, peruwiańskie lilie o różnokolorowych nakrapianych kiściach pełnych drobnych kwiatków. Są prześliczne i stoją tydzień. Przyleciały z Chile, jak informuje opakowanie. Samolotem oczywiście. Większość kwiatów z półkuli południowej sprowadzamy samolotami. Przylatują z Etiopii, Ugandy, Tanzanii, Tajlandii, Kolumbii. Wiadomo – emisja CO_2... Ale to i tak lepsze niż holenderska róża, która rośnie w ogrzewanej szklarni.

Kogo to jednak obchodzi? Kto czyta napis na opakowaniu? Kolejny zachodni luksus, którego koszt pewnie poniesiemy wszyscy. Chcemy mieć kwiaty, także zimą. Ja też. Są piękne, bo możemy je wręczyć Zofii, Barbarze, Annie, ukochanej osobie, nauczycielce naszego dziecka. Kto ich się wyrzeknie? Kto myśli o tym, że ich uprawa jest zabójcza dla środowiska, że wymaga 30 razy więcej pestycydów i nawozów sztucznych niż uprawa warzyw? Na hektar holenderskich róż potrzeba 106 kg pestycydów, lilii – 135 kg. W Kenii, gdzie uprawia się jedną trzecią światowej produkcji kwiatów, ziemia zanieczyszczona jest pestycydami, jezioro Naivasha wysycha... A dodatkowo większość – 80 proc. tych cieszących nasze oczy zimowych kwiatów – jest toksyczna dla pszczół…

No cóż – pozostaje zaczekać na nasze pierwsze tulipany, narcyzy, irysy, bzy. Na slow flowers. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

LUKSUSOWY GRAND TOURER HISPANO-SUIZA

Hispano-Suiza. Znany przedwojenny producent broni, silników i luksusowych samochodów podczas marcowych targów w Genewie zaprezentuje model Carmen Boulogne.

Auto inspirowane połączeniem wzornictwa retro z najnowszymi technologiami ma być całkowicie elektryczne. Cechą wyróżniającą ma być też supersztywne nadwozie wykonane z włókien węglowych. To między innymi dzięki niemu wagę auta udało się utrzymać poniżej 1690 kg.

Nowy model hiszpańskiego producenta ma być nie tylko luksusowy (w kabinie poza ekranem dotykowym o przekątnej 10,1 cala mają się znaleźć elementy ozdobne ze szczotkowanego aluminium, drewniane wstawki, oraz obowiązkowy zegar analogowy), lecz także piekielnie szybki. Prawdopodobnie pod maską znajdzie się bowiem silnik o mocy ponad tysiąca koni mechanicznych. Dzięki temu Hispano-Suiza Carmen Boulogne od zera do pierwszej setki będzie mogło rozpędzić się w mniej niż 3 s. Prędkość maksymalna została elektronicznie ograniczona do 250 km/h.

Niestety, zabawka dla bogatych chłopców wymaga bardzo grubego portfela. Cena jednego z 19 aut (do tylu ma zostać ograniczona produkcja tego modelu) zaczyna się od 1,5 mln euro, czyli równowartości 6,45 mln zł. Pierwsze egzemplarze do klientów mają trafić już latem 2020 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHIRON JUŻ PRAWIE WYPRZEDANY

Bugatti sprzedało już połowę egzemplarzy z planowanej puli pół tysiąca chironów. Egzemplarz o numerze 250 w wersji Noire Sportive z matowym, karbonowym nadwoziem i czarnym wnętrzem ma pod maską 8-litrowy silnik W16 o mocy 1479 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 1600 Nm.

Zanim ćwierćtysięczny egzemplarz trafi do szczęśliwego nabywcy, będzie najpierw podziwiany przez odwiedzających targi w Genewie. Francuski producent deklaruje, że kolejne 150 sztuk jest już opłacone (cena wyjściowa zaczyna się od równowartości 13 mln zł). Do wzięcia zostało już więc jedynie sto egzemplarzy.

SUPERAUTO ZE SRI LANKI

Vega EVX. Tak nazywa się elektryczny supersamochód zaprojektowany i wyprodukowany na Sri Lance. Dynamiczne, całkowicie elektryczne auto z karoserią ręcznie wykonaną z włókna węglowego waży ponad 2 t, ale mimo to od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 3,1 s. Pod maską Vegi EVX znajdują się bowiem dwa silniki elektryczne o łącznej mocy 804 KM oraz maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 760 Nm. Początkowo zasięg e-superauta będzie ograniczony do zaledwie 300 km. W przyszłym roku pod maskę mają jednak trafić bardziej pojemne akumulatory, które powiększą zasięg do 750 km.

eprasa.pl a01f6cfe92

Ruszaj w drogę z Rentis

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

Diament Miesięcznika Forbes 2020

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 BYDGOSZCZ +48 519 535 300 GDAŃSK +48 519 535 311 GORZÓW WLKP. +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 KIELCE +48 519 535 304 KRAKÓW +48 519 535 305 LUBLIN +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 OLSZTYN +48 519 535 314 OPOLE +48 519 535 307 PŁOCK +48 519 535 334 POZNAŃ +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 SZCZECIN +48 519 535 310 WARSZAWA +48 519 535 302 WROCŁAW +48 519 535 307

eprasa.pl a01f6cfe92

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Nieznośne istnienie niebytów

No dokuczają. No te niebyty. Człowiek sobie bytuje, czasem nawet owszem na dość wysoko poprzez pracoosiągnięcia wspiętym bycie, a one dokuczają. Jak w tej czeskiej literaturze, że niby zabawnie, cha, cha, cha, ale raczej po tym śmiechu to refleksja.

Ten palec tylko krótko przywołam. Doskonała to egzemplifikacja. Albowiem nadeszły czasy chyba ostateczne, w których palce głośne będą. W zasadzie palec. Zresztą palca nie było. Nieznośne istnienie niebytu. Posłanka wyraźnie powiedziała, że żadnego palca nie było, tylko drapanie się pod okiem. Jeśli ktoś poczuł się urażony tym, czego nie było, to ona przeprosiła. Nieznośne istnienie niebytu z przeproszeniem. Było to pierwsze w historii drapanie się pod okiem pół metra od oka, czyli w miejscu, w którym oka nie było. Nieznośne nieistnienie oka. Później jeszcze posłanka przez nieistniające byty nie zaistniała w ogóle na kilku partyjnych spotkaniach.

Albo na przykład Kinga Rusin. Nie narobiła żadnego tam wstydu na takiej tam imprezie pooscarowej w Stanach, publikując zdjęcia z pewnej prywatnej imprezy, które stały się natychmiast sławne we wszechświecie. Niestety, zaatakowało ją kunderowskie prawo nieznośnego istnienia niebytów. Ja się nad przesłaniem Kundery podobnym nieco, ale szybciej wyrażonym przez naszą Szymborską: „Nic dwa razy się nie zdarza/ i nie zdarzy. Z tej przyczyny/ zrodziliśmy się bez wprawy/ i pomrzemy bez rutyny", nie będę tu wgłębiał, bo mało miejsca. Jednak pani Kinga usunęła (właśnie chyba przez nieznośne istnienie niebytów) te zdjęcia z Internetu, bo zostały usunięte i ich nie ma. Oczywiście są i każdy może sobie zobaczyć. A potem ten dokuczliwy niebyt zaatakował ją jeszcze, cienkim głosem przedrzeźniając w ważnym programie informacyjnym, z czego zrobiła się całkiem namacalna awantura.

To jednak nic w porównaniu z takim istniejącym niebytem jak Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego. Jak wiadomo powszechnie, prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf i SN uznali specjalną uchwałą, że Izba Dyscyplinarna SN nie jest żadnym sądem i nie może sądzić, ponieważ nie jest sądem. I (teraz uwaga) w związku z tym Małgorzata Gersdorf przekazała do – chyba nieistniejącej Izby Dyscyplinarnej – kilka spraw do osądzenia. Spotkało się to z reakcją wielu sędziów nieznających Kundery i panicznie, histerycznie wręcz przywiązanych do logiki. Niepotrzebnie.

A z Kundery to najbardziej podoba mi się cytat o zdradzie, która jest, ale przecież jej nie ma: „Kochać się z kobietą i spać z nią to dwie namiętności nie tylko różne, ale prawie przeciwstawne. Miłość nie wyraża się w pragnieniu spółkowania (to pragnienie dotyczy przecież niezliczonej rzeszy kobiet), ale w pragnieniu wspólnego snu (to pragnienie dotyczy tylko jednej jedynej kobiety)". Nieznośne istnienie niezdrady. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Ci leniwi krakusi

Ta historia zaczęła się banalnie, od niegroźnego tweeta anglojęzycznego oddziału Polskiego Radia, informującego o umieszczeniu Krakowa na liście TOP 10 celów turystycznych polecanych przez serwis Tripadvisor. „To miasto niesamowitej dzielnicy żydowskiej oraz rozległego rynku, wyglądającego jak z baśni" – zacytowano fragment artykułu z brytyjskiego „Guardiana". I kiedy wydawało się, że dyskusje zakończy kilka zwyczajowych gratulacji, pojawiła się Vivian Bercovici. Była ambasador Kanady w Izraelu, absolwentka Uniwersytetu w Tel Awiwie, publicystka, prawniczka oraz ekspert „od polityki międzynarodowej i Bliskiego Wschodu". Zapewne zastanawiają się państwo, cóż mogła napisać. Skomplementowała polską kuchnię? Zabytki Krakowa? Wspomniała o Wawelu i wrażeniach z wakacji? Miłych ludziach i przystępnych cenach? Nie do końca.

„W rzeczywistości… taki opis jest bardziej niż przerażający. Kazimierz to disnejowskie wyobrażenie przeszłości. Karykatura. Kiedy odwiedziłam starą dzielnicę żydowską, natknęłam się na opresyjną przestrzeń. Tak wiele duchów… niemniej sam Kraków jest piękny" – napisała, dodając, że jeżeli ktoś chce znaleźć współczesną kulturę „żydowską" w mieście, powinien udać się do Sukiennic, gdzie sprzedaje się „obrzydliwe lalki udające żydów, które nadawałyby się na belgijski karnawał nienawiści w Aalst". Dla porządku polecam porównać drewniane figurki dawnych mieszkańców Kazimierza ze skrzypkami, z Żydami przypominającymi insekty, bo takich przedstawiono w Belgii. Wracając do pani Bercovici, niestety w tym miejscu nie zakończyła swojego wywodu, idąc nie tyle krok, ile cały maraton insynuacji dalej.

„Kraków zajmuje specjalnie miejsce w procederze mordowania, torturowania i anihilacji jego własnej społeczności żydowskiej. Współczesne próby skomercjalizowania tej przestrzeni są wulgarne. Kraków jest również oddalony o krótką podróż samochodem od Auschwitz. Oni wiedzieli. Wszystko. I nie zrobili nic, aby zatrzymać Holokaust. Fakty" – stwierdziła. Kiedy zapytałem dyplomatkę, czy czytała jakąkolwiek książkę historyczną dotyczącą okresu okupacji Krakowa, usłyszałem, że to „bolesne personalne ataki" oraz próba „wybielenia Polaków, którzy kolaborowali z nazistami, zdradzając polskich Żydów". Kiedy do dyskusji włączył się Daniel Tilles, dziennikarz i historyk mieszkający w Krakowie, pytając o przykłady mordowania Żydów przez lokalną ludność, zapanowała cisza. Komentarza nie doczekało się również pytanie o wiedzę na temat rtm. Pileckiego. „Gdyby tylko krakowianie wsiedli w samochody i pojechali zatrzymać Auschwitz" – skomentował ironicznie. Tymczasem Vivian Bercovici po wymianie zdań skasowała konto na Twitterze. Być może za kilka dni dowiemy się, że padła ofiarą hejtu. Na szczęście w Internecie nic nie ginie. ©℗

eprasa.pl a01f6cfe92

DZIENNIKARSKI POKER

19:00

poniedziałek - środa

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

REPUBLIKA

eprasa.pl a01f6cfe92

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Szczerbiec, czyli suwerenność

ANDRZEJ NOWAK

Polska odnowiła 700 lat temu swoją suwerenność: 20 stycznia roku 1320 w katedrze wawelskiej koronę królewską włożył na skronie Władysława Łokietka arcybiskup gnieźnieński Janisław. Król i jego państwo nie podlegają nikomu: na tym polega istota suwerenności, na samostanowieniu swoich praw i poszanowaniu państwa, które jest ich strażnikiem. Polskie państwo, przemieniając się stopniowo w Rzeczpospolitą, nie podlegało od momentu dumnej koronacji Łokietka nikomu, nikt z zewnątrz nie mógł dyktować mu praw ani występować w roli ich gwaranta.

Mijamy jednak właśnie inną wartą refleksji rocznicę. Oto równe trzysta lat temu, 17 lutego roku 1720, w Poczdamie car rosyjski Piotr I i król pruski Fryderyk Wilhelm zawarli sojusz, którego Polska Rzeczpospolita stała się bezsilnym przedmiotem. Być przedmiotem polityki międzynarodowej to stracić podmiotowość, czyli suwerenność. I tak właśnie stało się z państwem polsko-litewskim, kiedy sąsiednie mocarstwa postanowiły w swoim sojuszu zagwarantować nienaruszalność wolnej elekcji oraz swobód szlacheckich w Rzeczypospolitej. Wolna elekcja znaczyła już wtedy tylko wolność ingerencji sąsiadów, tak jak swobody szlacheckie – swobodę ich wykorzystania w walce z własnym państwem, w niszczeniu suwerenności. Pisałem już o tym w felietonie sprzed miesiąca.

Tu skupię się na najważniejszym symbolu naszej suwerenności – utraconej przed trzystu laty, a odzyskanej po kolejnych dwustu latach walk i ofiar. Także dlatego tak drogiej dla tych, którzy owych ofiar nie chcą zapomnieć ani ich nie lekceważą. Tym symbolem, jedynym, jaki nam pozostał, jest Szczerbiec, miecz koronacyjny królów polskich. Korony Łokietkowej, którą później koronowano kolejnych władców Polski – aż do Stanisława Augusta Poniatowskiego – nie mamy. W nocy z 3 na 4 października 1794 r. żołnierze pruscy włamali się do skarbca Królestwa Polskiego na zajętym przez nich zamku w Krakowie i zabrali stamtąd klejnoty koronne używane przez polskich władców od XIV w. Zgodnie z rozkazem swego władcy zabrali zatem polskie skarby do Berlina. Wycenione na ponad pół miliona talarów polskie regalia (m.in. sześć koron, cztery berła królewskie i dwa miecze koronacyjne) zostały w 1809 r. rozebrane na rozkaz króla Fryderyka Wilhelma III (panował od 1797 do 1840 r.), a dwa lata później przetopione. Z uzyskanych w ten sposób 25 funtów złota i srebra wybite zostały pruskie monety. Tak praktycznie zrealizowane zostało postanowienie ostatecznej konwencji o rozbiorach, ze stycznia 1797 r., zgodnie z którą należało „zlikwidować wszystko, co mogłoby przywołać pamięć istnienia Królestwa Polskiego".

Szczerbiec, służący do koronacji naszych władców aż do Stanisława Augusta Poniatowskiego, został tak jak inne polskie insygnia królewskie zrabowany przez Prusaków. Nie został przetopiony pewnie dlatego, że nie był ze złota. Pojawił się w 1819 r., kiedy minister Imperium Rosyjskiego, książę Dymitr Łobanow-Rostowski, zaproponował jego sprzedaż gen. Wincentemu Krasińskiemu (ojcu Zygmunta, autora „Nie-Boskiej komedii"). Rosyjski minister musiał zdobyć ten skarb od jakiegoś Prusaka z Królewca, gdzie w 1811 r. dokonano przetopienia polskich regaliów. Generał Krasiński miecza nie kupił. Zrobił to rosyjski miłośnik starożytności, książę Mikołaj Demidow, od niego nabył kolejny antykwariusz rosyjski, potem Szczerbiec pojawił się na wystawie światowej w Paryżu, a w końcu zakupiony został przez petersburski Ermitaż w roku 1884. Dzięki zwycięstwu Polski w wojnie z bolszewikami (w której – choć na chwilę – tak jak w 1018 r. wojsko polskie stanęło w Kijowie, pod Złotą Bramą, od mitycznego uderzenia w nią wziął swoją nazwę Szczerbiec). Miecz koronacyjny Łokietka wrócił na Wawel – w ramach zwrotu polskich dóbr kultury, ustalonego warunkami pokoju w Rydze w 1921 r. Szczęśliwie ewakuowany w czasie drugiej wojny do Kanady przed nowymi – gorszymi od wszystkich poprzednich – barbarzyńcami z III Rzeszy powrócił znów na swe miejsce, na wawelskie wzgórze. Dziś ten krótki, niespełna metrowej długości miecz można podziwiać na wspaniałej wystawie „Skarbów epoki Piastów", zorganizowanej na Wawelu z okazji siedemsetlecia koronacji.

„Przy pomocy tego miecza Pan Bóg, Zbawca Wszystkiego, niechaj pomoże mu [właścicielowi miecza] przeciw wrogom. Amen". Tak, oczywiście po łacinie, głosił dziś niezachowany, zatarty, ale dokładnie opisany i odrysowany w latach 1764 i 1792 napis, mówiący o pochodzeniu Szczerbca. Właścicielem tego symbolu suwerenności jest dziś naród – obywatele Rzeczypospolitej. Czy rozumieją jego sens? Czy do nas te zatarte słowa jeszcze przemawiają? ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl a01f6cfe92

fot. Jerzy Gumowski

Hejt antysemitów

Główna cecha Polaków (tych dzisiejszych, i tych historycznych) — antysemityzm chowu priwiślińskiego (czyli ten wyssany z biustów lechickich gojek) — obecnie jakby faluje/pulsuje: periody łagodnej rasistowskiej stabilizacji i periody gwałtownych przypływów, czyli erupcyjnych wzmożeń, występują na przemian, cyklicznie tout court. Ostatnie ze skandalicznych wzmożeń miało miejsce jesienią ubiegłego roku, gdy Olga Tokarczuk dostała Nobla literackiego. Detonatorem tej kolejnej, obciachowej dla całego narodu kampanii, był wygłaszający pompatyczną laudację ku czci laureatki dygnitarz Akademii Szwedzkiej, 86–letni Per Wästberg. Zaczął dobrze, zwąc **„Księgi Jakubowe"** *„największym dziełem"* pani Tokarczuk, którym zasłużyła na Nobla (i wcześniej na Nike dawaną przez **„GW"**), a także przypominając, że laureatka, od dawna piętnująca publicznie *„polski kolonializm i antysemityzm"*, jest weteranką karcenia swych rodaków jako zakały europejskiej (*„właściciele niewolników i mordercy Żydów"*), lecz później zupełnie się pogubił, niepotrzebnie dywagując o *„żydowskim pochodzeniu Olgi Tokarczuk"*. Antysemici praktykujący między Tatrami a Bałtykiem tylko czekali na to. I wykorzystali ową niezręczność Wästberga bez pardonu.

Faszystowski hejt, który we własnej ojczyźnie laureatki dotknął uhonorowanie Polki Noblem, miał wiele haniebnych odcieni i aspektów. Ot choćby paplano, że 90% literackich Nobli z ostatnich dekad to laury dla politpoprawnych lewaków, często wręcz *„stalinistów"* (Fo, Jelinek, Szymborska i in.) — że to niby już taka sztokholmska goszystowska norma. I że filosemityzm kandydatów/nominatów/laureatów — im większy, tym skuteczniejszy — ma niby istotne (lub wręcz decydujące) znaczenie dla werdyktów końcowych. W tym aspekcie zajadli antysemici przypominali casus Czesława Miłosza, który otrzymał literackiego Nobla (1980) dopiero wówczas, gdy rozgłosił, że nauczył się biegle hebrajszczyzny, i kiedy zaczął publikować swoje biblijne przekłady z języka hebrajskiego (**„Księga Psalmów"** 1979, **„Księga Hioba"** 1980, itd.). Na nieszczęście — ci hejterzy mieli do dyspozycji mnogość cytatów z prasy nie tylko lokalnej (**„Tygodnik Solidarność"**: *„Za podlizywanie się międzynarodówce kosmopolitów i antypolonistów zapłacono Miłoszowi Noblem"*, 2004), lecz także globalnej (**„The Jewish Journal"**: *„Został uhonorowany, bo ściśle się związał z Żydami i sprawami Żydów"*, 2002). Gwoli rewanżu ci sami nienawistnicy wyciągali ze swoich brudnych archiwaliów zamierzchłe opinie innych znanych rymopisów, kwestionujące wartość twórczości wielkiego poety (Jan Lechoń: *„Miłosz jest talentem trzeciej klasy. Jego poezja to psie gówno"*; Agnieszka Osiecka: *„Miłosz jest zupełnie jałowy, nadęty jak balon"*; Jerzy Narbutt: *„Jego pisanina to przykład bełkotu i demagogii"*; Zbigniew Bieńkowski: *„Nie cenię poezji Miłosza"*, etc.). Rodzimi debrązownicy dzisiejsi analogicznie nie cenią prozy pani Tokarczuk, i można tylko ubolewać, że znajdują wsparcie nawet wśród tych ekspertów, którzy winni być aliantami noblistki, exemplum jej niemiecka tłumaczka, Esther Kinsky, mówiąca dla **„Spiegla"** o twórczości Polki: *„Język nie jest jej mocną stroną..."*. Również uwaga **„Süddeutsche Zeitung"**, że w **„Księgach Jakubowych"** *„numeracja stron od końca to ukłon autorki wobec hebrajszczyzny"*, nie pomaga, bo takie enuncjacje dają paliwo antysemitom.

Antysemici, którzy się głośno rozjazgotali po werdykcie Sztokholmu, wykorzystują też szyderczo inną woltę retoryczną Wästberga (że laureatka jest gotowa stawiać opór polskiemu reżimowi faszystowskiemu *„nawet pod groźbą śmierci"*), i nie omieszkują przypominać (to zwłaszcza *„narodowcy"*) od jak dawna tępi ona polski antysemityzm (Tomasz Sommer: *„Sukces Tokarczuk to sukces antypolski. W latach dziewięćdziesiątych pisała ona donosy na polskich antysemitów, na zlecenie obcej ambasady"*). Musiało się to wreszcie skończyć parawojennym zderzeniem proTokarczuków i antyTokarczuków. Sławomir Jastrzębowski: *„Niektórzy Polacy są mniej dumni, bo wprost twierdzą, że polonofobka i za to została nagrodzona, a jej pisarstwo banalne"*; Andrzej Rafał Potocki: *„Przypadek Tokarczuk to kliniczna ojkofobia"* (niechęć/nienawiść do ojczyzny); Tadeusz Płużański: *„Czy zatem Olga Tokarczuk nie powinna być ścigana przez niezawisłe organy wymiaru sprawiedliwości III RP za antypolskie paszkwilanctwo i te jej bluzgi na Polaków jako morderców Żydów?"*; Krystyna Śliwińska: *„Jej tłumaczony na języki obce przekaz idzie w świat i dlatego sypią się tam nagrody"*; Marzena Nykiel: *„Książki Tokarczuk dalej będą ukazywać Polskę kołtuńską, zakompleksioną, ksenofobiczną i antysemicką. Przykre"*.

Temu jęczeniu antysemitów nad jakże słusznym demaskowaniem i globalnym upublicznianiem przez laureatkę wrodzonego polskiego antysemityzmu towarzyszy ich paplanie, że owych laurów nie przyniosły Oldze Tokarczuk walory pióra. Wynosił je pod niebiosa pan Wästberg swą laudacją, lecz jak zauważył à propos Wästberga pisarz Filip Łobodziński, udzielając wywiadu gazecie **„Polska"**: *„ — Laudacje należy traktować ostrożnie, one zawsze są pisane lukrem"*. Wielu innych *„ludzi pióra"* wyraziło nielitościwie ostry sceptycyzm wobec sprawczego (Noblowskiego) znaczenia tych *„walorów"* w literaturze Olgi T. Piotr Lisiewicz: *„Czy żyją jeszcze gdzieś jacyś naiwni, którzy wierzą, że w przypadku literackiego Nobla ma znaczenie jaką ktoś spłodzi książkę?"*. Nawet publicysta kryptosalonowej **„Rzeczypospolitej"**, Marcin Kube, dwukrotnie (przy początku i przy końcu swego tekstu) zaznaczył: *„Ci, którzy nadają kontekst polityczny Noblowi dla Olgi Tokarczuk, mają rację"*; *„Za całkiem zasadną można uznać intuicję ludzi, którzy nagrodę dla Tokarczuk interpretują politycznie"*. Tomasz Rowiński łkał na łamach **„Do Rzeczy"**: *„Można ze smutkiem powiedzieć, że aby dzisiaj polski pisarz otrzymał Nobla literackiego — musi być reprezentantem lewicowych idei społeczno–politycznych"*. Witold Gadowski zaapelował na łamach **„Niedzieli"**: *„Pokażcie mi katolickiego pisarza, który w ostatnim dwudziestoleciu otrzymał Nobla literackiego"*, jednak uspokajał komentatorów krytycznych wobec prozy laureatki, że ludziom publicznie przyznającym, iż *„pisarstwo pani Tokarczuk im się nie podoba"*, jakieś specjalne represje nie grożą. Mogą więc chyba spać spokojnie wszelcy antysemici hejtujący lub obśmiewający Olgę Tokarczuk, chociażby *„dwaj panowie G"* z **„Do Rzeczy"** (Piotr Gociek i Cezary Gmyz), którzy poradzili laureatce przeczytanie paru literackich pereł (Faulkner *„e tutti quanti"*), by zobaczyła czym jest autentyczna proza wysokiego lotu, bądź Piotr Wielgucki (*„Matka Kurka"*) z **„Gazety Polskiej"**, który oświadczył: *„Żaden szantaż moralny czy intelektualny nie zmusi mnie do nazywania Tokarczuk pisarką"*, bądź Jan Piński z **„Najwyższego Czasu!"**, który narzeka: *„Olga Tokarczuk jest politpoprawną grafomanką. Mamy tu do czynienia ze słabą literaturą, niestrawną papką, zbiorami płytkich myśli i pseudofilozoficznych mądrości. Gdy przeczytawszy jedną książkę laureatki sięgnie się po następną — stwierdza się, że można pisać jeszcze nudniej"*.

Szczerze mówiąc — nie byłoby chyba aż tylu utyskiwań, gdyby tego Nobla, miast pani T., dostał pan T. za **„Szczerze"**. No i gdyby rządziła dzisiaj koalicja PO–Nowoczesna–Wiosna–Razem–SLD–PSL — za taki hejt groziłby (i bardzo słusznie!) wyrok z paragrafu *„mowa nienawiści"*, ale póki co nie rządzi jeszcze Grodzka, tylko Nowogrodzka, więc antysemici biegają bez kagańców. Kiedy słyszę z ich ust faszystowskie hasło *„wolność słowa"*, chce mi się sięgnąć po pepeszę, moi drodzy! ©℗

Waldemar Łysiak

Nubel czy bubel?

eprasa.pl a01f6cfe92

SPEŁNILI SWÓJ OBOWIĄZEK.
NASZYM OBOWIĄZKIEM JEST PAMIĘĆ O NICH.

1 MARCA

NARODOWY DZIEŃ PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

ORLEN

eprasa.pl a01f6cfe92